

Walery Przyborowski

**SZWEDZI W WARSZAWIE**

## ROZDZIAŁ I

*W którym jest opowiedziane, jak przekupka Maciejowa pokonała trzech żołdaków szwedzkich*

Czerwcowe słońce miało się ku zachodowi i skryło się już poza wysokie kamienice Rynku Staromiejskiego, których spiczaste dachy rysowały się wyraziście na gorejącym purpurą niebie. Ruch był niewielki; na przyzbach domów tu i ówdzie siedziały z dziećmi na kolanach mieszczki i gwarzyły, pod samym ratuszem w licznych kramach widać było ziewające lub kłójące się przekupki, sklepy w kamienicach, oprócz winiarni i szynków, były na głucho pozamykane. Na mieście leżała jakaś przygnębiająca ospałość i smutek, tylko z gromady przechadzających się dumnie i buńczucznie zbrojnych oficerów szwedzkich, ubranych w wielkie kapelusze z piórami, kaftany łosiowe i wysokie, brązowej barwy buty, brzmiały rozgłośnie krzyki i śmiechy. Tu i ówdzie włóczyły się zgłodniałe i wychudzone psy, grzebiące w kupach śmieci, całymi górami sterczących na Rynku.

Z drzwi głównych ratusza miejskiego, wznoszącego się na samym środku Rynku, wyszedł młody człowiek i ziewając stanął nad schodami kamiennymi, po których zstępowało się na dół. Ubrany był w ciemny, kusy żupanik, dobrze podszarzany, w kapelusz słomiany na głowie podgolonej starannie, o włosach ciemnych, nisko przyszczyżonych. Szarawary niegdyś karmazynowe, dziś spłowiałe mocno, miał wpuszczone w buty wysokie o żółtych cholewach, a za to czarnych przyszwach. Pod pachą dźwigał fascykuł papierzysków i wielkimi, czarnymi oczami poglądał niedbale i obojętnie dokoła.

Ale nagle oczy te ożywiły się, bo spostrzegł idącego między kramami pod ratuszem chłopca, może szesnaście lat liczącego. Ten, z głową na dół pochyloną i rękami na tyle założonymi, szedł wolno, leniwie, powłócząc nogami, zapatrzony w ziemię, jak gdyby tam czego szukał. Ubrany był niedbale i ubogo; na głowie kapelusz słomiany miał opadłe skrzydła, a liczne w nim dziury nie osłaniały dobrze głowy od palącego słońca czerwcowego. Kusy kubraczek, niewiadomej barwy, przepasany był włóczkowym pasem czerwonym, a ciżmy, niskie wyszarzane były i dziurawe. Jednym słowem, wyglądał ubogo i miał minę desperata.

Stojący na schodach młodzieniec z fascykułem papierzysków pod pachą, zoczywszy owego desperata, zeszedł szybko na dół i zbliżywszy się do chłopca, uderzył go w ramię i zawołał:

— Kazik, jak się masz?!

Kazik żywo podniósł głowę i rzekł-głosem smutnym i płaczącym:

— A! to ty... jak się masz?

— Mam się dobrze, ale ty, widzę, jakoś kiepsko i kwaśno wyglądasz!

— Mój kochany, żebyś ty na to patrzył, na co ja patrzę, i to cierpię, co ja cierpię, tobyś jeszcze kwaśniej wyglądał.

— No, cóż to takiego? Opowiedz mi.

— Ej, na co się to zdało! — machnął ręką rozpaczliwie Kazik.

— A może się i na co zdało! Cóż ty wiesz?... No, no, opowiedz... może się co poradzi na twój frasunek. Wiadomo ci przecie, że mam łaski i zachowanie wielkie u pana prezydenta Aleksandra Gizy, który też jest mój krewniak po matce... A przy tym zawżdy z tobą byliśmy w przyjaźni i gdyby nie ta pisanina na ratuszu z powodu tych przeklętych Szwedów...

To mówił szeptem i obejrzał się trwożliwie dokoła. Ale nikogo w pobliżu nie było i nikt ich rozmowy słyszeć nie mógł, więc prawił dalej:

— Otóż, powiem tobie, że gdyby nie te przekłete Szwedy, co jeno kontrybucję na miasto nakładają i w księgach z tego powodu dużo jest pisania, a pan prezydent nie ma się kim wyręczyć, bo nikt tak pięknie jak ja nie pisze, otóż gdyby nie to, tobym co dnia wpadł tam do was na Krzywe Koło, by twej pani matce nogi ucałować, a i z tobą się też nagadać, bo widzisz, mam i ja coś do powiedzenia tobie. Ale cóż tam u was nowego?

— *A cóż*, Kacperku, bieda aż piszczy. Pani matka wyiskrzyła się do ostatniego grosza na tę kontrybucję szwedzką i powiadam tobie, że do gęby nie ma co włożyć. I na dobitkę ten lejtnant, pan Landskrona, bodaj go kat spalił... wiesz, co stoi u nas kwaterą, ciągle czegoś nowego wymaga. Zachciało mu się dzisiaj limonów, a u nas chleba nie ma. Skąd ja mu wezmę limonów? Idę do pana Fukiera, może się zlituje i da na kredyt. Ach, żebyś ty, Kacperek, wiedział, czego ja tym Szwedom życzę!...

— No, no! — uśmiechnął się Kacperek — z pewnością nie lepiej ode mnie. Ale powiem ci pod wielkim sekretem, że niedługo już ich panowania.

Wymówił to znów szeptem, oglądając się na grupę żołdaków szwedzkich, którzy pijani, wzięwszy się pod ręce, szli przez Rynek, śpiewając ochryplymi głosami jakąś pieśń zamorską, krzycząc i nogami wywracając kramiki przekupek, koło których przechodzili. Przekupki oczywiście podniosły wielki wrzask, a Szwedzi, wzięwszy się pod boki, z wyzywającymi minami, śmieli się do rozpuku.

— Widzisz, co się dzieje! — rzekł Kazik, w którego oczach zabłysnął ponury ogień, wargi mu pobladły, a pięść ścisnął w kułak.

— Ba! — odpowiedział z chłodnym uśmiechem Kacperek — ja co dzień na to patrzę i przyzwyczałem się do tego. Stary rajca, pan Rafałowicz, który, jako wiesz, jest człowiek mądry i uczony w piśmie, mówi, że człowiek to jest takie zwierzę, które się do wszystkiego przyzwyczać może. I prawdę powiada, bo ja, na ten przykład, przyzwyczałem się już do tych wybryków szwedzkich i ani mię ziębią, ani grzeją!

— Ale ja się przyzwyczaić nie mogę! — syknął Kazik. — I wszystka krew się we mnie burzy...

— Pociesz się, bo ci powiadam na pewno, że niedługo Szwedów w Warszawie panowanie.

— Bój się Boga, co to takiego? Skądże to wiesz?

— A wiem... ale tu na Rynku gadać nie będę, bo tu może kto podsłuchać i donieść generałowi Wittenbergowi, a wiesz, że on nie żartuje. Nie dalej jak wczoraj obwiesić kazał za długi język jakiegoś szlachcica na szubienicy przed kościołem Bernardynów. A przy tym i tobie się śpieszy po one limony... pieprzu bym hultajowi dał, a nie limonów. Idź więc, bo tam twój Landskrona zapewne historie wyprawia, a pani matka ze strachu umiera.

Kazik na te słowa zgrzytnął zębami, nacisnął kapelusz na oczy i nic nie rzekłszy, ruszył w kierunku sklepu pana Fukiera, który od dawien dawna w Rynku handlował winami i rozmaitymi specjałami zamorskimi.

— Czekaj no! — zawołał za odchodzącym Kacperek — musimy się przecie obaczyć. Mam wiele nowin i mam też pewny projekt. Chcę z tobą pogadać...

— A i owszem, ale gdzie i kiedy?

— Otóż to... do ciebie iść nie można, bo tam Szwedów kupa, a to, co ci chcę powiedzieć, jest srogi sekret. Ale wiesz co? Jak się załatwisz z tymi limonami dla imci pana Landskrony... bodaj się hycel nimi udławił... to przyjdź do pana Rafałowicza. Wiesz gdzie... na ulicy Św. Marcina, w kamienicy Sebastiana, cyrulika...

— Wiem, wiem.

— Ba! nic nie wiesz, bo nie wiesz, gdzie się mieści pań Rafałowicz. Ma on na trzecim piętrze od tyłu dwie izdebki. Tam trzeba wejść, a we drzwi zastukają trzy razy, bo inaczej pan Rafałowicz cię nie wpuści. Tam będę czekał na ciebie i do syta się nagadamy, ile że pan Rafałowicz jest sam i jako człek mądry, nie poskapi nam rady i obroku duchowego.

Idź więc, załatw się z owymi limonami i przybywaj. A teraz *vale*, uszy do góry, Kaziku, bo wszystko będzie dobrze. I powiadam tobie na ucho, jeno dlatego, byś fantazji nie tracił, że takiego dajfeldreku zadamy tym zambrszczykom, że popamiętają przez wieki mazurską łapę. No, bądź zdrów! Czekam cię u pana Rafałowicza.

To rzekłszy, nacisnął kapelusz, poprawił pod pachą fascykul papierzysków, ogromne pióro mocniej -utrwalił za uchem i zniknął za zakrętem murów ratuszowych. Kazik zaś, z otuchą jakąś w sercu, pognął do pana Fukiera po limony dla lejtnanta szwedzkiego Landskrony.

Na Rynku tymczasem po dawnemu przechadzali się żołdacy szwedzcy, śpiewali pieśni, krzyczeli, wywracali kramy przekupkom, bili, kto im się nawinał, tak że każdy uciekał jak najprędzej i chronił się do domów, by uniknąć spotkania z pijanymi żołdakami. Zrazu kręcili się jeno między ulicą Grodzką, co ją później Świętojańską nazwano, a Jezuicką, ale potem przeszli na drugą połąć Rynku od ulicy Gołębiej. Tu podle kamienicy „Pod Trzema Murzynami” miała swój kramik znana całemu miastu pani Maciejowa, wdowa po szewcu, który przez pijaństwo stracił całą fortunę i umarł. Wdowa, ile że miała syna małoletniego, którego trzeba było chować, za resztę grosza założyła sobie kramik z nićmi, tasiemkami, naparstkami, a czasu wiosny handlowała też owocami. Kobieta była pocziwa, zabiegliwa, pracowita, ale wygadana okrutnie. Otyła, upadająca już na nogi, siedziała od świtu do nocy za swym kramem i biada temu, na kogo złość miała lub kto ją obraził. Wtedy spadał na nieszczęśliwego taki potok słów i wymyślań wypowiedanych krzykliwym i tak doniosłym głosem, że po całym Rynku się rozlegał, iż nieszczęśliwy zatykał uszy i uciekał z duszą. Znano ją z tego w całym mieście i bano się bardzo, choć jednocześnie szanowano, bo była uczciwą, rzetelną, nikogo na grosz nie skrzywdziła, bogobojną, a synów jak się należy wychowała. Starszy Maciuś, bo takie samo imię nosił jak nieboszczyk ojciec, był już czeladnikiem szewckim i prowadził się porządnie, młodszy Janek terminował u stolarza, pana Andrzeja Kuliga, na Nowym Mieście. Obaj chłopaki byli porządni co się zwie, matkę szanowali i bali jej się okrutnie, bo jak co zawinili, to im płazem nie puszczała, nawet starszemu -Maciusiowi, choć był czeladnikiem i wąs mu się puszczał. Nieraz tak go sprąła i za czuprynę wytargała, że chłopak aż łzy miał w oczach.

Otóż trójka pijanych Szwedów, nadokazywawszy się od południowej strony ratusza, przeszła teraz na północną i zataczając się, krzycząc i śpiewając, nagle znalazła się przed kramem pani Madejowej. Ta spojrzała na nich groźnie i machając ręką, rzekła po polsku:

— Poszli precz! Czego tu stoicie? Czego chceta?

Ale oni zaczęli się śmiać i jeden tak silnie kopnął nogą w kramik, że wszystkie rozłożone na nim nici, naparstki, tasiemki, guziki i owoce rozleciały się na wszystkie strony. Maciejowa zaczerwieniła się cała jak burak, a w jej małych, siwych oczach zajaśniały pioruny. Choć z ciężkością się ruszała z powodu słabości nóg, teraz jednak zerwała się od razu i dużym garnkiem z barszczem, który z obiadu został, trzasnęła w łeb najbliższego Szweda. Garnek rozleciał się na części i pokaleczył żołdaka, a przy tym barszcz się wylał i całą twarz mu na czerwono umalował. Zrobił się straszny krzyk i dwaj towarzysze poszkodowanego dobyli pałaszy i rzucili się na Maciejową, chcąc ją zarać, ale ta, wrzeszcząc wniebogłosy, nie ustąpiła ani kroku, tylko chwyciwszy starą drapakę, która w kącie kramiku stała, tak dzielnie nią wywijać zaczęła i tak prac bez litości pijanych Szwedzisków, że nie tylko nic jej zrobić nie mogli, ale sami potracili kapelusze i gęby mieli szpetnie podrapane. Rzucali się wprawdzie zawzięcie z gołymi szabliskami w garści ale że nie byli trzeźwi, więc ciosy ich padały na daszek kramiku, a przy tym zbiegło się dużo ludzi na krzyk Maciej owej i jak mogli, tak jej bronili.

Właśnie w tej chwili zjawił się Kazik wracający z limonami od pana Fukiera. Spozrzegł on, że jeden ze Szwedów, widocznie trzeźwiejszy, przestał rąbać pałaszem, a natomiast gotował się przebić zdradzieckim sztychem broniącą się walecznie dzielną

przekupkę. Widząc to Kazik, który znał się, a nawet przyjaźnił z synem Madejowej, czeladnikiem Maćkiem, niewiele myśląc, tak zręcznie i szybko podstawił nogę Szwedowi, że ten jak długi runął na ziemię. Zaraz też znalazło się kilku ochotników, którzy leżącego Szweda poczęli niemiłosiernie okładać kijami, a Kazik spostrzegłszy biegnący ront szwedzki i widząc, że tu nie ma na co czekać, drapnął co żywo do domu. Ront rozpedził zbiegowisko, a pokaleczonych Szwedów i biedną Maciejową zabrał ze sobą do kordegardy w Zamku.

## ROZDZIAŁ II

*W którym Kazik zapoznaje się w przykry sposób z piernikami pani Maciejowej*

Kazik, załatwiwszy się z onymi limonami, które matka jego, pani Juliuszowa Ginterowa, wdowa po rajcy miejskim, sama zaniósła do kwatery oficera szwedzkiego Landskrony, wyrwał się zaraz z domu, żeby najprzód zobaczyć, co się tam dzieje na Rynku, a potem pójść, jak się umówił z Kacperkiem, do pana Rafałowicza. Okrutnie był ciekawy, co to za nowiny ma Kacperek, nowiny pocieszające, co w tych ciężkich czasach było rzadkością wielką.

Biegł tedy żwawo, choć już mrok zapadał, a rzadkie latarki przy domach, z rozkazu Szwedów zaraz po zachodzie słońca zapalane, nie mogły dostatecznie rozświetlić zaciemnionych ulic. Kazik czuł się w jakimś wesołym usposobieniu, bo najprzód Kacperek miał mu coś pocieszającego powiedzieć, potem, że będzie gadał z panem Kafałowiczem, który był mężem statecznym, uczonym i bardzo, lubił takich smyków jak Kazik, a wreszcie, że Szwedowi podstawił nogi przy kramiku Madejowej, także ów żołdak zarył nosem w błoto. Ciekaw też był bardzo, jak się ta przygoda skończyła.

Ale zaraz wesołe usposobienie Kazika pierchło, gdy zobaczył kramik Madejowej rozbity na szczątki, a koło niego kręcił się starszy jej syn, czeladnik szewcki Maciuś, z latarką w ręku, zbierał rozrzucone nici, paciorki, szpilki, jabłka i pierniki i zawodził głośno:

— O laboga! laboga!

Maciuś był chłopak wysoki, cienki jak tyczka, o nogach podobnych do dwóch długich patyków, z szyją jak, u żurawia, na której chwiała się główka drobna, szczecinowatym, rudym włosem porośła. Brzydki był jak nieszczęście; oczka miał małe, siwe, głęboko zapadłe, nos pałkowaty i zawsze czerwony jak burak, co zapewne odziedziczył po ojcu, pijaku koronnym. Powolny był nadzwyczajnie, mruk zawołany, ale zresztą chłopak poczciwy z kośćcami. Stał teraz pochylony nad ruiną dobytku matczynego, rozpaczliwie wymachiwał długimi rękami, podobny do wiatraku, i żałośliwie zawodził:

— O laboga! laboga!

Kazik zbliżył się do niego z tyłu, uderzył go w ramię i zapytał:

— Maciek, co tobie?

Maciuś powoli, systematycznie zwrócił się całym ciałem do pytającego, podniósł latarkę w górę, zaświecił nią w oczy Kazika i wytrzeszczając zabawnie swe małe oczy, krzywiąc się szkaradnie i pociągając nosem, rzekł:

— A! to ty?

— A ja, jak widzisz. Ale czegoż ty tak lamentujesz? Maciuś zrobił wolno pół obrotu, długą swą rękę wyciągnął wskazując na kram rozbity i rzekł:

— A tego.

— To Szwedy zrobiły?

— Uhu!

— No i cóż, czy się to na co zda jeszcze? Czy ocalisz co towaru?

— Nic. — I kiwając żałośliwie głową, pociągając nieustannie nosem, znów począł lamentować:

— O laboga! laboga!

— A gdzie jest matka, pani Maciej owa?

— Matka? — powtórzył Maciuś.

— No tak! Gdzie ona jest?

— Wzięli ją.

— Kto ją wziął?

— Szwedy.

I jak gdyby przypomniał sobie całą grozę swego położenia, pociągnął gwałtownie nosem, oczkami, zaczął rozpaczliwie mrugać i po dawnemu zawodzić:

— O laboga! laboga!

— Cicho byś był, do paralusza! — zawołał gniewnie Kazik. — Co twoje babskie lamenty pomogą! Jeszcze przyjdzie ront szwedzki i zabierze cię do kordegardy, i tam cię oćwiczą srodze.

Maciuś spojrzał wystraszony na Kazika, obejrzał się dokoła trwoźliwie, czy w rzeczy samej rontu gdzie w pobliżu nie ma, i od razu ucichł.

— Gadajże mi teraz — mówił dalej Kazik — co się z twoją matką stało?

— Wzięli ją.

— To wiem, ale dokąd ją wzięli?

— Do Zamku.

— Do Zamku? O, to źle!... to bardzo źle! — szeptał Kazik na pół do siebie, na pół do Maćka. — Tam jest gubernatorem pan Gildesterna, człek srogi. No i cóż ty myślisz robić?

— A nic.

— Cebula jesteś, i koniec! Czego tu stoisz? To wszystko teraz nic niewarte. Wiesz co? Chodź ze mną!

Maciek obejrzał się wolno na szczątki kramiku, podrapał po szczecinowatej głowie i jak gdyby widok tej ruiny obudził w nim poprzedni żal, zaczął rozpaczliwie machać długimi rękami, pociągając nosem i lamentować:

— O laboga! laboga!

— Stulzę gębę, do stu katów, czy chcesz, żeby cię Szwedy osmagały?

— Nie chcę! — zawołał żywo Maciek, trwoźliwie spoglądając dokoła.

— Więc bądź cicho i chodź ze mną!

— Dokąd?

— Zobaczysz.

Maciek swoim zwyczajem leniwie obejrzał się na szczątki kramiku i szlochając spytał:

— A to?

Kazik chwilkę pomyślał i rzekł:

— Masz rację, szkoda tego tak zostawić. Masz tu gdzie koszyk?

— Mam... tam! — i wskazał na głąb kramiku.

— Więc dawaj go, pozbieramy to wszystko i zabierzemy.

Upłynęło dość czasu, nim Maciek się poruszył i dostał się do kramu i tam, pośrodku mnóstwa rupieci, wydobył duży z wikliny koszyk. Kazik niecierpliwiał się, nalegał, wołał:

— A żywo! Ruśzajże się! Cap jesteś, mazgaj i cebula zatracona!

Maciek w milczeniu znosił te wymyślenia, z obojętnością taką, jakby się one jego nie tyczyły, ale wcale zwawiej się nie ruszał.

Wolno, systematycznie wydobył kosz, otrząsnął go, wyprostował się, pociągnął nosem, odetchnął głęboko i mruknął:

— A tom się zmachał!

— Zmachał się! Nie wiem czym! — zawołał Kazik. — Bodajże cię! Dawajże ten koszyk!

Maciek wolno podniósł kosz, zarzucił na plecy i ostrożnie wyciągając swe długie, cienkie nogi, przeszedł przez różne szczątki i stawiając kosz przed Kazikiem, powiedział:

— Masz!

I znów się przeciągnął, westchnął i szepnął:

— A tom się zmachał!

Kazik już nic nie rzekł na to, mruknął tylko coś pod nosem i począł żwawo zbierać różne przedmioty, rozrzucone paziemi, i wkładać je do kosza. Maciek stał, patrzył na to i nagle ni stąd, ni zowądzaszłochał i zajęczał tak głośno, że się aż rozlegało dokoła:

— O laboga! laboga!

Kazik aż podskoczył z gniewu i przypadłszy do Maćka, wymierzył mu w bok potężnego kułaka pięścią, wołając:

— Stulisz ty gębę, cebulo! Zabieraj mi się zaraz do roboty, bo ja tu czasu nie mam bawić się z tobą, ośla głowo!

Maciek spojrział na Kazika, otrząsnął się po kułaku i rzekł:

— Nie bij!

— Jakże cię nie bić, kiedyś cap!

— A nie cap, jeno Maciej Dratewka.

— Zabieraj się do roboty, bo cisnę wszystko i zostawię cię tu samego.

Na tę groźbę Maciek na koniec schylił się i począł powoli zbierać pierniki, motki nici i wstążek, orzechy i układać to wszystko do kosza. Nie szła mu ta robota, bo ciągle wdychał i szłochał, ale wreszcie zebrano, co się dało, i kosz został tym wszystkim w trzech czwartych napełniony. Gdy to zrobiono, Maciek przeciągnął się, odetchnął głęboko i szepnął:

— A tom się zmachał!

— Czym?

— A tym

— Baran jesteś! Cóż to? Trochę rupieci pozbierać, to u ciebie robota?

— A ino!

— Nie gadaj, zabieramy kosz, ty weź za jedno, a ja za drugie ucho.

— Zaraz.

— Śpiesz się!

— Niech sobie odpoczne.

— A bodajże cię Szwedy ubiły! Po czym ty będziesz odpoczywał?

— Spociłem się.

— Spociłeś się?

— Tak, krzyż mnie boli.

I oglądając się dokoła, znów począł nosem pociągać, oczkami ruszać i nagle jak nie ryknie na cały Rynek:

— O laboga! laboga!

Kazik aż podskoczył i już nie wiedział, co robić, ale na szczęście rozległy się miarowe kroki żołnierzy idących rontem.

— Ront idzie! — syknął Kazik. — Bierz kosz i uciekajmy!

To poskutkowało. Maciek porwał koszyk i wyciągając swe długie nogi, machając ręką, puścił się tak szalonym pędem, że Kazik, który trzymał kosz za drugie ucho, ledwie był w stanie nadążyć. W jednej chwili znaleźli się na Wąskim Dunaju.

Tak ubiegłszy kilkanaście kroków, Maciek czując, że już niebezpieczeństwo spotkania się z rontem minęło, nagle zatrzymał się tak gwałtownie, że Kazik, nie spodziewając się tego, wpadł na kosz i głową zanurzył się między pierniki, nici i wstążki.

Maciek wolno odwrócił się i spostrzegłszy towarzysza w takiej pozycji, ciężko wydobywającego się z kosza, począł się piskliwym głosem śmiać:

— Hi! hi! hi!

Ale Kazik wygramolił się na koniec z kosza i oplakaną miał fizjonomię, bo natknął się twarzą na jakiś miękki piernik, który mu się przylepił do nosa. Ujrzawszy to, Maciek aż chwycił się oburącz za brzuch i zanosił się od śmiechu:

— Cha! cha! cha!

Kazik, wściekły od gniewu, otarł z twarzy rozplaszczony piernik i przyskoczywszy do Maćka, zapytał gniewnie, ściskając pięście:

— Czego się, szewcka smoło, śmiejesz?

— Z ciebie.

— Ze mnie? dlaczego?

— Boś żółty na gębie. Hi! hi! hi!

Kazik, niewiele myśląc, wymierzył mu pięścią jeden i drugi potężny raz pod bok i rzekł:

— Masz! masz! Śmieję się teraz!

— Nie bij — mruknął Maciek.

— Czego stoisz? Weź kosz, bo, dalibóg, nie wytrzymam. Po coś stanął?

— Żeby odpocząć.

— Po czym?

— Zmachałem się!

— Weźmiesz ty koszyk? Bo inaczej, jak mnie widzisz, zostawię cię na środku ulicy samego i rób sobie, co chcesz.

Na tę groźbę Maciek westchnął, wziął kosz leniwie i już teraz wolnym krokiem szedł naprzód. Ale niebawem na rogu ulicy Pivnej, a jak ją wtedy nazywano, Św. Marcina, zatrzymał się, kosz postawił i mruknął:

— A tom się zmachał!

Ale Kazik już nic nie mówił, tylko gniew tłumił w sobie, bo wiedział, że z upartym i leniwym Maćkiem nic nie poradzi. Milczał więc i w ten sposób, posuwając się wolno zatrzymując się co kilka kroków, przy czym Maciek wzdychał i połą od żupana obcierał pot z czoła, dostali się na koniec do kamienicy zamieszkałej przez pana Rafałowicza.

— Chwała Bogu — szepnął Kazik — bo, dalipan, dłużej już bym nie wytrzymał z tym gamoniem.

Niemąło jeszcze było kłopotu, nim kosz wywindowali na trzecie piętro, ale przecie trudnego tego dzieła dokonali na wielkie wzdychanie i jęki Maćka.

### ROZDZIAŁ III

#### *W którym pani Hipolitowa występuje na scenę*

Pan Rafałowicz, mąż leciwy i poważny, zajmował w kamienicy Sebastiana, cyrulika, na trzecim piętrze dwa pokoiki z kuchnią. W tej królowała niepodzielnie pani Hipolitowa, gospodyni i kucharka, kobieta niemłoda, otyła, wiecznie zagniewana i gadatliwa nad miarę. Owego wieczoru czerwcowego, podawszy swemu panu gorącej polewki winnej z grzankami, siadła sobie w kuchni i zadziawszy na nos ogromne okulary, zabrała się niby do cerowania jegomościowej bielizny, ale że w kuchni było gorąco, więc dzierząc w jednej ręce igłę z nitką, w drugiej koszulę, zdrzemnęła się na dobre. W kuchni było dużo much i te, znalazłszy tak obfity pokarm, jakim było spocone oblicze pani Hipolitowej, obsiadły je tłumnie i gryzły niemłosiernie, na co jednak drzemiąca zgoła nie zważała, ale, zapadając w coraz większy sen, chrapać sobie, na dobre zaczęła.



W tej właśnie chwili ktoś delikatnie do drzwi zastukał. Zrazu pani Hipolitowa tego nie słyszała, ale na koniec, gdy pukanie się powtórzyło i stawało się coraz silniejszym, zerwała się na równe nogi i nie mogąc się zorientować, przeżegnała się szepcząc:

— W imię Ojca i Syna, a co to?

A gdy się pukanie znów rozległo, pobiegła do drzwi i nie otwierając zapytała:

— Kto tam?

— Ja.

— Co za ja?

— Kazimierz Ginter.

— Ginter? Go za Ginter?

— A przecież mnie pani Hipolitowa zna. Jestem syn starej Juliuszowej Ginterowej z Krzywego Koła.

— Aa! a czegoż ty, smyku, chcesz po nocy?

— Mam sprawę do pana Rafałowicza. Przyszliśmy tu z Maćkiem Dratewką.

— Z kim?

— Z Maćkiem Dratewką.

— A to co za lichy?

— Nie lichy, jeno syn przekupki Madejowej.

— Aa! a on czego chce?

— Też przyszedł do pana Rafałowicza. Ale niech nas jejmość puści, bo czegoż my tu będziemy wystawali na schodach?

— Nie mogę, tego by jeszcze brakowało. Pójdę przody, poradzę się jegomości. Kto wie, czyś ty Ginter? A może jaki zbój albo, co gorsza, Szwed. Czekaćcie, zaraz wrócę.

Pobiegła, jak mogła najprędzej, do drugiej izby, gdzie pan Rafałowicz, ubrany w dostatni kitajkowy żupan, siedział sobie w wielkim krześle psią skórą wybitym i popijając wino grzane, przerzucał kartki w jakiejś wielkiej księdze. Był to już człowiek niemłody, łysy zupełnie, z ogromnymi jak wiechcie wąsami, na dół opadającymi, surowy z wejrzenia, pomarszczony jak purchawka, otyły, o oczach dużych, czarnych i nadzwyczaj bystrych.

— Jegomość, jegomość! — zawołała Hipolitowa wtaczając się do izby.

— A co? — zapytał spokojnie Rafałowicz podnosząc oczy.

— Przyszło jakichś dwóch smyków, alem ich nie puściła, bo to może Szwedy.

— Cóż to za smyki? Jak się zowią?

— Jeden peda, co jest synem starej Ginterowej z Krzywego Koła, a drugi przekupki Maciejowej z Rynku.

— A Kacpra tam nie ma?

— Nie ma.

— No, więc idź jejmość i wpuść tych dwóch smyków. Zobaczymy, czego chcą.

— A nuż to Szwedy przebrane?

— Nie plotłabyś jejmość nie do rzeczy! Idź i wpuść ich.

Pani Hipolitowa pokiwała głową i przeżegnała się idąc do kuchni

— W imię Ojca i Syna, jegomość to ta zawsze z tymi smykami ma jakieś konszachty. Ha! niech się dzieje wola Boża!

Otworzyła drzwi i na wielkie swoje przerażenie ujrzała najprzód Maciusia ciągnącego kosz, za nim Kazika, a wreszcie Kacpra, który właśnie także nadszedł. Ale jeżeli długa, cienka postawa Maćka, ciągnącego kosz z trzaskiem i hałasem i stękającego swe „o laboga, laboga”, przestraszyła Hipolitowa, to widok Kacperka, którego знаła dobrze, jako codziennego niemal gościa jej pana, uspokoił ją zupełnie. Jednakże zaciekawiona, co znaczy ten kosz olbrzymi, lękając się (bo to jej przez myśl przebiegło), czy w nim nie ma ukrytych jakichś pół tuzina Szwedów, zapytała żywo Maćka, który najbliżej niej stał:

— A to co?

— Kosz — odrzekł Maciek spokojnie.

— Jać to wiem, że kosz, ale co w nim jest?

— Towary.

— Towary? Jakie towary?

— Matusine. I Maciek przeciągnął się, ziewnął i zajęczał:

— O laboga! laboga! A tom się zmachał.

— W imię Ojca i Syna, ki lichu... Panie Boże odpuść! — zawołała Hipolitowa patrząc na Maćka.

Ale już Kacperek wysunął się naprzód i dowiedziawszy się od Kazika na schodach o wszystkim, co się stało na Rynku, rzekł:

— Niech no pani Hipolitowa się nie boi. To są towary z kramiku starej Maciej owej, który Szwedy rozbili.

— Szwedy? O niecnoty!

— Niech no nas jejmość wpuści do pana.

— A idźcie, czeka tam na was. Ale cóż będzie z tym koszem?

— Ostanie tu.

— Jak to: ostanie? A nuż Szwedy się o tym dowiedzą?

— Niech się pani Hipolitowa nie boi, nie dowiedzą się.

To rzekłszy. Kacperek ruszył przodem do izby pana Rafałowicza, a za nim milcząco Kazik i Maciuś stękając i jęcząc swoje:

— O laboga! laboga!

Pan Rafałowicz przyjął ich z wesołą twarzą, ale zaraz Kacperka zapytał wskazując na Kazika i Maćka:

— Witaj mi, Kacperku! A ich po coś przyprowadził?

— Przyszli do jegomości po radę i pomoc

— Aha! — rzekł na to pan Rafałowicz — siadajcie. A może się czego napijecie, he?

— O! ja bym się napił! — zawołał dyszkantem Maciuś.

— Zaraz. Hej! Hipolitowa!

Klasnął w ręce i niebawem zjawiła się Hipolitowa, stanęła we drzwiach i opryskliwym głosem zapytała:

— Czego?

— Nie masz ta czego dać napić się tym młodzieniaszkom

— Napić się? A skądże? A przy tym takim smykom nie godzi się i niezdrowo jest pić.

Pan Jezus dał wodę na to, by ją pić, a reszta to są... Panie Boże odpuść... diabelskie, z przeproszeniem jegomości, wynalazki

— No! no! — uśmiechnął się pan Rafałowicz — nie zrzędziłabyś, stara, jeno daj czego, bo jakże gadać o suchym gardle?

— Jegomość to ta zawsze sprowadza do siebie tych smyków i obaczy jegomość, że z tego będzie jeszcze jaka galimatia.

— Dobrze! dobrze! Przynieś jeno co. pić.

— Nie mam nic, jeno dzbanek podpiwku.

— Daj i podpiwku, skoro nic innego, nie ma, jeno prędko, a drzwi od schodów zamknij i nikogo nie wpuszczaj.

Hipolitowa spojrzała złymi oczami na siedzących chłopców, zwłaszcza na Maćka, którego figura najbardziej się jej nie podobała, chciała coś rzec, ale splunęła i wyszła. Wkrótce wróciła z dzbanem glinianym i czterema szklanicami z zielonego szkła i zabierała się do wyjścia, mrużąc coś pod nosem niechętnie. Wychodząc, jednak spojrzała na Maćka, który przysiadł był sobie na niskim kufrze w kątku, a że miał nogi niezwykle długie i cienkie, więc je wyciągnął, a sam ziewał szkaradnie i jęczał przyciszonym głosem, bo miał wielki respekt dla pana Rafałowicza:

— Ó laboga! laboga!

Pani Hipolitowa powstała chwilę, popatrzyła na ziewającego Maćka, na jego nogi wyciągnięte aż na środek izby, ruszyła ramionami i przeżegnała się, szepcząc:

— W imię Ojca i Syna... ki lichu!

Na koniec wyszła i zamknęła za sobą drzwi starannie. Wkrótce potem, gdy między rozmawiającymi w izbie, jak to często bywa wśród najciekawszej nawet pogadanki, zapanowało chwilowe milczenie, słychać było potężne, na różne tony wygrywane chrapanie pani Hipolitowej.

— No — rzekł po wyjściu swej gospodyni pan Rafałowicz — teraz jesteśmy sami i nikt nam nie przeszkodzi, musimy gadać. Ale nalejże im piwa, Kacperku, bo mnie nogi bolą i krzyż, to mi się, mociumdzieju, trudno ruszać.

Kacperek zabrał się do nalewania owego podpiwku, a tymczasem pan Rafałowicz dalej mówił:

— Nim jednak przystąpimy do spraw tych oto młodzieniaszków (tu wskazał na Kazika i Maćka), najpierw należy pogadać *depublicis*. Opowiadaj, Kacperku, co tam wiesz nowego.

W tejże chwili Maciek, który wypił całą szklanicę piwa jednym tchem, postawił ją z trzaskiem na stole, obtarł rękawem od kubraka szerokie swe usta i całą pierś ryknął:

— O laboga! laboga!

— A to co? — przestraszył się . pan Rafałowicz i aż podniósł się nieco na krześle. — Co się stało? — zwrócił się do Maćka.

— A nic — odrzekł tenże.

— A czegożeś tak wrzasnął?.

— Niczego!

— Jak to: niczego? Przecież coś, ci się stać musiało?

— Nic... jeno mi kwaśno w gębie.

— Z czego?

— Z tego podpiwku.

Ale Kacperek wmieszał się w tę rozmowę, która by z pewnością końca nie miała, bo znał Maćka, i rzekł:

— A niech jęgomość na tego kpa uwagi nie zwraca. To całkiem głupi chłop, choć poczciwy.

— A nie głupi! — zaprotestował Maciek.

— Cicho bądź! — syknął mu nad uchem Kazik i wlepił mu kułaka pod bok.

— Nie bij! — mruknął Maciek.

— Jak mi się jeszcze raz ozwiesz — szepnął Kazik — to cię razem z Kacperkiem weźmiemy za kark i za drzwi wyrzucimy na ulicę, a tam Szwedy na ciebie czekają i taką ci łaźnię w kordegardzie marszałkowskiej sprawią, że ci się rodzona babka przyśni.

— Nie gadaj! — zawoła! Maciek. — Zali prawdę mówisz?

— Najprawdziwszą prawdę.

— No, to już pary z gęby nie puszcze.

Jakoż odtąd nie wyrzekł ani słowa, jeno oparł się plecami o ścianę i zaraz zasnął tak mocno, że jego basowe chrapanie wtórowało pięknie dyszkantowym tonom pani Hipolitowej w kuchni.

## ROZDZIAŁ IV

*Jako Kacperek obrzydzenia dostaje  
namyśl o postępkach pana Gizy*

— Dziś tedy o południu — rozpoczął swą relację Kacperek — przybył do ratusza, do pana prezydenta, pewien braciszek, jakoby z konwentu bernardyńskiego. Patrzałem na to własnymi oczami, bo w izbie radnej, okrom pana Giza i mnie, nikogo więcej nie było. Patrzę ja na owego braciszka, a że ja ich tam wszystkich znam w naszym klasztorze warszawskim, więc zaraz sobie powiadam: „O! to nietutejszy, to jakiś obcy”. Siedzę sobie tedy, gryzę pióro i patrzę, ile że on braciszek wcale mi nie wyglądał na zakonnika, ale chyba na żołnierza.

— Tak? — zapytał ciekawie pan Rafałowicz. — A dlaczegoż to?

— Dlatego, proszę jegomości, że wszedł z trzaskiem do izby, a postawę miał dumną i wyprostowany był jak świeca. Stał tak silnie, że się podłoga pod nim trzęsła.

— Nie dziwota — ozwie się na to pan Rafałowicz — ratusz jest gmach stary i belki ma pogniłe. Toteż jeżeli jaki mąż setny idzie, to się wszystko trzęsie i jeszcze się kiedy, Boże broń, zawali. Kiedym był rajcą, gadałem o tym nieraz współobywatelom, ale to groch na ścianę. Ciężko im za wzdry było sięgać do mieszka, a teraz ciężiej niż dawniej. Ale opowiadaj dalej, Kacperku. Cóż ten braciszek?

— Ano... braciszek, wszedłszy na środek izby, obejrzał się dokoła, groźnym patrząc wzrokiem, i rzekł grubym basem: „A gdzie tu jest pan prezydent?” Potem zaraz się spostrzegł, spokorniał i rzekł pochyliwszy głowę: „*Laude-tur Jesus Christus*”. Już to samo świadczyło, że nie był on zakonnikiem, jeno całkiem świeckim, który na się postawę bernardyna przybrał.

Hm! hm! — mruknie pan Rafałowicz i przysunie się z krzesłem do Kacperka — osobliwsze rzeczy mi tu opowiadasz. Cóż dalej?

— Tedy pan Giza, który siedział za prezydenckim stołem i mozolił głową, skąd tu wziąć dla Szwedów na wielką ucztę, którą jenerał Wittenberg wyprawia, dwustu kapłonów, baranów moc też wołów i wszelkiego rodzaju marcepanów i napitków...

— Jakże to? Wittenberg biesiadę wyprawia?

— A tak. Pojeżdżały się ich żony, niby tych Szwedów, więc chcą się zabawić i wczoraj wieczorem przysłał jenerał Wittenberg do pana prezydenta tak długą, jak moja ręka, konotatę, co miasto ma dostawić. Strach, co tego tam jest! Ryby, limony, pinole, wina, samego piwa pięćdziesiąt beczek...

— Patrzajże, co tym zamorszczykom się zachciewa!

— A tak! a tak! Ale mnie się widzi, że będą oni mieli inne limony, ale ołowiane.

— Hm! proszę ja ciebie, mój Kacperku, gadajże dalej. Cóż tedy pan prezydent i on bernardyn?

— Ano... pan prezydent wstał i rzekł: „Oto jestem”. Więc on bernardyn obejrzał się dokoła, popatrzał na mnie i rzecze: „Ja tu mam do waćpana interes, ale jeno w cztery oczy”.

„Możesz, ojczy dobrodzieju, wszystko gadać — ozwie się na to pan Giza — bo to jest mój krewniak, sekretarz radziecki, a chociaż młody, umie język trzymać za zębami”.

Prawdę rzekłszy, okrutnie byłem wdzięczny za to panu Gizie, bo mię haniebna wzięła ciekawość dowiedzieć się, co to jest za braciszek i z czym do pana prezydenta przyszedł. On też obejrzał się Jeszcze raz i spytał: „Nikt nas tu nie podsłucha?” „Nikt — odpowiem ja — a zresztą obaczę”. „Obaczże, mój chłopcze — rzecze mnich — bo tę sprawa gardłowa”. Skoczyłem tedy, wyjrzałem za jedne i za drugie drzwi, nie ma nikogo. Zamknąłem szczelnie podwoje i mówię: „Możesz, ojczy, gadać, nikt tego nie usłyszy”. Tedy braciszek zbliżył się do pana Giza i sięgnawszy ręką do kieszeni, wydobyl nożyk i poczał pruć rękaw habitu i gadać: „Mam tu do waćpana pismo królewskie”. Pan Giza, który, choć prezydent i mój krewniak, jest, jak wiadomo, tchórzem podszyty i głowę ma zakutą, nie od razu zrozumiał i pyta: „Królewskie pismo? Od najjaśniejszego Karola Gustawa?” Ale braciszek spojrział groźnie i mruknie: „Co mi tam waćpan do stu par diabłów pleciesz o jakimś

najjaśniejszym Karolu Gustawie! Tu jest Rzeczpospolita Polska i jeden tylko w niej jest najjaśniejszy król, Jan Kazimierz. Rozumiesz to, mości panie prezydencie?" Powiadam jegomości, jakem to usłyszał, ażem podskoczył z radości, a pan Giza to spostrzegł i spojrzy na mnie spode łba, i rzecze przez nos, jak to on gada, kiedy jest zły: „A ty czego się wiercisz u paralusza!" Przycupnąłem i patrzę a słucham, a braciszek dalej gada "Ja tu do waćpana i do wszystkich rajców mam pismo nie jakiegoś tam rabusia i wywłoki Karola Gustawa, jeno króla polskiego, Jana Kazimierza. A że tu w Warszawie Szwedy jeszcze grasują, wiecem zaszył me pismo w rękaw od habitu, żeby go te heretyki paskudne nie zwąchały". Tak gderając rozpruł rękaw i wydobył owo pismo, i oddał je panu prezydentowi, mówiąc: „Masz waćpan i czytaj!" Cha, cha, cha! Trzeba było widzieć pana Gizę, jak zbladł niby chusta, potem zzieleniał, to przysiadł, to się zrywał i syknął głosem drżącym: „Cicho! Na rany Chrystusa Pana, cicho!" „A to czemu? — spytał braciszek. — Czyż ten młokos nie powiedział, że nas nikt nie podsłucha?" „No, tak... niby tego, ale i ściany mają uszy". „Toteż waćpan nie gadaj Jeno czytaj, a ja sobie usiądę, bom się zmęczył". To rzekłszy przysunął sobie wielkie krzesło pana Baryczki i siadł na nim, i patrzył jako pan Giza drżącymi rękami rozpieczętowywał pismo.

— No! no! — zauważył pan Rafałowicz — przysięgam Bogu, osobliwsze mi tu nowiny opowiadasz. Cóż było w tym piśmie?

— Miałem ci ja okrutną ochotę zobaczyć to pismo królewskie, ale jak to mogłem uczynić? Siedziałem tedy jak na szpilkach, a pan Giza niby czytał, a papier to mu tak szeleścił w rękach, jakby wiatr nim miotał. Wreszcie odezwie się: „Nie, nie mogę, nic nie widzę. Kacperku, chodź no tu, odczytaj, co nam król jegomość pisze". To rzekłszy westchnął ciężko, a tak się spocił, że aż krople potu

sływały mu po okrągłym i białym jak u niewiasty liczku. Nie trzeba mi było dwa razy tego rozkazu powtarzać.

Skoczyłem, pismo schwyłem i jednym rzutem oka przejrzałem. — Więc przeczytałeś? — spytał pan Rafałowicz.

— A jakże, przeczytałem.

— I cóż tam było?

— Dokumentnie to ja tego powiedzieć nie mogę, ale pamiętam dobrze samą treść. Król jegomość w łaskawych bardzo słowach polecał prezydentowi i radzie oddawcę tego pisma, imci pana Seweryna z Żurawińca Boskiego, rotmistrza chorągwi pancernej, a że pismu niebezpiecznie powierzać ważne sprawy, których pan Boski jest posłem, więc nakazuje pod łaską swoją wysłuchać pilnie pana Boskiego i wypełnić to wszystko, co on powie.

— Patrzajże! — klasnął w ręce pan Rafałowicz. — To takie rzeczy się święcą, ale gadajże dalej, cóż ten pan Boski powiedział?

— Skórom przeczytał w głos owe pismo, pan Boski rzecze: „Słuchajże mię waćpan, bo czasu nie mam i Szwedziska mogą mię capnąć. Tedy wiedz, że król egomość niebawem z wielką potencją przyjdzie pod Warszawę i jeżeli się Wittenberg nie podda, szturmem miasto weźmie i tych zamorszczyków do nogi wytniemy. Ale wziąć takie miasto jak Warszawa — niełatwo, więc król egomość nakazuje waćpanom i rajcom, ażebyście mu dopomogli, uzbroiwszy się cichaczem; i czasu szturmowi wewnątrz uderzyli na Szweda; żebyście wskazali, któredy najłatwiej dostać się do miasta, i bramy otworzyli. Takim jest moje poselstwo.

— Patrzajże, patrzajże — wołał pan Rafałowicz ogromnie ucieszony i przysuwając się coraz bardziej ze swym zydlem do Kacperka. — Szturm będzie... Szwedów do nogi wytną! A toś mnie ucieszył, mój chłopcze! Niech ci to Pan Jezus wynagrodzi. No i cóż? Cóż na to pan Giza?

— Pan Giza! A niech go tam!... Choć to mój krewniak i też zwierzchnik, jednakże lichy to człowiek. Skoro usłyszał owe słowa pana Boskiego, zzieleniał jeszcze bardziej i nuż mu gadać: „Ale owszem, owszem... tego... tylko cóż my, niebożęta, poradzimy? Tu jest wielka potencja szwedzka, trzymają nas za łeb, mury naprawili... gdzie nam tam... my, ludzie nierycerscy, łokciem i miarką się paramy, nie znamy się na rzemiośle wojennym” i tym podobne rzeczy gadał, niby nie odmawiał, ale nic nie przyrzekał i w strachu był okrutnym, a pocił się, że aż kapało z niego. Prawdę rzec, obrzydzenie mnie brało.

— A cóż ów poseł królewski na to?

— A cóż? Patrzył i słuchał, a w końcu wstał, splunął i rzekł: „Bodaj was zabito! Prawdziwe jesteście łyki i tchórze. Poselstwo moje spełniłem, wolę króla jegomości waćpanu zakomunikowałem i siedzieć tu nie mam czego. To tylko ci, mości prezydencie, powiem, że my z taką mocą przyjdziemy pod Warszawę, że się bez waszej, łyczków, pomocy obejdziemy. A jak wymieciemy to robactwo szwedzkie, to się weźmiemy do was, zdrajców. Tfu! Do kaduka, gdybym tu ostał dłużej, toby mię paralusz z aprehensji naruszył”. To rzekłszy nadział kapuzę na głowę i z wielkim trzaskiem i gniewem z izby wyszedł. Oto wszystko.

— Hm! — mruknął zamyślony pan Rafałowicz — ja się zawsze spodziewałem tego po panu Gizie. Nie od wczoraj go znam i wiem, co to za ptaszek. Ale burmistrz nie jest wszystkim w mieście. Poseł królewski miał poselstwo i do rajców, do mężów trzech porządków, a oni pewnikiem inaczej postanowią.

— Nic z tego nie będzie, mój jegomość. Pan Giza, jak tylko poseł wyszedł, począł stękać i narzekać, i jęczeć: „A po co .mi zdrową głowę kłaść pod Ewangelię! — gadał. — Niegłupim. Co nam do tego, nie myśmy tu Szweda sprowadzili i. nie my go wypędzać będziemy. Kto piwa nawarzył, niech go sobie wypije”. Potem począł gadać, że go głowa i krzyż boli, że go rozebrało i musi pójść do domu i dekockt pić z driakwią, bo mu słabo. Jakoż poszedł i położył się dó łóżka, i podobno chorować będzie tak długo, aż się to wszystko ze Szwedami nie skończy.

Zapanowało milczenie. Pan Rafałowicz pograżył się w głębokie dumania, których ani Kacperek, ani Kazik przerwać nie śmieli. I była wielka cisza, którą jeno zakłócało basowe chrapanie Maćka Dratewki w izbie i dyszkantowy pisk pani Hipolitowej w kuchni.

Na koniec milczenie to przerwał pan Rafałowicz. Ocknął, się ze swej zadumy, poprawił na krześle i rzekł:

— Tak to, tak bywa na świecie! Ale to są sprawy publiczne, niewesołe co prawda. Powiedzże mi teraz, dlaczego ci dwaj młodzieńcy do mnie przyszli?

Tu wskazał na Kazika i Maćka i dodał:

— Podobno chcą jakiejś rady, o cóż więc idzie?

— Ej — odparł Kacperek, — Kazik Ginter to nie przyszedł po żadną pomoc ani też radę. Tyle tylko, że mu Szwedy doskwirzyły do żywego i że chłop jest ciekawy, więc przyszedł gwoli tego, żeby się dowiedzieć, co słyhać. I pewnikiem dusza mu skacze z radości na wspomnienie, że król jegomość szturmować będzie Warszawę i temu plugastwu szwedzkiemu zada dajfeldreku.

— Jakbyś zgadł, że się cieszę! — zawołał Kazik, a oczy zaświeciły mu się jak dwa kęrbunkuły.

— No... a ten drugi — tu wskazał pan Rafałowicz na Maćka — czegoż on chce?

— O! z tym to bieda będzie, mój jegomościuniu — ozwie się Kacperek — temu trzeba radzić i dopomóc.

W czymże takim?

Więc Kacperek szeroko i dokumentnie opowiedział, jak Szwedy napadły dziś nad wieczorem na kramik Maciejo-wej, przekupki, wdowy po szewcu Macieju Dratewce, jak

Madejowa się walecznie broniła i Szwedów pobiła, jak nadszedł ront, kramik rozbił i biedną przekupkę zabrał do kordegardy na Zamek.

— Więc cóż? — spytał pan Rafałowicz.

— Ano... wiadomo, że gubernatorem Zamku jest pan Gildesterna, człek srogi i gotów z Madejową Bóg wie co zrobić. To nas okrutnie trapi.

— Was trapi, ale nie jego — tu wskazał na Maćka — choć jest syn. Śpi sobie w najlepsze.

— A to, proszę jegomości — ozwie się na to Kazik — to już takie jego przyrodzenie. Chłop to głupi, ale dobry. Byle jeno usiadł, zaraz śpi.

Pan Rafałowicz znów pogrążył się w zadumie, polewkę, która całkiem wystygła, popijał, wąsa motał, wreszcie rzekł:

— Już to tam, mociumpanie, co do owej Maciejowej rady żadnej nie ma. Kiedy baba nawarzyła piwa, niechże sobie pije. Kłótniwa jest i gębę ma od ucha do ucha; nic nie szkodzi, że ją ta Szwedy. w karceresie potrzymają na chlebie i wodzie. Gruba jest i tłusta, trochę schudnie i na tym koniec. Zresztą, co jej tu pomóc? Chybaby ją wykraść z Zamku, ale ta gra niewarta świeczki i jakże ją zresztą wykradać? Towar, któryście tu przynieśli, niech ta sobie stoi u mnie, nikt go nie ruszy, ale samej Madejowej ja nic nie poradzę. Zresztą, co ja i wy mamy myśleć o swarliwej przekupce, kiedy ważniejsze sprawy są na głowie.

Umilkł, poprawił się na krześle, popił polewki i rzekł:

— Bo że ani pan Giza, ani też rajcy i mieszczanie nie pójda za wezwaniem królewskim, to widać dokumentnie z tego, coś tu opowiedział, mój Kacperku, a co ja też z doświadczenia wiem dobrze. A skoro oni nic nie dopomogą i -każą rozbijać się wojsku królewskiemu o mury i krew przelewać niebożnie, to rzeczą jest naszą i wszystkich ludzi uczciwych, aby owym nieborakom, którzy będą walczyli ze Szwedami, dopomóc. Czy dobrze mówię?

— Dobrze! dobrze! — odezwał się Kacperk i Kazik.

— I gotowi jesteście, tak jak tu stoicie, dopomóc wojsku królewskiemu do wypędzenia Szweda z naszego miasta?

— Gotowi całą duszą i sercem! — zawołali, obaj chłopcy.

— Tedy czekajcie tu — rzekł pan Rafałowicz powstając z krzesła — coś wam pokażę i coś uradzimy.

To powiedziawszy wyszedł do sąsiedniej izby, w której był alkierz jego.

## **ROZDZIAŁ V**

*W którym jest nieco o tajemnicy, o architekcie Ascolim i o śpiochu Maćku*

Dość długo pan Rafałowicz się nie pokazywał, słyhać tylko było, jak otwierał i zamykał jakieś szuflady i szukał między papierami, które szeleściły mocno. Obu czuwających chłopców otaczała wielka cisza, przerywana, jeno chrapaniem Maćka i pani Hipolitowej. Na wieży ratuszowej zegar wydzwonił godzinę jedenastą w nocy i spiżowy głos jego wśród sennego miasta rozchodził się daleko i donośnie. Kacperk i Kazik zaciekawieni byli mocno, co to takiego ma im pokazać pan Rafałowicz, i z niecierpliwością oczekiwali jego powrotu z alkierza.

Na koniec zjawił się on dzierząc w jednym ręku duży arkusz papieru zwinięty w trąbkę, a w drugiej kartkę jakąś złożoną we czworo. Usiadł na krześle, oddychając głośno, bo się widocznie staruszek zmęczył, i kładąc na stole ów papier zwinięty w trąbkę, rzekł:

— Obaczcież to najprzód.

Tedy Kacperek rozwinął ową trąbkę, nie papieru, jak się przekonał, ale pożółkłego mocno pergaminu, i ujrzał na nim narysowany piórem i czarnym atramentem jakiś plan czy konspekt miasta.

— To jakiś plan — rzekł.

— Dobrze, ale przypatrz się jeno, czego to jest plan — odezwał się z uśmiechem pan Rafałowicz.

Gdy się Kacperek i Kazik poczęli lepiej przypatrywać, a nawet odczytywać t,u i ówdzie pomieszczone drobniutkimi literami napisy, przekonali się, że jest to plan ich rodzinnego miasta Warszawy. Wszystkie ulice, mury otaczające miasto, bramy, kościoły i Zamek były bardzo misternie oznaczone, ale co ich uderzyło i dało dużo do myślenia, to że przez cały plan począwszy od Bramy Nowomiejskiej szła czerwona zygzakowata linia kończąca się na dziedzińcu zamkowym.

— To jest plan Warszawy! — zawołał Kazik.

— Tak — ozwał się Kacper — to jest plan Warszawy i jeżeli mam rzec prawdę, o wiele lepszy i wyraźniejszy od tego, jaki znajduje się w ratuszu. Wszystko tu doskonale pojmuję na tym planie, ale zgoła nie mogę pojąć, co by znaczyła owa czerwona linia przecinająca miasto od bram nowomiejskich aż do Zamku!

— Zaraz to pojmiesz — ozwie się z uśmiechem pan Rafałowicz — jeno przeczytaj kartkę przylepioną do planu.

Jakoż do jednego z boków planu przylepiona była pomięta i połamana kartka pożółkłego papieru, na którą, sądząc, że to zgięcie pergaminu, zrazu nie zwrócili obaj żadnej uwagi. Teraz atoli Kacperek skwapliwie i ostrożnie kartkę ową odwinął, wyprostował i zobaczył na niej staroświeckim pismem skreślone wyrazy następujące, które głośno odsylabizował:

— *EirotsI ElleD IlevaihcaM SupO EdiV*. Przeczytał, spojrzął na Kazika, potem na pana Rafałowicza i rzekł:

— Nic nie rozumiem. Po jakimuż to pisane?

— Po łacinie — odrzekł z uśmiechem pan Rafałowicz.

— Po łacinie? — powtórzył Kacperek. — Juścić wierzyć temu muszę, skoro jegomość tak powiada, ale osobliwsza to jakaś łacina. Jać przecie znam ten język, bo rakta w ratuszu nieraz w nim piszę, alem jeszcze jak żyję nie spotkał się z takimi wyrazami, jakie tu opisano.

— Powiadam ci, że to po łacinie — odparł ciągle z uśmiechem na ustach pan Rafałowicz — i zaraz cię o tym przekonam, jeno wprzód obacz, co tam jest dalej na owym karteluszu.

Kacperek i Kazik spojrzeli i znowu zdziwieni byli nadzwyczajnie, ujrawszy pod owym dziwnym napisem szereg cyfr to rzymskich, to arabskich, tak na przykład wyglądających:

XXIV. 75.61.3.10. XL. 1.8. .122. C. 57. CXV. 44.8.65.

itp;

— To są same cyfry — zawołał Kacperek — nic z tego nie pojmuję, to jakaś tajemnica!

— Oczywiście, że tajemnica — ozwie się na to poważnie pan Rafałowicz — tajemnica niezmiernego znaczenia, którą chcę przed wami odkryć, ale wprzódy musicie mi tu przysiąc, że nikomu o niej nie powiecie. Znam ja was obu jako dobrych i zacnych chłopców, ale jesteście młodzieniaszki i zwyczajnie, jak u młodych, macie pstro w głowie. A już jak przysięgniecie, to choćby was język świerzbiał, trzymać go będziecie za zębami. Kacperku, podaj mi krucyfiks, co tam stoi na kantorku.

Gdy Kacperek zadośćuczynił temu rozkazowi, pan Rafałowicz zdjął aksamitną czapeczkę z głowy, przeżegnał się, krucyfiks pocałował pobożnie i rzekł surowo:



— Uklęknijcie i połóżcie po dwa palce na tym oto wizerunku Ukrzyżowanego Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Mówił to głosem poważnym, uroczystym, który wśród ciszy tej nocy dziwne sprawiał na obu chłopcach wrażenie. Uklękli pokornie i położyli po dwa palce na krucyfiksie.

— A teraz — ciągnął dalej pan Rafałowicz — powtarzajcie za mną słowa przysięgi.

I przeżegnawszy się jeszcze raz, mówił:

— Przysięgamy Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, że tego, o czym się tu z tych papierów dowiemy, nikomu nie wyjawimy, choćby nas brano na męki, chyba że tego wymagać będzie bezpieczeństwo Rzeczypospolitej i miasta, tak nam Boże dopomóż i Ty, Przenajświętsza Matko Jego. Amen.

Postawił krucyfiks obok siebie na stole i rzekł surowo:

— Powstańcie! Przysięgliście, a wiecie, jak Pan Bóg surowo karze krzywoprzysięzców. Teraz zbliżcie się tu do mnie i słuchajcie pilnie.

Obaj chłopcy, ogromnie zaciekawieni, przysunęli swe zydle do krzesła pana Rafałowicza, a on półgłosem opowiadał, co następuje:

— Lat temu będzie akuratnie na św. Michał dwadzieścia, gdy w mieście naszym zmarł Włoch pewien, nazwiskiem Silvio Ascoli, architekt, człek uczony i mistrz nad mistrze. Przybył on tu jeszcze za nieboszczyka króla Zygmunta III, jako to wtedy do przebudowy Zamku różnych mistrzów włoskich król jegomość sprowadzał. Włochowi dobrze się u nas wiodło, budował z innymi Zamek, wymurował też wiele kamienic mieście naszym bogatym mieszczanom, jak to panu Walterowi w Rynku, rajcy miejskiemu, pani Katerlinej, panu Dzianotowi, ławnikowi, i innym, których tu wymienić trudno. Były wtedy, mociumpanie, inne czasy, mieszczanie się mieli dobrze, pieniędzy było dostatek, król zamieszkał w Warszawie i sam będąc wielkim miłośnikiem budownictwa zachęcał i wspierał nawet groszem z własnej szkatuły wielu, by się jeno budowali. Miasto całe inną postawę przybrało i było piękne, a wszystko było murowane. Dawne to czasy i wy tego nie pamiętacie, ale ja pamiętam, bom już stary, bardzo stary.

Tu pan Rafałowicz westchnął, poprawił się na krześle i tak dalej mówił:

— Otóż tedy Włoch ten, Silvio Ascoli, zebrał sobie trochę grosza, ile że był oszczędny i pracowity, a człek uczciwy z kośćcami, i wybudował sobie kamieniczkę niewielką, ale bardzo piękną, tuż przy bramach nowomiejskich, ale już *extra muros*, na gruntach wójtowskich, by mieć gdzie spocząć, jak sam gadał, na stare lata. Znałem go dobrze, ile że był uczony i w księgach się kochał, wielce. Miał piękną bibliotekę i nieraz całymi dniami i nocami przesiadywał nad owymi księgami swoimi. Pod starość z nikim nie żył, unikał ludzi, samotnik się zrobił wielki, jeno mnie jednemu dochował ostatecznej przyjaźni. Wdowcem był, bo żona jego, a moja siostra przyrodnia imcipanna Zuzanna Rafałowiczówna, Panie świeć nad jej duszą, dawno mu umarła, nie ostawiwszy, żadnego potomstwa. Stąd to nasza znajomość i przyjaźń, bo ja też zawsze lubiłem się parać księgami i przeto przyłgnęliśmy do siebie z Ascolim. To, bywało, gada on mi nieraz: „Słuchaj no, Pietrze, nie mam ja nikogo na świecie, więc zrobiłem tobie zapis mojej kamieniczki i ksiąg moich, a jak umrę, przechowaj je i dobrze rozpatrz, a znajdziesz tam jedną wielką tajemnicę, która ci się przydać może”.

Znów pan Rafałowicz westchnął żałośliwie, przeciągnął się i prawił dalej:

— Prawdę rzekłszy, do onej tajemnicy jakiejś niewielką przywiązywałem wiarę, boć Ascoli, choć był człek poczciwy, ale dziwak, jakich mało. Ale gdy już umierał, to kazał mi się nachylić nad sobą i szepnął mi: „Obacz w mojej bibliotece dzieło wielkiego Machiavella »Il principe«, tam jest tajemnica”. Myślałem, że umierający majaczy, i. zapomniałem o tym. Skórom go już jednak uczciwie pochował i tablicę mu marmurową wmurowałem w ścianę kościoła Św. Jana, objąłem w posiadanie jego kamieniczkę i bibliotekę, i wszystko, co po nim pozostało. Owóż tedy, mociumpanie, w jakiś czas potem,

przeoglądając one książki, przypomniałem sobie, co mi przed samym zgonem Ascoli powiedział. Wyszukałem tedy dzieło owego Machiavella, który był znakomitym autorem włoskim i napisał sławną po wsze czasy księgę pt. „Il principę”, co niby znaczy po naszymu król, monarcha. O czym tam mówi Machiavelli, to do rzeczy nie należy i wy za młodzi na to jesteście. Dość, że ową księgę w bibliotece Ascolego wynalazł i w niej, we środku natrafiłem na wsunięty między karty ten oto plan Warszawy, który tu przed wami leży, z tym karteluszem do niego przyczepionym.

To powiedziawszy pan Rafałowicz przysunął się z krzesłem do stołu i kładąc rękę na planie, mówił:

— Zrazu, mociumpanie, nie rozumiałem, o co idzie; i rzeknę do siebie: „Ma to być owa wielka tajemnica, o której mi na łożu śmiertelnym mówił Ascoli? Cóż to jest za sekret? Prospekt miasta i nic więcej”. Ale tak jak was dzisiaj, tak i. mnie wtedy uderzyła w oczy owa czerwona linia, co idzie akurat z kamieniczki Ascolego przez całe miasto aż do Zamku. Co by ona znaczyła, odgadnąć nie mogłem, jak nie mogłem w żaden sposób zrozumieć, co jest napisane na przylepionym tutaj karteluszu. Ale od czegoż Pan Bóg dał człowiekowi rozum? Powiedziałem sobie, że pewnością cała tajemnica leży w tych dziwacznych wyrazach wypisanych na karteluszu. Ale do jakiego języka one należą, tego odgadnąć nie mogłem: Zastanawiając się jednak, przypomniałem sobie, że nieboszczyk Ascoli umiał jeno po włosku i łacinie, zatem nie mógł w innym, jak tylko w jednym z tych dwóch języków napisać tych wyrazów. Ale nie było to ani po włosku, ani po łacinie. Łamałem sobie głowę długo, aż wreszcie doszedłem sensu. Kacperku, weź no i przeczytaj te wyrazy od prawej ręki do lewej. Tedy Kacperek zaczął czytać:

— *Vide opus Machiavelli Delie istorie.* — A widzisz! Cóż to znaczy?

— Obacz dzieło Machiavallego *Delie istorie.*

— *Delie istorie* to jest księga tego uczonego włoskiego i znaczy: „O historii”. Jest to dysercja, jak należy pisać historią.

To rzekłszy pan Rafałowicz uśmiechnął się dobrotliwie i mówił dalej:

— Cóż stąd za wniosek? — spytałem się siebie. Oczywiście rzecz, należy zobaczyć owo dzieło, a z niego pewnością, mociumpanie, dowiem się o tajemnicy. Wprawdzie już wtedy zaraz zwróciłem uwagę na szereg liczb rzymskich i arabskich, pomieszczonych pod onym napisem, ale myślałem, że to są jakieś rachunki lub obliczenia architektoniczne Ascolego, ile że miał zawżdy zwyczaj na różnych karteluszach, których mnóstwo po jego śmierci znalazłem, takie rachunki czynić. Otóż tedy wyszukałem księgę Machiavellego „O historii”, ale choć przerzuciłem wszystkie kartki, jedna po drugiej, nic w niej nie znalazłem, co by mnie mogło o tajemnicy objaśnić. Już tedy chciałem całą sprawę rzucić myśląc, że umierający mający przed śmiercią, gdy jeszcze raz spojrzę na owe liczby. To nie mogą być architektoniczne rachunki — rzekłem — tu nie ma żadnych działań, cyfry są dwojakie: rzymskie i arabskiej idą szeregami jak wiersze. To jest jakieś ukryte pismo i w nich mieści się cały sekret.

W chwili gdy to wyrzekł pan Rafałowicz, Maciek, dotąd śpiący, nagle zbyt mocno się przechylił i runął jak długi z wielkim trzaskiem z ławy na ziemię. Wszyscy pozrywali się przestraszeni, a Maciek otworzył też oczy i zajęczał:

— O laboga! laboga!

Tedy pan Rafałowicz przerwał swe opowiadanie i rzekł:

— Cóż z tym śpiochem zrobimy? Możliwi przy nim gadać? Wyprowadźcie go do kuchni i ułóżcie na ziemi, niech śpi i niech nam nie przeszkadza.

Więc Kazik, gniewny najprzód dlatego, że zajęty mocno relacją pana Rafałowicza, przestraszył się nagłym hukem spadającego z ławy Maćka, a potem, że ta przygoda przerwała w najciekawszym miejscu opowiadanie pana Rafałowicza, skoczył do Maćka i kopnąwszy go porządnie nogą, krzyknął:

— Wstawaj, capie jakiś!  
— Nie kop! — mruknął Maciek nie podnosząc się.  
— Wstawaj, mówię ci, bo, dalibóg, nie zdzierzę!  
I to rzekłszy nachylił się, porwał Maćka za szczecinowatą czuprynę i podniósł.  
— Nie targaj! — mruknął Maciek, ale wyprostował się ziewnął, przeciągnął, spojrzawszy zdziwionym wzrokiem dokoła i jęknął:  
— O laboga! laboga!  
Ale nie miał czasu wpatrywać się, bo Kazik z Kacperkiem, który także skoczył, wzięli go za bary i wypchnęli za drzwi do kuchni.  
— Tu, capie jakiś — rzekł Kazik — możesz spać i nie przeszkadzaj nam, bo cię wyrzucimy na ulicę, a tam Szwedzi sprawią ci gorącą łaźnię.  
To rzekłszy zamknął drzwi i wrócił do izby pana Rafałowicza.

## ROZDZIAŁ VI

*W którym jest mowa o tajemnicy mistrza Ascolego.*

Skoro się już uspokojono z Maćkiem, którego chrapanie dało się słyszeć niebawem z kuchni w takt z panią Hipolitową, i skoro wszyscy zasiedli koło stołu, pan Rafałowicz tak dalej mówił:

— Owóż tedy, mociumpanie, na czym to ja stanąłem?  
— Na tym, jak to jegomość zastanawiałaś się nad tymi liczbami.  
— Aa!... Otóż nie mogłem ich nijak zrozumieć. Ale przecie było się kiedyś sekretarzem jego królewskiej mości króla Zygmunta; dobry to był pan, choć z przeproszeniem mruk wielki, Panie świeć nad jego duszą, i przypomniałem sobie, jako do kancelarii królewskiej przychodziły z zagranicy, zwłaszcza od cesarza niemieckiego, różne listy, a zawsze pisane pismem sekretnym, które tam w kancelarii nazywano kluczem. Różne tedy bywają klucze i inwencja ludzka nadzwyczajnych rzeczy w tym dokonała, osobliwie u Niemców. Mądry to naród, choć nam niemiły, ale zawsze przyznać należy, że mądry.

Przysunął do siebie plan i ów kartelusz, poprawił się na krześle i mówił:

— Jakom rzekł, różne bywają klucze. Jedne wywracają wyrazy na wspak, jak to uczynił Ascoli w tym oto piśmie, ale to jest żaden klucz, bo lada kto, byle miał trochę zastanowienia, zaraz rzecz odgadnie. Inne, że zamiast liter stawiają cyfry, rozmaicie ułożone, ale i to nie jest zbyt trudne do odgadnięcia, przy jakim takim namyśle. Wszakże jest jeden klucz, którego zawsze używał sam król jegomość, ile razy własnoręcznie pismo słał do cesarza niemieckiego. W kancelarii nazywano ten klucz książkowym, i to jest taki wynalazek, że choćbyś całe życie myślał nad nim, nic nie wymyślisz, jeśli nie wiesz samego sekretu.

— A to osobliwsze! — ozwie się Kacperek.

— Pewno, że osobliwsze, ale na świecie, mój chłopcze, bywają takie osobliwości, że ci się o nich nawet nie śniło.

— Cóż tedy ów klucz? Jakiż to jest sekret? — zapytał Kazik, którego ta rozmowa nadzwyczajnie interesowała i nierad był, gdy ją czym przerywano.

— Zaraz ci to powiem. Ale też chrapie ten wasz kompanion, niech go kaczki zdepczą!

— To jest chłop głupi, ale poczciwy — ozwie się na to Kacperek.

— Mój chłopcze — rzecze pan Rafałowicz — już ja wolę mieć do czynienia ze złymi, byle byli mądrzy, jak z uczciwymi głupcami.

— Ale cóż ów klucz? — wtrącił Kazik z niecierpliwością, bo paliła go gorączka dowiedzenia się o owych tajemnicach.

— Zaraz, w gorącej wodzie jesteś kąpany — odpowie pan Rafałowicz — wszystkiego się dowiemy, byle powoli. Mamy czas, nic nas nie nagli, a w taką nocną godzinę, gdy wszyscy śpią, najlepiej jest mówić o tajemnicach. Przysunął sobie resztę zimnej polewki, wypił ją i tak mówił:

— To jest taki ten klucz. Dajmy na to, że ty, Kacperku, jedziesz do Krakowa, a ja zostaję w Warszawie i że mamy sobie nawzajem ważnych udzielać wiadomości o Szwedach. Ale Szwedzi nas podejrzewają, mają na oku i mogą przejmować nasze pisma i je odczytywać. Żeby temu zapobiec, a rzecz samą do skutku doprowadzić, umawiamy się, że ja i ty będziemy mieli jedną książkę, niech będzie na przykład „Żywot poczciwego człowieka” pana Mikołaja Reya z Nagłowiec, którąś czytał, bom ci ją pożyczał z mojej biblioteki. Prawda?

— Prawda, jegomościuniu.

— Owóż tedy, to będzie tak, uważajcie jeno pilnie. Jak ja napiszę cyfrę rzymską, na przykład XXVII, to znaczy, że ty, Kacperku, otwórz księgę pana Reya i odszukaj kartę dwudziestą siódmą. Po owej cyfrze rzymskiej, ja napiszę liczbę arabską, na przykład 8, to znaczy, że masz szukać na karcie owej ósmego z kolei wyrazu...

— Rozumiem! rozumiem! — zawołał Kacperek uradowany. — A, to jest mądrze obmyślane. Niechże ich, tych szwabów, czego to oni nie wymyślą!

— Tak, tak — ozwie się na to pan Rafałowicz — że to jest mądrze obmyślane, to ani słowa. Mozolna to, kłopotliwa robota, ale sam Lucyper, z przeproszeniem, nie odgadnie, co się pod tymi cyframi kryje, jeżeli książki nie ma. Pojmujecie to?

— Pojmujemy! pojmujemy! Mądre to jest bardzo...

— Owóż tedy, mociumpanie, patrząc ja na te liczby, co je tu nieboszczyk Ascoli na tym karteluszu popisał, zaraz domyśliłem się, że to jest klucz książkowy. Ale jakiej książki? Pewnikiem nie inszej, jeno owego mądrego dzieła Machiavellego *Delie istorie*. Bo i po cóż by w nagłóweku pisał, że mam do niego zajrzeć? Nie po co innego, tylko że tam znajdują się wyrazy oznaczone cyframi, a wyrazy te wykryją mi ową wielką tajemnicę. Takem sobie rozumował i okazało się, że dobrze rozumowałem.

Kazik ledwie się nie skręcił na zydlu, tak go ciekawość paliła i podziw, że to ludzie takie mądre rzeczy wymyślili,

O których jemu nigdy się nie śniło. A pan Rafałowicz, jak gdyby chciał na próbę wystawić cierpliwość obu chłopców, przerwał, usadowił się lepiej na krześle, milczał jakiś czas nad słuchując chrapania Maćka i pani Hipolitowej, gładził wąsy, uśmiechał się spoglądając spod oka na chłopców, wreszcie rzekł:

— Wyszukałem tedy ową rozprawę Machiavellego „O historii”, a znajdowała się ona w bibliotece po Ascolim,

i zabrałem się do odczytywania tajemnicy. Mozolna to była robota, wiele godzin nad nią straciłem, a i to mi przeszkadzało, że języka włoskiego dobrze nie znałem. Ale że to u nas, w Warszawie, zawsze Włochów było dużo, bo i między kupcami, i też w kapeli królewskiej, wiecem ich się ostrożnie przepytowałem, nie mówiąc dlaczego, co taki lub inny wyraz znaczy. Po tylu to, mociumpanie, zabiegach i kłopotach odczytałem wszystko, co się kryło pod onymi cyframi, i to na polski język wyłożone wypisałem na tej oto karcie.

To powiedziawszy rozwinął papier, który trzymał w ręku, i wręczając go Kacperkowi rzekł:

— Przeczytaj to głośno Kacperku, a dowiecie się o całej Ascolego tajemnicy i gwoli czego kazałem wam tak srogą złożyć przysięgę.

Kacperek głosem drżącym od wzruszenia czytał:

— „Gdy słońce w dzień św. Jana Chrzciciela w samo południe zajrzy do komnaty, znajdującej się w mej kamienicy za Bramą Nowomiejską, na dole po lewej ręce od sieni, i promień jego padnie na obraz mistrza Rafaela, przedstawiający Madonnę *delia Seglia*,

wówczas ty, który te wyrazy czytać będziesz, obraz ów zdejm i patrz, którą cegłę oświeca blask słoneczny. Cegłę te wyjmij, a obaczysz otwór, który gdy rozszerzysz i weń wejdiesz, ujrzesz loch podziemny, który cię przez całe miasto zawiedzie aż na drugi dziedziniec zamkowy, pod wieżę Zygmuntofską. Kierunek tego podziemia oznaczyłem czerwoną farbą na prospekcie Warszawy, który sam narysowałem. O ty, który tę tajemnicę, nikomu nie znaną, wykryjesz, użyj jej na dobro tego miasta, które stało mi się drugą ojczyzną. Dan w Warszawie, w pierwszą niedzielę po św. Filipie Nereuszu, *Anno Domini* 1652. Silvio Ascoli, budowniczy królewski, Florentczyk m.p."

Po odczytaniu przez Kacperka tej zagrobowej spuścizny—w izbie zapanowało milczenie, gdyż każdy z obecnych rozmyślał nad tym, co usłyszał. Zdawało się, jakoby stary Ascoli wstał z grobu i zwiastował im to, co wykrył wśród murów odwiecznych Warszawy. Milczeli więc wszyscy, a cisza wielka wśród nich leżała, ucichło nawet, niby pod dotknięciem tajemnicznej jakiejś dłoni, chrapanie Maćka i pani Hipolitowej.

Ciszę tę wreszcie przerwał pan Rafałowicz.

— Takim jest ten sekret — rzekł — który mi przekazał po swojej śmierci mój szwagier, Ascoli. Że sekret ten jest wielkiej wagi, o tym, mociumpanie, nawet dziecko inaczej sądzić nie może. Dużo by dali Szwedzi, żeby o nim wiedzieli, dużo by też dał król jegomość Jan Kazimierz gdyby z niego przy nadchodzącym szturmie mógł skorzystać.

— A to mu trzeba o tym donieść! — wyrwał się Kazik.

— Hm! — odrzecz na to pan Rafałowicz — dobrze było to. było, ale jak? Najprzód, byłby on bez użytku dla naszych, bo jakże wprowadzić żołnierzy do onej kamieniczki, która stoi tuż przy bramie i pod okiem straży szwedzkiej? *Secundo*, ani ja, a tym mniej wy, nie znamy tych lochów.

Jać zaraz po śmierci Ascolego, gdy nadszedł św. Jan, wyjąłem owe cegły za obrazem i puściłem się do lochu, który jest obszerny, wysoki, sklepiony, ale nie uszedłem i pięćdziesięciu kroków, gdy mi latarka zgasła i iść dalej nie mogłem. Z wielkim tedy trudem i strachem, bym nie zbłądził, wróciłem i więcej tam nie chodziłem. Stary już jestem i niepotrzebną mi była w one czasy ta wiadomość. Ale teraz co innego jest i... zobaczymy. *Tertio*, gdyby nawet to wszystko, com rzekł, nie miało znaczenia, to jakże tu dać znać królowi jegomości i kto mu da znać?

— A choćby ja, gotów jestem!... — zawołał Kazik.

— Ej, młodzik jesteś i nie wiesz, co gadasz! — odrzecz na to pan Rafałowicz. — Żali wiesz, gdzie król jegomość teraz się znajduje, a choćbyś się dowiedział, co jest dość łatwym, to czy takiego jak ty smyka dopuszczą tak zaraz do króla? Król to nie jestem ja ani też Kacperek lub ów Maciek, który tam chrapie jako wół, do którego łączny każdej chwili jest przystęp, ale wielki pan, co nie z każdym gada i czasu na to nie ma. A przy tym, jakże ty wydobędziesz się z miasta? Jeżeli my wiemy, że król idzie na Warszawę, to i Szwedzi wiedzą, i oto po południu dzisiaj był u mnie ksiądz od Fary, znanie go, mansjonarz Noe, którego wezwano do chorej jakiejś pani na Kawęczynie, straże nie chciały wypuścić bez kartelusza pana generała Wittenberga. Miasto więc jest zamknięte i nikogo nie wypuszczają ani wpuszczają bez pozwolenia owego generała.

Ale dajmy na to, żebyś się niepostrzeżenie wymknął, co dla takiego smyka, jak ty, nie byłoby bardzo trudnym; przypuśćmy dalej, żebyś króla jegomości znalazł i z nim gadał, żeby ci dał żołnierzy i żebyś ty ich wprowadził niepostrzeżenie od Szwedów do mojej kamieniczki, to pytam ci się, mógłżebyś to uczynić z czystym sumieniem nie wiedząc, jakie są te lochy i czybyś czasem onych żołnierzy nie naraził na śmierć niechybłą?

— A to jakim sposobem? — zapytał Kazik.

— A takim, że od śmierci Ascolego upłynęło już dwadzieścia lat, a nie wiadomo, ile już lat temu, gdy on te lochy zwiedzał. Kto wie, co się tam w nich dzieje! Może się zaważyły. Bóg wie, co się tam stać mogło. To pewne, że powietrze w nich tak jest sparte, że

ja, zaledwie uszedłszy kilkadziesiąt kroków, o mało się nie udusiłem, a latarka mi zgasła, bo jako wiadomo, ogień nie goreje w złym powietrzu. Nuż byś ich tam podusił, tych żołnierzy, i wziął sobie na sumienie ich dusze, a na głowę słuszny gniew królewski?

— To prawda — odrzekł Kazik — cóż więc czynić?

— Zaraz to zobaczymy, a najprzód przypatrzmy się owemu prospektowi Ascolego, jak to ta linia czerwona idzie. Oto tu jest moja kamieniczka, wyraźnie ją narysował. Od niej owa linia idzie pod bramy nowomiejskie, potem skręca na prawo ku furcie bocznej od Dunaju, biegnie przez tę ulicę na Rynek, tu pod kamienicą „Pod Św. Markiem”, przemyka się ciągle pod kamienicami, aż do ulicy Grodzkiej, co ją teraz zwą Św. Jana. Ale zatrzymajmy się tutaj, bo, mociumpanie, chcę rzec, że zły to jest znak, iż owo podziemie biegnie pod kamienicami. Kto wie, czy tam kto już nie natrafił na te lochy i ich nie zamurował!

— To być może — zauważył Kacperek.

— W kamienicy Św. Marka przecież pan Boratyni bił pieniądze i wiem, że to po piwnicach czynił. Mógł więc na owe lochy natrafić. Ale idźmy dalej. Na ulicy Grodzkiej linia czerwona kieruje się pod kościół 00. Jezuitów, potem pod Farę, a stąd przez Dziekanią do Zamku i kończy się pod wieżą Zygmuntofską, jak ją nazwał Ascoli. Długa to jest droga i bardzo niebezpieczna, prawda?

— Juścić prawda — odrzekli obaj chłopcy.

— Wszelako — ciągnął dalej pan Rafałowicz — nie znaczy to wcale, bym teraz, kiedy tego jest potrzeba dla dobra miasta i kraju, jak napisał Ascoli, nie był za tym, by dokumentnie zbadać te lochy. Czy tak, czy owak, zawżdy się to przydać może, a jeżeli są one jeszcze zdrowe i całe, to czasu szturmowania mogą wielką pomoc naszym przynieść. Rozumiecie to?

— Rozumiemy, co nie mamy rozumieć.

— Otóż tedy, chłopcy — dziś mamy 21 czerwca — za dwa dni będzie św. Jana, a choć ja wiem, gdzie jest ta cegła, jednakże mogę się omylić. Dawno już tam nie byłem. Więc tedy w samo południe pójdziemy we trzech do mej kamieniczki, do owej izby, której nie wynająłem, bojąc się, zdrady, ową cegłę wyjmujemy i w imię Boże ruszymy do lochów. Zaopatrzcie się w jadło, napoje, łuczywa, hubkę i krzesiwa, wypowiedajcie się wprzódy, bo kto z Bogiem zaczyna, to Bóg z nim. Dobrze?

— Dobrze!

— A teraz idźcie spać i za dwa dni rankiem stawcie się tu do mnie jak należy;

## ROZDZIAŁ VII

*W którym Maciek wydobywa z kołnierza talary i opowiada, o piwie wareckim*

Przez dwa dni poprzedzające niebezpieczną wyprawę do podziemi Warszawy Kacperek i Kazik gorliwie zajęci byli przygotowaniami. Na nieszczęście brakowało im pieniędzy. Jeszcze Kacperek jako tako sobie poradził; pełnił urząd w magistracie, znano go w mieście i każdy mu chętnie kredytował, ale Kazik, syn biednej, zrujnowanej wdowy, nie tylko grosza, ale nic na kredyt dostać nie mógł. Bieda przy tym była w mieście wielka i każdy się ścisnął i oglądał na jutro. Do pana Rafałowicza nie wypadało jakoś chodzić, gdyż i on nie był bogaczem (bo któż nim był w tych ciężkich czasach), a przy tym z pewnością także poczynił znaczne, może znaczniejsze od nich obu, wydatki na tę karkołomną wyprawę.

W tym ciężkim terminie przyszedł Kazikowi z pomocą Maciek Dratewka który wypawszy się owej nocy w kuchni pana Rafałowicza, nazajutrz stamtąd wyszedł zostawiwszy swoje towary i chodził po mieście, i lamentował:

— O laboga! laboga!

Poradziwszy się z Kacperkiem i panem Rafałowiczem, Kazik postanowił Maćka przypuścić do współdziałania w wyprawie. Wprawdzie pan Rafałowicz się trochę krzywił, mówił, że „widzi mu się, że ten Maciek jest nicpoń, tchórz i śpioch”, ale wreszcie ustąpił, bo i on był przekonania, że w większej liczbie im jakoś raźniej, a nade wszystko bezpieczniej w zamierzonej wyprawie.

Kazik wiedział, że Maciek ma zabobonny strach przed Szwedami, wziął się więc do niego inaczej. Spotkawszy go nazajutrz wieczorem, po owym wykryciu tajemnicy mistrza Ascolego, na Rynku, koło szczątków nieszczęsnego kramu matki, zapytał:

— Maciek, masz ty pieniądze?

Maciek, który kłamać nie umiał, odrzekł krótko:

— Mam.

— Ile?

— Piętnaście bitych talarów.

— A skądże ty masz tyle?

— Zarobiłem.

— Jak to? Kiedy?

— A przez trzy lata.

— Aha! więc to są twoje oszczędności?

— Tak!

— Patrzaj, nie wiedziałem o tym, żeś ty taki oszczędny. No, powiedz mi, i cóż ty myślisz z tym kramem robić? Cóż

o twojej matce słyhać?

Na wspomnienie matki Maciek skrzywił się szkaradnie, jak wiatrak począł rozpaczliwie machać długimi rękami

jęczeć:

— O laboga! laboga!

— Nie lamentuj, bo to wstyd, kiedy taki duży chłop lamentuje jak, nie przymierzając, baba — mówił Kazik.

— Kiedy mi żal serce ściska.

— To niech ci nie ściska, bo lamentowaniem nic nie zrobisz, jeno czynem. Ot, wiesz co, Maciek, chcesz oswobodzić matkę?

— Chcę.

— To posłuchajże mnie, nadstaw dobrze uszów i uważaj.

Tu opowiedział Kazik, że jutro o południu mają zamiar z Kacperkiem i panem Rafałowiczem spuścić się do lochów podziemnych, którymi dostaną się do Zamku, a tam dostawszy się raz, obaczą, co robić. Cała bieda tylko w tym, że trzeba *zabrać* ze sobą żywności, łuczywa, hubek, krzesiwa, a on, Kazik, nie ma na zakupno tych przedmiotów pieniędzy.

Maciek słuchał tego pilnie, wytrzeszczywszy swe maleńkie oczka, a gdy Kazik skończył, machnął rękami i rzekł:

— To głupstwo!

— Co jest głupstwo?

— Że nie masz pieniędzy.

— Jak to: głupstwo?

— Ja mam piętnaście bitych.

— I chcesz je dać?

— Dam... dla matusi ostatnią koszulę dam.  
— Dzielnny chłop z ciebie, Maćku. Więc dobrze, przynos pieniądze i zajmujemy się przygotowaniami.

— A po co mam przynosić pieniądze?

— Jak to: po co?

— A po to, że ja je mam tu — wskazał na kołnierz swej kapoty.

— Gdzie?

— A tu.

— Co ty pleciesz?

— Tak, mam je tu zaszyte.

Uśmieł się Kazik z tak osobliwszego schowania na pieniądze i poszli do mieszkania Madejowej, która miała izdebkę w kamienicy „Pod Murzynami”, by owe bite talary wydobyć z kołnierza Maćkowego. Gdy ten ostatni zajęty był tą operacją, przy czym wzdychał, nosem pociągał głośno i od czasu do czasu jęczał swoje „o laboga, laboga”, Kazik zapytał:

— Maciek, a jak Szwedów w lochach spotkamy, co to będzie? Ty się pono boisz bardzo Szwedów?

— A boję się, bo są hycle.

— Więc cóż będzie, jak ich spotkamy w lochach?

— Nie będę się bał.

— Dlaczego?

— Bo jak jestem z tobą i Kacperkiem, to się tych zamorszczyków nie boję.

— Więc cóż zrobisz?

— Uśmiercę hyclów.

— Czym?

— Nożem.

— Jakim nożem?

— A takim.

To rzekłszy wstał, sięgnął do szafki i wydobył z niej ogromny, długi nóż rzeźnicki i pokazując go Kazikowi śmiał się i szczyrzył zęby.

— To dobrze — rzekł Kazik — weźże z sobą ten nóż.

— Wezmę.

Potem podniosła się inna sprawa. Kazik, biegając od samego rana po mieście, zauważył zdwojenie przez Szwedów ostrożności. Widocznie wiedzieli i oni o zbliżającym się do miasta królu polskim. Wszystkie bramy były zabite, obsadzone gęsto armatami i strażami, nikogo nie wpuszczano i nie wypuszczano z miasta; na murach roiło się od żołnierzy, a po ulicach przebiegały konne warty. W mieście głośno gadano o bliskim szturmie i Szwedzi na wszystko bacznie zwracali oko. Mówiono nawet, że niektórych, podejrzanych Szwedom mieszczan uwięziono.

Szło więc o to, jakim sposobem wydobyć się z miasta, żeby dostać się do kamieniczki pana Rafałowicza, która była już za Bramą Nowomiejską.

— Nie wątpię — gadał Kazik — że pan Rafałowicz, który jest mąż uczony i mądry, myśli nad tym i coś tam pewnikiem wymyśli, - ale zawżdy na wszelki wypadek byłoby dobrze, gdybyśmy i my mieli jaki sposób wydostania się z miasta.

Maciek, który właśnie rozpruł kołnierz, wydobywał talary i układał je ostrożnie, jakby były szklane, na stole, mruknął:

— To fracha.

— Jak to: fracha? Żali nie wiesz, że Szwedy nikogo nie wypuszczają z miasta bez osobliwego karteluszu generała Wittenberga? Skądże my takiego karteluszu weźmiemy?

— Co mi tam po karteluszu?!



— Więc masz sposób wydostania się z miasta?

— A mam.

— Jaki? Gadajże!

— Jest dziura w murze. - Gdzie?

— Od ulicy Mostowej.

— I można nią przejść?

— Ja mogę, bom cienki... a i ty też.

— A pan Rafałowicz?

— On nie. Ma brzuch... hi! hi! hi!

Śmiał się, sam nie wiedział zapewne z czego, a talary wydobywał i układał je ciągle bardzo ostrożnie rzędem na stole.

— Pokażesz mi tę dziurę? — pytał Kazik.

— Pokażę.

— A Szwedy o niej nie wiedzą? — Nie.

Gdy na koniec wszystkie piętnaście, talarów zostało wydobytych z kołnierza Maćka i gdy ten z wielką zręcznością i wprawą kubrak swój przyprowadził po tej operacji do porządku, wyruszono na miasto po zakupno potrzebnych rzeczy. Na rynku spotkano się z Kacperkiem, który, gdy mu Kazik powiedział, że i Maciuś należy do wyprawy, skrzywił się i rzekł:

— Ale to być nie może!

— Dlaczego?

— Dlatego, że byłem dziś u pana Rafałowicza i powiedział mi, że otrzymał pozwolenie na wyjście z miasta tylko dla siebie i dla nas dwóch.

— To furda! — mruknął Maciek.

— Maciek — odrzekł Kazik — nie potrzebuje żadnego pozwolenia, on się i tak wydostanie z miasta.

— A to jakim sposobem? — zapytał Kacper.

Kazik opowiedział, co wiedział, i Kacperek tak się tym zaciekał, że zażądał, by Maciek ich zaraz zaprowadził i dziurę ową pokazał

— Zawsze to warto obaczyć — mówił — może się przydać na co.

Maciek powiódł ich na Krzywe Koło, do jednej z kamieniczek, w której dziedzińcu, na samym jego końcu, poza komórkami i kupą śmieci, w istocie ukazała się dziura w murze, przez którą przegłądało światło i cienki a zwinny chłopak mógł się przesunąć.

— A co tam jest z tyłu? — spytał Kacper.

— Ulica Mostowa — odparł Maciek.

— Ale chyba znacznie niżej?

— Ano... trzeba skoczyć z tej dziury — odrzekł Maciek.

— A niewysoko jest?

— Dość wysoko.

— I tyś tędy przechodził?

— Przechodziłem nieraz.

— A skądże ty znasz tę dziurę?

— Hi! hi! hi! — zaśmiał się i dodał: — Tu mieszka mój majster.

— Więc cóż?

— I nie pozwolił nam chodzić wieczorem na piwo.

— Na jakie piwo? Co ty pleciesz?

— Na wareckie piwo. Przednie jest na Nowym Mieście w gospodzie u pana Wilka.

— Więc co? Cóż to za związek ma wareckie piwo z tą dziurą?

— A ma.

— Jaki?

— Bośmy z Frankiem i Markiem tędy nocką wymykali się na piwo wareckie i majster nic nie wiedział, hi! hi! hi!

— Więc można niepostrzeżenie tędy wyjść?

— Można, hi! hi! hi!

— Hm! — rzekł Kacper namyślając się. — Dobrze i to wiedzieć, może nam się ta dziura przydać i w ostateczności Maciek może się tędy wymknąć i przyłączyć się do nas w kamienicy pana Rafałowicza, byle go strażę z murów nie zobaczyły.

— Nie zobaczą, tam jest ulica i domy, ludzie chodzą — zauważył Maciek.

— Prawda, że tam jest ulica Mostowa. Zresztą to twoja rzecz, żebyś niepostrzeżenie się przesunął, i o to wcale nie idzie,

— A o cóż? — spytał Kazik.

— O to, że bez pana Rafałowicza my sami nie możemy stanowić o tym, czy Maciek ma należeć do naszej wyprawy, czy nie.

— Pewno, że to tak — rzekł Kazik — toteż trzeba iść do pana Rafałowicza i o wszystkim mu powiedzieć.

— Ano trzeba, ale wątpię, czy z tej mąki chleb będzie. Pan Rafałowicz, który się zna z komendantem bram nowomiejskich, bo jako mający kamienicę za murami, często do niej chadza... Manderstern nazywa się ten komendant... otóż pan Rafałowicz powiedział mu, że jutro rankiem musi z mularzami iść do swej kamieniczki, żeby tam coś naprawić. Niby my dwaj będziemy tymi mularzami. Pójdziemy z kielniami i tobołkami na plecach, a w tych tobołkach będziemy mieli nie grace i cegły, ale co innego, to co nam potrzeba... rozumiecie?

— Hi! hi! hi! — zaśmiał się Maciek. — To jest mądre!

O laboga, laboga, jakie to mądre! Hi! hi! hi!

— Czego ty się, cebulo, śmiejesz? — spytał gniewnie Kazik.

— A bo to mądrze straszecznie!

— Otóż tedy — ciągnął dalej Kacper nie zważając na śmiech i wcale niemądrą uwagę Maćka — wątpię, czy pan Rafałowicz zgodzi się na to, by ktoś czwarty należał do wyprawy. Przy tym... co będę prawdę owijał w bawelnę, pan Rafałowicz uważa Maćka za... jak by to powiedzieć?... niedołęgę, nicponia, śpiocha i tchórza i mnie się widzi, że ma słuszność.

— A nieprawda! — zaprotestował Maciek i nagle ni stąd, ni zowąd skrzywił się szkaradnie, nosem począł pociągać

i ryknął na cały głos:

— O laboga! laboga! Wszyscy mnie mają za nicponia! Com ja komu winien? O laboga! laboga! Jezusieczku mój kochany!

— Czego się drzesz, do paralusza, cebulo jakaś? — krzyknął Kazik. — Właśnie masz sposobność pokazać, żeś nie nicpoń i nie tchórz.

A zwracając się do Kacpra, dodał:

— Chodźmy do pana Rafałowicza.

— Nie! Wszyscy iść nie możemy — odrzekł Kacper — pan Rafałowicz przez ostrożność zabronił dziś przychodzić do siebie. Ale ja się z nim zobaczę. Bądźcie wieczorem w izbie Madejowej, ja tam przyjdę i powiem wam o decyzji pana Rafałowicza.

Jakoż wieczorem Kacper stawiał się w izdebce Madejowej i uwiadomił niespokojnie nań oczekujących chłopców, że pan Rafałowicz zgodził się na to, by Maciek wziął udział w wyprawie, ale wydostać się z miasta musi sam.

## ROZDZIAŁ VIII

*W którym Maciek opowiada, jak zakłął szpadą Szweda*

Nazajutrz rano przez Bramę Nowomiejską wysunął się poza mury pan Rafałowicz, a z nim dwóch młodych mularzy, ubranych w nędzne płócienne kubraki, powalane wapnem i gliną, w fartuchach, dźwigając w tobołkach na plecach niby wapno i glinę, a w rękach dzierżąc kielnie i drągi żelazne; Sam pan Rafałowicz w kitajkowym żupanie, z czekanikiem w ręku, niósł także tobołek i w bramie podszedł do komendanta, by mu się zameldować. Komendant wyrżał ze swej izby przez okienko i ujrawszy dwóch chłopaków krzyknął:

— Puścić!

Otworzono więc bramę i wypuszczono ich na zewnątrz przez mały mostek na rowie, bo duży most był zwiedziony. Znalazłszy się za murami szli w milczeniu, aż dopiero gdy się dostali do sieni kamieniczki pana Rafałowicza, ten rzekł obcierając chustką czerwoną spocone czoło:

— No, chwała Bogu, jesteśmy na miejscu. Miałem trochę strachu, bo mogliście się czym zdradzić. Ale też gorąco!

W rzeczy samej dzień był nadzwyczaj upalny. Od samego rana słońce, płynąc po czystym jak lza niebie, piekło niemiłosiernie. Ale obaj chłopcy nie zważali na to. Dźwigając ciężkie toboły, spocili się tak, że się po prostu z nich lało, ale byli weseli, uradowani, szczęśliwi, że się tak łatwo wydostali za mury.

Pan Rafałowicz ruszył przodem sienią na maleńkie podwórko i tu do oficynki bocznej, przypierającej do muru miejskiego, wszedł, dobywszy klucza, począł otwierać głęboko w ścianie osadzone drzwi dębowe, gęsto nabite ćwiekami i okute żelazem.

— Nieboszczyk mistrz Ascoli dobrze te drzwi zaopatrył — mówił pan Rafałowicz odmykając zardzewiałą kłódkę — bo chciał tym sposobem zabezpieczyć swoją tajemnicę.

— Jakoś Maćka nie widać! — szepnął do Kazika Kacpe-rek.

— Boję się, czy mu się co nie stało! — odrzekł tenże.

— Pal go kat! Byle nas nie zdradził — odparł niechętnie Kacper — gotów jeszcze, jeżeli go Szwedy schwycą...

Nie dokończył, bo w tej chwili na podwórku ukazała się cienka, chuda, wysoka postać Maćka. Był bez czapki i szpecinowate, czerwone jak u raka włosy rozwichrzyły się szpetnie. Ubrany był w długą, ciężką bajową opończę, haniebnie poplamioną i podartą, i pod nią coś dźwigał, a na plecach w prostej płachcie zgrzebnej, którą sobie na piersiach przewiązał, niósł duży toból. Staął, rozglądał się dokoła swymi maleńkimi oczkami, czerwony od gorąca, spocony i brudny.

— Maciek, bywaj! — zawołał Kazik. Podszedł do nich i rzekł:

— O laboga, laboga, a tom się zmachał! Oj rety! rety!

— Szczęśliwie się przedostałeś?

— Szczęśliwie, jeno...

— Cóż jeno?

— Jednego Szweda przedziurawiłem.

— Jak to: przedziurawiłeś?

— Ano tak!

To rzekłszy wydobył spod opończy długą, cienką, nagą szpadę, na której czerniały ślady świeżej krwi, i począł nią robić takie ruchy, jakby kogoś kłuł. Wszyscy zdumieni poczęli oglądać szpadę, a pan Rafałowicz, otworzywszy już drzwi do izdebki, rzekł:

— Chodźmy tam, mociumpanie, tam nam Maciek opowie, co się stało, bo tu niebezpiecznie gadać.

Weszli do owej tajemniczej izdebki i poczęli ciekawie się po niej rozglądać. Była ona niewielka, silnie sklepiąta,

o jednym maleńkim okienku, głęboko w mur wpuszczonym, z szybkami w ołów oprawionymi zakurzonymi

i zasnutymi pajęczyną tak, że z zewnątrz w żaden sposób dojrzeć nie można było, co się w środku izby działo. Przez to okienko przedzierał się już blady promień słońca i kładł się na kamiennej posadzce, ślizgał po stojących dokoła półkach z księgami i widocznie zbliżał się do wielkiego obrazu, na płótnie malowanego, zawieszzonego na ścianie wprost okienka i przedstawiającego siedzącą Matkę Boską karmiącą swego Synaczka. Było tu zresztą ponuro, duszno, posępnie i wszędy szarzały olbrzymie pajęczyny. Po kątach włóczyły się mroczne cienie, których blady promień czerwcowego słońca przez zakopcone okienko rozproszyć nie był zdolny.

— A teraz — rzekł pan Rafałowicz siadając na staroświeckim zydlu z poręczami — gadaj, coś ty tam robił z tym Szwedem, Maćku.

Maciek zrzucił ze siebie ciężką opończę i tobół, obtarł rękawem czoło z obfitego potu, westchnął i rzekł:

— A nic, zadzgałem hycła, i tyle.

— To wiemy, ale opowiedz, jak to było i gdzie.

— A tam, przy dziurze w murze.

— Skądże się tam Szwed wziął?

— Kat go ta wie!

— Cóż to za Szwed?

— Rajtar pono czy tam jak. Oj rety, rety! Jakem się zmachał.

— Ale gadaj no po ludzku, bo to ważna sprawa. Szwed zabity w mieście... będzie śledztwo, wrzawa...

— A nie w mieście, jeno za murem. odparł Maciek.

— Za murem? Skądże Szwed wziął się za murem, kiedy bramy zamknięte?

— A bom go zrzucił! Oj laboga! laboga! Napiłbym się czego, bo mi w gardle zaschło.

— Skądęś go zrzucił? Z muru?

— Nie, jeno z tej dziury.

— A cóż to, ta dziura jest tak wysoko?

— Będzie z dziesięć łokci, to hycel jak spadł na łeb, tak se ta coś popsował we wnętrzu i leżał jak baran. Hi! hi! hi!

— Ale skądże on się wziął przy dziurze?

— Czy ja wiem? Przyszedł hycel, jakem ja się chciał wydostać, i gada coś do mnie po swojemu, a ja go bęc w pysk...

— Jak to, w gębę mu dałeś?

— Nie w gębę, jeno w pysk — oj reta, re...

— I cóż? Gadajże, mociumpanie, o tym Szwedzie!

— Przecie gadam.

— Więc jakże? Dałeś mu w gębę i co potem?

— Ano, dałem mu nie w gębę, jeno w pysk. Bęc raz z prawej, bęc na odlew — przy tym Maciek pokazywał, jak Szweda bił — a on buch na ziemię! Oj laboga, laboga...

— Gadaj no dalej, później będziesz labidził.

— Kiej mi się pić chce. Jeszcze omdleję z wielkiego żaru.

— Dajcie mu co pić, bo nie dowiemy się od niego niczego.

Więc Kazik skoczył do studni, co była na podwórku, przyniósł trochę wody w dzbanku i powiada:

— Naści, napij się, ale gadaj porządnie i jak się patrzy, bo jak mię widzisz, ja ci tak samo sprawię, jak ty Szwedowi.

— A nie sprawisz.

— Zobaczysz.

— Nie sprawisz, bo tu dziury nijakiej nie ma. Hi! hi! hi!

Śmiał się i pił wodę jak gąbka, a musiał być bardzo spragniony, skoro nieomal połowę dużego dzbanka wychylił.

— No, teraz, skoroś się napił, opowiadaj, co się stało ze Szwedem, jak upadł na ziemię.

— Hi! hi! hi! Wziąłem hycła za łeb, wsadziłem w dziurę i wyrzuciłem za mur. Hi! hi! hi! Cienki był jak dratwa do niewieścich trzewików.

— I cóż?

— A nic, spadł i coś tam w nim we wnętrzu, niby w brzuchu trzasło, bo leżał jak kłoda, a z gęby posoka mu leciała. Hi! hi! hi!

— Toś ty się za nim spuścił? A tobie nic się nie stało?

— Albo mi to pierwszyna? O laboga, laboga, żebym ja miał tyle talarów, ile razy z Frankiem i Markiem nocką tamtędy wymykaliśmy się na piwo wareckie do gospody pana...

— Dobrze, już dobrze... wiemy o tym piwie... ale jakże z takiej wysokości wyście schodzili, skoro Szwed się zabił?

— Nie zabił się, dyszał jeszcze, alem go zakłuł. I znów zaczął pokazywać, jak kłuł Szweda.

— Opowiedz no... bo to musi być inaczej, jakże wy spuszczacie się z takiej wysokości?

— A bo my nogami przez dziurę przelazimy i potem skik! i jesteśmy na ziemi! Hi! hi! hi! A Szwed sobie popsował coś we wnętrzu, bom go na łeb wypchnął, a też był omdlały od tego, żem mu pysk zbił. Hi! hi! hi!

— I cóż potem? Skądżeś wziął tej szpady?-

— A wyjąłem ją z pochwy Szwedowi, zakłułem hycła jak wieprzka i przyszedłem tutaj. Hi! hi! hi! Alem się okrutnie zmachał.

— Nikt tego nie widział?

— Nikt.

— Bóg by to dał — ozwał się w końcu pan Rafałowicz, po niejakim namyśle — ale mnie się widzi, że z tego powodu może być bigos nie lada. Bo jakże to? W takim czasie, gdy Szwedzi lada dzień spodziewają się nadejścia naszych, nagle znajdują zakłutym jednego ze swoich. Zaraz powiedzą, że w mieście jest spisek, rokosz, będą brali do więzienia, mordowali, rabowali, kontrybucje nakładali... Ot, coś ty narobił!

— Furda! Nikt tego nie widział. O rety, rety, jakżem się spocił! — jęczał Maciek.

— Ot z głupim gadać! — zawołał pan Rafałowicz. — Ja swoje, a on swoje. Cóż z tego, capie zatracony, że tego nikt nie widział, ale zawsze trupa szwedzkiego znajdą.

— O! nie tak prędko, nikt tam nie chodzi. Leży hycel w rowie, a przy tym nakryłem go ziemią i śmieciami. Nie widać go wcale. Hi! hi! hi!

— No, toś przynajmniej jedną mądrą rzecz zrobił, żeś go nakrył — zauważył pan Rafałowicz — może go tak prędko nie zobaczą.

— Ho! ho! ho! Maciuś niegłupi, nie! Hi! hi! hi! — wołał Maciek śmiejąc się i prostując dumnie w tym przekonaniu, że jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie.

Ale pan Rafałowicz nagle spojrział na obraz. Właśnie błyśnięcie słoneczne padło na przecudowną głowę Madonny i otoczył ją jakby blaskiem aureoli nieziemskiej. Pan Rafałowicz, ujrawszy to, powstał ze stołka, zdjął czapkę, przeżegnał się i rzekł tonem uroczystym:

— Chłopcy, zdejmijcie obraz. Już czas. Słońce padło na twarz Matki Boskiej.

Kacperek i Kazik skoczyli i w jednej chwili zdjęli wielki i ciężki ten obraz i ostrożnie postawili go na boku. Maciek tymczasem, korzystając z wolnego stołka, z którego wstał

pan Rafałowicz, usiadł sobie wygodnie, swe długie i cienkie nogi wyciągnął, ziewnął i mruknął:

— O rety, rety, jakżem się zmachał!

Nikt na niego nie zważał, on też niewiele myśląc, że go gorąco rozebrało, przymknął oczy i niebawem zasnął świszcząc dziwacznie nosem.

Tymczasem pan Rafałowicz, Kacperek i Kazik stali przed ścianą nagą, zakurzoną, pełną plam i pajęczyn i przypatrywali jej się ciekawie. Niczym ona się nie różniła od innych, tak samo była szara, tynkiem obrzucona, niegdyś wapnem bielona. Pan Rafałowicz jeszcze raz przeżegnał się i rzekł:

— Wyważyć cegłę tam, gdzie pada słońce.

Obaj chłopcy porwali młoty i. drażki żelazne i wzięli się gorąco do roboty. Tynk przyskał na wsze strony, ale mur stwardniały trzymał się dobrze.

— Hm! — mówił pan Rafałowicz. — Widać mocno zamurowałem, kiedy się ta cegła tak trzyma. Weźcie no się trochę niżej.

I chcąc dopomóc ciężko pracującym chłopcom, odwrócił się, by sięgnąć po jakie narzędzie, i spostrzegł śpiącego najsmaczniej Maćka.

— A to już wszystko przechodzi! — zawołał oburzony. — Patrzcie no! Wy w pocie czoła pracujecie, a ten hultaj śpi. Obudźcie go, do kroćset, mociumpanie, i zapędźcie do roboty. A to nicpoń dopiero!

Obaj chłopcy, rozgniewani mocno, rzucili się do Maćka. Kacper, niewiele myśląc, chwycił śpiącego za rozwichrzoną czuprynę, a Kazik dał mu potężnego szcztka w nos. Maciek roztworzył oczy, spojrzał głupowato dokoła i jak nie ryknie:

— O laboga, ludzie, reta, reta!

— Cichaj, capie zatracony, bo cię tu ubijemy! — syknął Kacper.

— Wstawaj! Do roboty! Cóż to spać będziesz, kiedy my pracujemy? Dalej, marsz! — wołał Kazik.

Maciek szarpnął się i wyrwał nieszczęśliwą czuprynę z rąk Kacpra, nie bez zostawienia w jego garści swych rudych włosów, wstał, wyprostował się i mruknął:

— Nie bij!

— To nie śpij.

— Zamroczyło mnie, bom się zmachał.

— Do roboty, chłopcy, do roboty! — wołał pan Rafałowicz podważając sam cegłę.

Gdy się na koniec we czterech wzięli, w kilka chwil cegła wypadła, ale nie do izby, jeno do środka, i słychać było, jak się toczyła gdzieś w dół z głuchym łoskotem. Przed chłopcami ukazał się otwór czarny, z którego wiało chłodne powietrze.

A właśnie na wieży Świętojańskiej dzwoniło na południe.

## ROZDZIAŁ IX

*Jako Maciek przekonany jest, że w podziemiu sam Lucyfer go przedrzeźnia*

Do owego otworu, z którego wiało stęchłe, zgniłe powietrze, pierwszy ciekawie zajrzał Maciek, ale zaraz cofnął głowę, otrząsnął się i zawołał:

— O laboga! laboga! Jakże tam ciemno i zimno, brrr!

— Moi chłopcy — rzekł pan Rafałowicz — teraz należy rozszerzyć otwór, bo najprzód przez tę wąską dziurę nikt z nas się nie przedostanie, a potem trzeba, żeby tam naszło dużo świeżego powietrza, bo inaczej podusimy się z kretesem.

Zabrano się więc znowu do roboty, która teraz gdy już otwór wyłamano, o wiele była łatwiejszą. W niespełną godzinę dziura była tak znaczna, że nie tylko trzech chłopcy, którzy byli chudzi i wysmukli, ale i pan Rafałowicz ze swoim brzuszkiem mógł przez nią snadnie

przeleźć. Z dziury tej patrzyła ponura ciemność i wiało ciągle duszne, przesycone wilgocią i stęchlizną powietrze. Maciek, który więcej udawał, że robi, niż w rzeczy samej pracował, przeciągnął się, ziewnął głośno i rzekł:

— Oj rety, rety, jakżem się zmachał!

Obcierał pot z czoła, spoglądał na obecnych, którzy odpoczywali, oddychając ciężko, bo praca była mozolna, a gorąco w izbie nieznośne, i gadał:

— Ot, prawdę rzekłszy, warto by coś przekąsić, bo mi się jelita wyciągnęły jako dratwy.

— Już chcesz jeść? A dawnoś to jadł? — spytał pan Rafałowicz.

— A dawno. — Kiedyż?

— Na śniadanie kiełbasy se zjadłem.

— No, to ci się jeść jeszcze nie powinno chcieć.

— Po takiej pracy?

— Widziałem ja, jakeś ty pracował.

— A pracowałem... a Szweda zakłuc to nic? A taką dziurę wybić to furda? O laboga, laboga, jaki to też jegomość sprzeczny!

Poszedł do swego tobołka, rozwiązał go, wydobyl kawał kiełbasy z czosnkiem, boją czuć było z daleka, do tego wziął odpowiednią pajdę chleba i siadłszy sobie w kącie, zjadał smacznie, nie odzywając się już nic i nie zważając wcale na to, że Kacperek i Kazik podrywali sobie z niego na umór.

Upłynęło tak z pół godziny na śmiechach i żartach, i do lochu powinna była wejść znaczna ilość świeżego powietrza. Pan Rafałowicz wstał, spod żupana wyjął jakieś pudełko i pokazując je chłopcom, rzekł:

— Przypatrzcie się, to jest instrument, mociumpanie, który się zwie busolą. Ta strzałka, którą tu widzicie, żeby nie wiem jak obracać pudełko, zawsze północ wskazuje.

Maciek, który także się zbliżył, żeby zobaczyć pudełko, zapytał:

— A na co to?

— Na to, że w podziemiach, do których się zaraz spuścimy, mogą być różne rozgałęzienia, piwnice, odnogi, tak że nie znając ich dobrze, możemy pobłądzić. Mając plan ten nieboszczyka mistrza Ascolego i tę oto busolę, zawsze wiedzieć będziemy, gdzie iść należy.

— A bo to prawda? — zauważył Maciek.

— Obaczysz, że prawda.

— Hm, jeśli to prawda, to te hycle Niemcy zawsze coś wymyślić muszą. O laboga, laboga, jaki to zmyślny naród!

— Pewno, że zmyślny — zauważył pan Rafałowicz — nie tak jak my, co jeno jeść, pić, bić się i sejmy zrywać umiemy.

Ale to już czas w drogę, zbierajmy się! Wszelako najprzód, chłopcy, nie należy żadnego po sobie śladu zostawić. Kto wie, może tam już w mieście jest rejwach o zabitego Szweda, może kto widział Maćka... jednym słowem, nie trzeba, żeby się nawet domyślano o istnieniu tych lochów, mociumpanie.

— Jużćie jegomość mądrze to wykalkulował — zauważył Kacperek.

— Trzeba tedy — prawil dalej pan Rafałowicz — wszystek ten gruz i tynk starannie uprzatnąć i wrzucić do lochu.

To rzekłszy, sam się zabrał do roboty, chociaż był stary i otyły, i rażno zbierając gruz i tynk, wrzucał go do lochu, gdzie z głuchym dudnieniem spadał gdzieś głęboko. Chłopcy, przykładem tym zachęceni, w jednej chwili uprzatnęli wszelkie ślady, w czym i Maciek brał udział, wprawdzie więcej się kręcił, jak robił, ale zawsze kilka garsteczek wapna cisnął do podziemia, a gdy już wszystko wyprzatnięto, swoim zwyczajem wyprostował się i jęknął:

— O laboga, laboga, a tom się zmachał!

— Teraz, chłopcy — mówił pan Rafałowicz - trzeba obraz zawiesić na tym samym, co dawniej, miejscu. Zakryje on dziurę w murze i gdyby tu kto, czego Boże broń, wszedł, niczego się nie domyśli. Uchyliwszy obrazu, przesuniemy się po jednym do lochu, a potem go spuścimy i dziura w murze będzie zakryta.

Zrobiono tak i w rzeczy samej obraz ten zakrył wybity w murze otwór, że ktoś, nie wiedząc o tym, w żaden sposób nie mógłby się domyślić, co się za obrazem znajduje. Potem pan Rafałowicz kazał się zaopatrzyć w wodę, przy czym sam wyszedł na podwórze, a potem ostrożnie przez bramę wyjrzał na ulicę. Ale nic niepokojącego nie dostrzegł. Na murach i na basztach bram nowomiejskich stały gęste straże, ale niczym nie zdradzały obawy lub gniewu. Większość z nich pod palącymi promieniami czerwcowego słońca drzemała leniwie.

Uspokojony co do tego, pan Rafałowicz wrócił do izby, a gdy dwa duże dzbany pełne były wody, kazał zapalić pochodnie, obraz uchylić i przeżegnawszy się, pierwszy ruszył do lochu. Za nim poszedł Kazik, potem Maciek, wreszcie Kacperek, któremu, jako najrozważniejszemu, kazano obraz spuścić.

Na samym początku podziemia znajdowały się wąskie schody kamienne, oślizgłe od wilgoci. Schodów tych było piętnaście i trzeba było bardzo ostrożnie po nich stąpać, gdyż były wąskie i śliskie nadzwyczajnie. Gdy na koniec wszyscy czterej z nich zeszli w milczeniu, znaleźli się w niewielkiej, sklepionej mocno z głazów polnych, półokrągłej piwnicy. Owionęło ich tu powietrze zimne, przejmujące wilgocią, zwłaszcza po upale tam na górze, ale zupełnie czyste. Był nawet lekki przeciąg, co świadczyło, że gdzieś tam w głębi znajdował się jakiś otwór, przez który przedostawało się do lochu świeże powietrze. Panowała tu zupełna, martwa, senna cisza; żaden odgłos ze świata zewnętrznego nie dostawał się do tych murów potężnych, w głębi ziemi zanurzonych, mrocznych i ponurych.

Wszyscy czterej stali, depcząc z trzaskiem gruz wrzucony z izby, i w milczeniu rozglądali się dokoła. Od chwiejących się płomieni pochodni padał migotliwy, purpurowy blask na ściany i sklepienie piwnicy, drżał na nich i nie rozświecając głębi, owszem, zgęszczał w niej ciemności. Od czterech osób wytworzyły się cztery długie cienie, które, wlokąc się po ziemi, podnosiły się na ściany i nikły na sklepieniu, ruchliwe, straszne, ponure.

Milczano i z pewną zabobonną trwogą przypatrywano się piwnicy i rozglądano dokoła. Pierwszy Kazik przerwał to przygnębiające milczenie szepcząc:

— Jak tu cicho!

— A nieprawda, nie cicho — odrzekł na to Maciek — bo słyszę wyraźnie, jak mysz kicha.

Pan Rafałowicz, chcąc dodać otuchy chłopcom, roześmiał się głośno i rzekł:

— Pierwsze słyszę, żeby myszy kichały.

— O laboga, laboga, żebym ja miał tyle talarów, ile razy słyszałem myszy kichające! O, słyszać...

Ale nikt już nie odpowiedział, bo dziwną rzecz, pod tym sklepieniem, w tych murach i w tej niczym nie zamąconej ciszy, najłżejszy, szept rozlegał się donośnie, a gruby głos Maćka huczał jak armata i, podchwytywany przez mury, kilkakrotnie odbijał się echem i ginął gdzieś coraz cichszy, coraz dalszy. Zrobiło to na chłopcach, niezwykłych tego, wielkie wrażenie, ale największe na samym Maćku. Wypowiedziawszy swe zdanie o myszach kichających i słysząc je wielokrotnie powtórzone przez echo, umilkł, roztworzył szeroko usta i wytrzeszczywszy swe maleńkie oczka, stał przez chwilę nad słuchując, po czym nagle przysunął się o pana Rafałowicza i głosem jak mógł najcichszym szepnął:



— Ó laboga, laboga, jegomościuniu! Ja nie pójdę dalej, sam złe siedzi, może sam Lucyper, i przedrzeźnia mnie. Oj rety, rety! Nie pójdę, jeszcze mi gdzie łeb urwie.

— Milczałbyś, baranie jakiś — zawołał na to gniewnie Kacper — i nie wyzywał złego ducha! To nie żaden Lucy-per, który przecież nad chrześcijanami nie ma nijakiej mocy, ale echo. Głos się odbija o sklepienie i ściany i stąd daje się jakby nas kto przedrzeźniał. Prawda, jegomość?

— Prawda, zupełna prawda. I trzeba być Maćkiem chyba, żeby się tego bać. Nie gadaj, to cię mury przedrzeźniać nie będą.

— Tak, aleja się boję i pójdę sobie tam... na górę.

— Na to chyba, cebulo jakaś, żeby cię Szwedy capnęły i powiesiły na Rynku — odezwał się z gniewem Kazik.

— Nie gadaj! Obwiesiłyby mnie... na Rynku?

— Tak, na Rynku... przed ratuszem.

— Anie chcę!

— Więc stój cicho i nie pleć głupstw. Tymczasem pan Rafałowicz obejrzał bacznie piwnicę.

Była ona niewielka i z trzech stron nie było z niej żadnego wyjścia; z czwartej biegł od niej czarny, ciemny, wąski korytarz. Pan Rafałowicz wziął do ręki prospekt Ascolego, potem spojrzął na busolę i rzekł:

— Wszystko dobrze, tym korytarzem trzeba nam iść. Akuratnie się to zgadza z rysunkiem mistrza Ascolego. No, w imię Boże ruszajmy naprzód, bo czasu szkoda, a przed nocą trzeba nam powrócić do miasta.

To rzekłszy ruszył naprzód, a za nim gęsiego Maciek, Kazik i Kacper na końcu. Korytarz był także mocno sklepiony i grunt pod nim wolno, łagodnie, ale ciągle się zniżał. Chłód panował tu przejmujący, wilgoć była wielka i ze sklepienia woda kapła tworząc tu i ówdzie kałuże i czyniąc grunt miękkim, śliskim i grząskim. Powietrze wciąbyło czyste i lekki przewiew nagiął wstecz płomień pochodni i kopeć ich pędził poza idących. Wygląd korytarza miał charakter ponury, a purpurowe blaski wlokły się leniwie po sklepieniu pełnym grzybów, pleśni szkaradnej i błyszczących kryształów saletry.

Posuwano się dość wolno i ostrożnie, bo spadek stawał się coraz naglejszy, a ziemia mokra, śliska nadzwyczajnie.

Pan Rafałowicz? miał czekanik w ręku i nim się podpierał, Kazik użył do tego drąga żelaznego, a Kacper pomagał sobie szpadą szwedzką którą zabrał Maćkowi, wytłumaczywszy mu, że broń ta może go zdradzić przed Szwedami. Jeden tylko Maciek z tobołkiem na plecach, okryty swą, wielką i ciężką opończą bajową, nic nie miał w ręku, czym by mógł się podpierać. Toteż kilkakrotnie robiąc wielkie kroki swymi długimi i cienkimi nogami, ile że pragnął być zawsze jak najbliżej pana Rafałowicza, do którego jednego czuł zaufanie, poślizgnął się już fatalnie, ale zawsze zdołał się uchwycić bocznego muru i utrzymać na nogach, sycząc głosem stłumionym, bo się bał, jak mówił, przedrzeźniania:

— O laboga! laboga!

Ale na koniec, tuż nad kałużą ciemną i błotnistą, chcąc ją jednym krokiem przesądzić, tak jakoś nieszczęśliwie stąpnął, że się poślizgnął i jak długi runął w sam środek kałuży, wrzeszcząc wniebogłoso:

— Reta, ludzie... reta!

Pan Rafałowicz natychmiast się zatrzymał i odwrócił, ale Kazik i Kacper, widząc grzebiącego się w błocie Maćka, nie mogli wytrzymać i parsknęli obaj śmiechem.

— O laboga! laboga! — jęczał Maciek ruszając się ciężko w błocie, a w odzew na to rozlegał się śmiech obu idących za nim chłopców, śmiech huczący donośnie w tym długim i wąskim korytarzu. Na koniec Maciek wydobył się z błota, umorusany jak nieboskie

stworzenie, z włosami polepionym i błotem, czarny, brudny i spluwający. Patrząc na śmiejących się z niego, choć mu się zrazu płakać chciało, bo już nosem głośno pociągał, ale także śmiać się zaczął, a że pan Rafałowicz naglił, by iść naprzód, więc ruszono śmiejąc się i żartując z tej przygody Maćka.

## ROZDZIAŁ X

*W którym jest trochę o szczurach, trochę o Szwedach i o opończy Maćkowej*

Wypadek, który się przytrafił biednemu Maćkowi, wpłynął rozweselająco na posępne dotąd usposobienie Kazika i Kacpra. Śmieli się i podrzywali sobie z towarzysza.

— Maciuś — pytał Kazik — a miękko ci tam było w tym błocie?

— Co nie miało być miękko — odzywa się Kacper — buchnął jak w matusinę pierzynę.

— A nie stłukłeś sobie czego?

— Brzuszek cię nie boli?

— Może by ci driakiew przyłożyć?

— Albo dajfedreku dać?

Tak sobie podrzywali, a Maciek tylko słuchał i milczał, i od czasu do czasu rękawem od opończy twarz sobie z błota ocierał i spluwał, bo widać połknął trochę brudnej wody z kałuży. Ale skoro tamci dwaj, nie znajdując żadnego oporu, znudzili się bezcelowymi drwinami, także zamilkli, Maciek nagle zatrzymał się, biorąc pod rękę Kazika, nachylił mu się do ucha i szepnął:

— Kazik?

— Co?

— Ja się wrócę.

— Dlaczego? Co tobie w głowie?

— A dlatego, że wiesz ty, co mnie pchnęło w błoto?

— A wiem.

— No co?

— Twoje niezgrabne nożyska.

— Otóż nie wiesz, bo co innego.

— A. co?

— Sam Lucyper.

— Ej... głupiś!

— Nie głupim... powiadam ci — sam Lucyper. Te lochy prowadzą do piekła.

— To mi miałeś powiedzieć?

— A to.

— No, toś cebula, i kwita. I wysunął ramię spod ręki Maćka.

— A i to chciałem ci rzec, że ja się wrócę — szeptał Maciek.

— Chyba sam.

— A choćby sam.

— Nie plótłbyś niedorzeczności, chyba że cię skóra wędzi, to ci ją Szwedzi podrapią dobrze.

— Wolę Szwedów niż diabłów.

— No, to sobie idź; tylko ci powiem, że dobry syn tak nie czyni.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że te lochy prowadzą do Zamku i my tam woja matkę oswobodzimy.

Na wspomnienie matki Maciek nagle pociągnął nosem zajęczał:

— O laboga! laboga! Moja matuś!

Pan Rafałowicz, usłyszawszy ten jęk, odwrócił się zdziwiony i spytał:

— A co tam? Co ci się stało?

— Ej nic — odrzekł Kazik — jeno Maciek tak lamentuje nad losem swej matki.

Więc pan Rafałowicz rzekł:

— Dobry jesteś syn, mój Maćku, ale pociesz się... mam nadzieję, że oswobodzimy twoją matkę.

— Oj rety, rety! I to prawdę jegomość gada?

— Oczywiście... zobaczymy.

— Ha!skoro tak, to już idę i drzwi sobie ze wszystkich Lucyperów. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

Przeżegnał się pobożnie i szedł już śmiało naprzód. Posuwano się teraz w milczeniu przez czas jakiś i zauważono, że grunt przestał się obniżać, i niebawem znaleziono się znowu w obszernej, sklepionej piwnicy, dość szerokiej i wysokiej. Tu pan Rafałowicz, wprzód nim zajął się oględzinami tej piwnicy, wydobyl spod żupana niewielką latarkę i świeczkę w niej umieszczoną zapalił. Gasząc pochodnię, z którą dotąd szedł, odezwał się:

— Strasznie pryska i parzy pochodnia, wołę latarkę.

— Ale ta świeczka prędko się wypali — zauważył Kazik.

— Mam ich ze sobą cały tuzin, wystarczą aż nadto. To rzekłszy podniósł do góry latarkę i rozglądając się po

piwnicy, rzekł:

— Widzi mi się, że jesteśmy pod Bocznią Furtą i tym korytarzem na lewo będziemy szli pod ulicą Dunaj.

— O rety, rety! — jęknął Maciek. — Pod Dunajem, to ci dopiero!

Tymczasem pan Rafałowicz postąpił parę kroków i nagle coś pisnęło przeraźliwie pod jego nogami i jakiś cień ruchliwy przebiegł po ziemi, a zaraz też na wszystkie strony po murach i sklepieniu kręcić się, piszczeć i biegać zaczęły roje jakichś istot, których dobrze rozpoznać nie można było z powodu migotliwego blasku pochodni. Jakieś tylko czarne plamy, ruchliwe nadzwyczajnie i piszczące szkaradnie, przemykały, się szybko.

Pan Rafałowicz odskoczył, 'trochę przerażony, i zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali, a to co?!

— Zdaje mi się — zauważył chłodno i spokojnie Kazik — że to szczury!

— Ależ tego paskudztwa jest tutaj, jest! — dodał Kacper rozglądając się dokoła.

Przez chwilę stali tak w milczeniu, przypatrując się temu wstrętnemu widokowi, a pan Rafałowicz otrząsał się i mruczał „brrr!”, gdy nagle Maciek skoczył raz i drugi i machając gwałtownie rękami, krzyczał wniebogłoso:

— Rety, rety, ludzie, rety!

Głos jego tyle miał w sobie przerażenia, drżała, w nim nuta tak szczerzego przestachu, że wszyscy przybiegli do skaczącego i trzępiącego rękami Maćka, pytając:

— Co ci się stało? Co ci jest? Gadaj, do paralusza!

— Szczury! szczury! — wołał Maciek.

— Gdzie?

— Po mnie łażą, gryzą mnie, zagryzą! O rety, ludzie, rety!

Potężny jego głos grzmiał po sklepionej piwnicy z taką siłą, rozbijał się kilkakrotnym echem, że nieomal całe podziemia sobą przepelnił. Pan Rafałowicz, człowiek doświadczony i dość powolnego usposobienia, skalkulował sobie zaraz, że jeżeli w istocie w tej chwili znajdują się pod basztą, zwaną Furtą Bocznią, to głos ten okropny i potężny może dojść do uszów straży wartującej na tej baszcie.

— Do kroćset, mociumpanie — zawołał z gniewem — zatkajcież gębę temu tchórzowi, bo nam tu jeszcze swymi krzykami Szwedów na kark sprowadzi! Cichaj, psiajucho!

Kacperek lepiej zrobił, bo skoczył do Maćka i wprost mu ręką zatkał usta.

— Będziesz ty cicho, baranie jakiś! Uduśczę cię, jak mię widzisz!

— Maciek umilkł, ale drżał cały i oglądał się dokoła trwożliwie, a Kazik spędzał szczury z jego toboła, do którego zapach wonny kiełbasy z czosnkiem zwabił mnóstwo tych zwierzątek wygłodzonych zapewne porządnie. Cała gromada ich łąziła po Maćku i zapewne przez cienkie pluderki tu i ówdzie kąsać go poczęła i tym sposobem spowodowała rozpaczliwe krzyki biednego chłopaka. Zrzucił on ze siebie opończę i tobolek, wierzgał nogami, machał rękami, ale już nie krzyczał, tylko pociągał głośno nosem i mruczał płaczliwie:

— O laboga! laboga! O Jezusieńku mój złoty! Wśród tego Kazik i Kacperek rozpoczęli walkę ze

szczurami, które całymi gromadami rzuciły się na leżący na ziemi tobolek Maćka i wśród szamotań i pisku przeraźliwego gryźć go poczęły. Kacper dzielnie robił szpadą zdobytą przez Maćka na Szwedzie, kłuł, nadziewał po trzech na raz szczurów; Kazik palił ich pochodnią i na koniec po rozpaczliwej walce, zasławszy ziemię dokoła drgającymi trupami, na które zaraż inne się rzuciły i pożerały je chciwie, tobolek Maćka oswobodzili od szczurzego najazdu, ale mocno nadwerężony i w wielu miejscach poprzegryzany.

Nagle, gdy zziąjani mocno, zmęczeni opędzali się jeszcze przeciw ostatkom szczurów, nad nimi w górze, ponad sklepieniem, rozległ się donośny zgrzyt, jakby odsuwanych jakichś ciężkich wrzeczędzy. Wszyscy podnieśli w górę głowy i na swoje wielkie przerażenie spostrzegli, że w sklepieniu znajdują się dość duże, żelazne, mocno zardzewiałe drzwi i że te drzwi ktoś usiłował otworzyć. Nie ulegało zatem wątpliwości, że krzyki Maćka tak przeraźliwe, że umarłego w grobie potrafiłyby obudzić, doszły zapewne do uszów straży szwedzkich postawionych przy Furcie Bocznej i że straż te usiłują otworzyć drzwi żelazne, wiodące do lochu, żeby obaczyć, co się tam dzieje i skąd te krzyki pochodzą.

Wszystkim od razu ta myśl przebiegła przez głowę i wszyscy doskonale pojęli grożące im straszne niebezpieczeństwo. Gdybyż ich Szwedzi schwytali w tym podziemiu! Nie tylko przez to zdradziliby tajemnicę, nadzieję dopomożenia swoim przy spodziewanym szturmie do Warszawy, ale i siebie samych naraziliby na męki, a może i na śmierć. Wszystko to błyskawicą mignęło im w głowach, ale na razie nie wiedzieli, co czynić, jak się ratować. Zapomnieli ó szczurach, które widząc nagły spokój napastników ponowiły swe napady z większą niż przedtem zajadłością, wskakiwały na nich, czepiały się nóg, gryzły. Nawet Maciek skamieniał, choć szczury znowu gromadnie obsiadły mu jego toból. Jeden tylko pan Rafałowicz nie stracił przytomności. Zbliżył się do Maćka i szepnął rozkazująco:

— Bierz twoje zawiniątko. Uciekajmy w ten korytarz! Zgasić pochodnie!

Sam dając przykład, dmuchnął na świeczkę w latarni i skoczył zwawo, jakby mu ubyło ze dwadzieścia lat, w wąski korytarz, czerniejący po lewej ręce i tworzący kąt prosty z tym, przez który przybyli. Chłopcy usłuchali natychmiast rozkazu. Pochodnie zanurzone w błotnistą ziemię piwnicy zasyczały przysły iskrami i zgasły, ale żywiczny dym z nich leniwie się rozwłócił po piwnicy i napełnił ją swą wonią. Maciek porwał swój tobolek, z którego kilkanaście szczurów z głośnym piskiem spadło, i wyciągając długie nogi, w paru krokach znalazł się w korytarzu. Wszystko to stało się w jednej chwili, ale czas już był wielki, bo drzwi żelazne w sklepieniu ustąpiły, otworzono je z przeraźliwym zgrzytem i blade światło dnia wpadło do piwnicy.

Pan Rafałowicz z trzema swymi kompanami nie mógł zbyt daleko, zwłaszcza wśród ponurych i nieprzejranych ciemności, jakie ich ogarnęły po zgaszeniu pochodni, odskoczyć. Gdy się więc owe drzwi u góry otworzyły, wszyscy zatrzymali się, przytulili do zimnego i wilgotnego muru korytarza i tak stali wstrzymując dech w sobie, zapominając i nie zważając na to, że szczury za nimi pociągnęły i teraz w ciemności, nie płoszone światłem, zabrały się naprawdę do gryzienia butów, tobołków i nóg wszystkich czterech.

Tymczasem w otwartych drzwiach sklepienia ukazały się trzy czy cztery głowy szwedzkie, szwargocząc coś między sobą i ciekawie rozglądając się po piwnicy. Ale zapewne niewiele mogli zobaczyć z powodu panujących w lochu ciemności, bo jeden z nich wstał i niebawem wrócił z dużą latarnią, którą umocowali na długim sznurze i zaczęli powoli spuszczać do piwnicy.

Wszystko to pan Rafałowicz i jego trzej towarzysze, przytuleni do muru korytarza, ogryzani coraz żarłoczniej przez szczury, widzieli jak na dłoni. Latarnia wolno, chwiejąc spuszczała się, a blask od niej, padając na mury, oświecał mnóstwo czepiających się szczurów z piskiem uciekających przed blaskiem. Szwedzi u góry ciągle patrzeli i coś między sobą szwargotali.

Latarnia coraz bardziej się obniżała rozświecając coraz lepiej piwnicę i nagle blask jej padł na jakiś przedmiot leżący na ziemi, podobny zupełnie do człowieka z rozpostartymi rękami.

Pan Rafałowicz skamieniał. Była to opończa Maćkowa.

## ROZDZIAŁ XI

*Jako Maciek nabiera przekonania, że mu się do brzucha szczur dostał*

Maciek, gdy go szczury w piwnicy opadły i zabierały się do jego kielbasy z czosnkiem w tobołku zachowanej, zrzucił był ze siebie opończę i teraz leżała ona z rękawami rozkrzyżowanymi, zupełnie jak człowiek, który padł na twarz. Blask latarni oświecał wybornie ten zdradziecki ślad pobytu człowieka w lochach i Maciek byłby się zapewne, przestraszył wzroku pana Rafałowicza, jakim spoglądał na niego w tej chwili, ale było bardzo ciemno i Maciek piorunów tych ocznych nie widział, za to spostrzegłszy swą opończę syknął: — O laboga, laboga, moja guńka!

Potężny kułak, wymierzony mu w bok przez Kazika, przypomniał mu zaraz niebezpieczeństwo i potrzebę zachowania jak nagłębszego milczenia. Stał więc niemy i widział, jak Szwedzi łby powścibiały do piwnicy, jak ze wszystkich stron oświecały latarką opończę i wołały ciągle: „Ohe! Ohe!” niby budząc owego leżącego na ziemi człowieka, którego oczywiście i do skończenia świata nie byliby się dobudzili. Gdy wreszcie ich okrzyki na nic się nie przydały, bo przydać się nie mogły, gdyż opończa Maćkowa w żaden sposób figury żywego człowieka przybrać nie mogła, podnieśli latarnię do góry, sami popowstawali i głośno nad czymś naradzać się poczęli nie spuszczać owych drzwi żelaznych u góry. Szwargotali tam i szwargotali, a ich głosy, wpadając do lochu, huczały i dudniły jakimś grobowym echem.

Położenie czterech podróżników podziemnych było nie do pozazdroszczenia i z każdą nieomal chwilą coraz gorszym i rozpaczliwszym się stawało. Pominąwszy już to, że z chwilą podniesienia przez Szwedów latarki otoczeni byli nieprzejrzanymi ciemnościami, czarnymi jak najczarniejszy inkaust; pominąwszy, że wskutek tego, nie znając zgoła lochów, nie mogli puszczać się w dalszą po nich peregrynacją, to jeszcze musieli stać nieruchomi i cisi, by się nie zdradzić przed Szwedami, i przez to byli istotnymi ofiarami

szczurów, które, jeżeli to położenie dłużej potrwa, mogą ich żywcem zjeść jak niegdyś króla Popiela.

Zwierzątka te bowiem, widząc nieruchomość swych ofiar, stawały się coraz natarczywsiymi, do czego także ośmielała ich ciemność. Zrazu niewiele ich puściło się za kryjącymi się na korytarzu peregrynantami, ale powoli, wabione zapachem Maćkowej kiełbasy, płoszone spuszczającą się z góry latarką i jej światłem ruchliwym, poczęły gromadnie napływać do korytarza ze wszystkich stron. Gryzły, co napotkały, a już tobolek Maćkowy obsiadły tak gromadnie, że przegryzły worek i do kiełbasy się dobrały, która oczywiście w ich żarłocznych paszczach w jednym okamgnieniu zginęła. Otrząsał się Maciek, jak mógł, i tylko strach przed Szwedami mroził mu okrzyk zgrozy w piersiach.

Ale nie tylko jednego Maćka wstrętne te stworzenia obsiadły. Spinały się one i po panu Rafałowiczu, i po Kacprze, i Kaziku, dobierały się do ich zapasów żywności, gryzły skórę na butach, kąsały po nogach i rękach, a przemykanie się ich, śliskich ciał niewypowiedziane obrzydzenie i wstręt sprawiało. Widocznym było, że jeżeli peregrynanci dłużej stać tak będą nieruchomie, to nie tylko wszystką żywność utracą, ale sami padną, ofiarą szczurzego napadu i okrutną śmiercią zginą, żywcem zjedzeni.

Pan Rafałowicz wszystko to zapewne wykalkulował sobie w głowie, bo jak tylko Szwedzi latarnię podnieśli i głośno tam na górze szwargotać poczęli, zbliżył się do Kazika i Kacpra i szepnął:

— Ostać tu nie możemy, bo nas szczury zjedzą, bądź co bądź, co się stanie — ruszać musimy naprzód w ciemnościach. Tam dalej zapalimy pochodnie.

I nagle spojrzawszy na piwnicę, na środek której mdłe tylko światło dzienne padało z wierzchu, dodał:

— Oni tam coś postanawiają. Lękam się, czy po drabiny nie poszli, żeby spuścić się do piwnicy. Opończa tego gamonia — tu wskazał na Maćka — całego tego bigosu narobiła. Brr! jakież te szczury dokuczliwe!

Moi chłopcy — ciągnął dalej — niech każdy z was chwyci się za poję moją od żupana, żebyśmy się w ciemności nie pogubili, i ruszajmy w imię Boże. Cokolwiek się stanie, zawsze to będzie lepszym jak śmierć od szczurów. No, Kazik niech chwytą się mego żupana, Kacper żupana. Kazika, a ten gamoń niech idzie na końcu, bodaj go zabito!

Wtem nagle Maciek, który stał zapatrzony w piwnicę i nie słuchając słów pana Rafałowicza, nad czymś głęboko rozmyślał, szepnął:

— Zaraz! — i skoczył do piwnicy. Uczynił to tak nagle i prędko, tak potężnie wyciągał swe

długie nogi, że nim kompani jego mogli zrozumieć, o co idzie, on już wracał z opończą, po którą skoczyć, porwać ją i unieść, było dla niego dziełem jednej chwili. Tym śmiałym czynem podwójną osiągnął korzyść, bo najprzód pozbył się szczurów, które w tym nagłym skoku poodpadały od niego z rozgłośnym piskiem, a potem zabierał opończę, której mu żal było i którą należało uważać za straconą. Ale co Szwedzi, gdy zajrzą znów do piwnicy, na to powiedzą?

Takie pytanie zadawał sobie pan Rafałowicz. Gdy na koniec ruszono w drogę, mówił:

— Szwedzi niechybnie spuszczą się do piwnicy, by obaczyć, co tam za człowiek leży, bo opończa tego gamonia miała zupełnie konspekt człowieka, a gdy jej nie ujrzą, nabędą przekonania, że się tu coś niedobrego dzieje. Co będzie wtedy? Już to ten nicpoń narobił nam niemało kłopotu, gdyby nie wrzeszczał, nie byłby zwrócił uwagi warty. Bodaj go kat porwał!

Maciek milczał, milczeli i inni, bo droga była bardzo trudna, przykra i niebezpieczna wśród otaczających ich nieprzejranych ciemności. Pan Rafałowicz stapał wolno i ostrożnie, nim dał krok, macał wprzód czekanikiem i trzymał się muru. Grunt był śliski nadzwyczajnie, mokry, ze sklepień woda na nich kapiała i częstokroć brodzono przez

kałuże. W ten sposób posuwano się naprzód bardzo wolno i jedynym zyskiem było to, że szczury ich opuściły. Widocznie szli pod ulicą i jak pan Rafałowicz kalkulował, pod Dunajem, bo od czasu do czasu głuchy turkot

i dudnienie zwiastowało, że wóz jakiś nad ich głowami przejeżdżał. Postępowano gęsiego, trzymając się za poły poprzednika, a chociaż podpierano się, czym kto miał, i czepiano muru, kiedy niekiedy ten i ów pośliznął się i o mało wszystkich nie przewrócił. Zrazu słyhać było stłumione przez mury rozmowy Szwedów, ale wkrótce i te ucichły i ponure milczenie ciemności ogarnęło czterech peregrynantów. Nagle pan Rafałowicz zatrzymał się, macał czekanikiem rękami dokoła, wreszcie szepnął:

— Korytarz się tu załamuje i nie wiem gdzie iść. Boję się pobłądzić, bo nuż to jaka boczna odnoga. Trzeba koniecznie światła. Obejrzyjcie się, czy tam za nami nic nie widać, i nadstawcie uszów, czy nic nie słyhać.

Ale nie było nic ani widać, ani słyhać. Ciemności i milczenie śmierci tu panowało. Tedy pan Rafałowicz, rzeknie:

— Skrzesaj ognia, Kacperku, zapalimy tylko latarkę i ja ją tak ukryję pod połą żupana, że jej z tyłu nikt nie zobaczy. Musimy mieć światło, bo tu łącno pobłądzić lub zbić się z drogi, a to o życie, mociumpanie, idzie. Krzesz ostrożnie, a wy tam patrzcie, czy co nie widać od strony piwnicy.

Kacperek zabrał się do krzesania ognia. Szło to dość niesporo i musiał aż uklęknąć na błotnistej ziemi, bo najprzód hubka w tych lochach zwilgotniała, a potem w korytarzu dość silny panował przeciąg, napędzający co prawda świeże powietrze, ale gaszący iskry. Na koniec po długich i bezowocnych usiłowaniach, przy zastawianiu żupanami Kacpra od przeciągu, udało mu się zatlić hubkę; co żywo przyłożono do niej siarniczki, to jest okrawki papieru maczane w siarce, i wreszcie świeczkę w latarce zapalono. Raźniej się zaraz wszystkim na duszy zrobiło, gdy blask od latarni rozjaśnił te posępne ciemności, jakie ich dotąd otaczały.

Pan Rafałowicz, nie zwlekając, obejrzał się dokoła. Znajdowali się w wąskim korytarzu, o dość niskim sklepieniu z głazów, jak całe to podziemie zbudowanym, nadzwyczaj wilgotnym, pokrytym grubymi warstwami białej, brzydkiej pleśni. Pod nogami mieli ziemię, a raczej błoto, po którym woda ciekła tworząc tu i ówdzie kałuże. Sami byli strasznie brudni, przemokli, ubabrani błotem. Korytarz w tym miejscu łamał się pod kątem rozwartym i innej gałęzi wcale nie było. Droga zatem była wytkniętą i należało dalej iść. Pan Rafałowicz spojrział na busolę, potem na prospekt mistrza Ascolego i rzekł:

— Dobrze idziemy. Ruszajmy dalej. A cóż tam? Nie widać nic z tyłu?

— Nie! — odpowiedziano.

— A więc, w imię Boże, naprzód! Uniknęliśmy wielkiej biedy, za co Panu Jezusowi podziękować należy, i jak się stąd wydobędziemy na świat, zaraz dam na mszę świętą u Fary.

Szedł naprzód ostrożnie, rozświecając sobie drogę latarką, i po chwilowym przymusowym milczeniu rad teraz gawędził:

— Wszystkiego narobił ten nicpoń Maciek. Nie chciałem go brać, aleście mnie namówili i mieliście za to. Napytał nam biedy i o mało żeśmy za to ciężko nie odpokutowali. Hultaj jest i tchórz zawołany, warto, żeby mu pięćdziesiąt bizunów za to wsypać.

— O laboga, laboga — jęknie Maciek — jaki też to jegomość przyszcypny!

— A przyszcypny, bo żeby nie ty, gamoniu jakiś, tobyśmy Szwedów nie pobudzili tam w baszcie. Teraz nawet nie wiem, jak my tamtędy wracać będziemy. Tchórz. Jesteś i nicpoń.

— O rety, rety! Dobrze to jegomościowi gadać, ale jak mnie jeden szczur ugryzł w samo brzuch, to mię taki ból i strach zdjął, że się trochę krzyknął. Żeby tak jegomościa to spotkało, toby jegomość jeszcze bardziej wrzeszczał.

— I mnie szczury gryzły, ale dlatego nie wrzeszczał.

— Aha... tak... ale to później, kiedy już Szwedy na nas patrzyły, to i ja. wtedy zęby ścisnąłem, choć mi szczury kawał żywota zjadły.

— Zjadły ci kawał żywota? — spytał śmiejąc się Kazik.

— A zjadły i żebym miał czas, tobym się rozpiął i pokazał.

— Szkoda, że cię całego nie zjadły! — zauważył Kacper.

— Owa, jaki mi mądrała! — ofuknął się Maciek. — O laboga, laboga, co to za ludzie, nijakiej kompleksji nie mają nad nieszczęściem bliźniego.

Rozgadał się teraz, co u niego, mruka zawołanego, było rzeczą rzadką, i zaczął prawić:

— Szelmy szczury zjadły mi calusienką kiełbasę i co ja teraz, nieszczęsna sierota, będę pożywał? O rety, rety! A ja już też czuję głód i po kiszka mi tak piszcz, jak nie przymierzając szczury, kiedy ich Kacperek dźgał szpadą.

— A może ci szczur wpadł do żywota i tak piszcz! — zaśmiał się Kazik.

— Nie gadaj! Możeli to być?

— Bywa to, bywa czasem! — ozwał się pan Rafałowicz drwiąc sobie z Maćka.

— O laboga, laboga... jegomościuniu mój złoty, prawdęli mówicie?

— A prawdę. Sameś gadał, że ci szczury żywota nadgryzły. Pewnikiem przez tę dziurę jaki szczur się przedostał i teraz harce wyprawia po twoich kiszka.

— O laboga! laboga! — wrzasnął Maciek, nagle zatrzymał się i chwyciwszy się oburącz za brzuch zawołał: — Boli! boli!

— Cichaj, gamoniu! — krzyknął Kacper uderzając Maćka w kark. — Jeszcze nowej biedy nam napytasz.

— A jakże mam być cicho, kiej szczura mam w żywo — To nic — zaśmiał się pan Rafałowicz — to zdrowo. On ci żywot z wszelkich nieczystości wypurguje, a potem zdechnie. Będiesz zdrowy jak ryba.— Prawdali to?

— Rzetelna prawda.

Śmieli się wszyscy i zwawo posuwali się naprzód. Korytarz był ciągle wąski, ale miał teraz posadzkę wyłożoną płytami kamiennymi, dzięki czemu można było iść prędkiej. Tak postępowano z dobre trzy pacierze, gdy nagle nad głowami idących z tyłu za panem Rafałowiczem chłopców sklepienie uróżowiło się jakimś blaskiem. Pierwszy to spostrzegł Kacper i zatrzymując się zawołał:

— A to co?!

Wszyscy stanęli, obejrzel się za siebie i skamienieli ze strachu.

## ROZDZIAŁ XII

*Jako czterej peregrynanci przekonani byli, że umarli*

Za nimi, gdzieś w dali długiego korytarza, w mglistych oparach wilgoci, w ciemnościach mętnych i czarnych, błyszcząły liczne światła ruchliwe i co chwila zmieniające miejsce. Skąd się one wzięły, kto te światła niósł — z tej odległości, w jakiej znajdowali się czterej wędrowcy, dostrzec nie można było, dość że były one liczne i że widocznie naprzód się posuwały. Od nich przez zgęszczoną mgłę padały nikłe, krwawe promienie, odbijały się w licznych kałużach, w wilgotnych, murach i sklepieniach i bladym, różowym blaskiem swoim sięgały aż tutaj. Na szczęście pan Rafałowicz tak



ukrywał pod żupanem swą latarkę, że niosący światła z pewnością peregrynantów naszych dostrzec nie mogli i dotąd nie dostrzegli.

Z tym wszystkim niebezpieczeństwo było wielkie, gdyż owe tajemnicze światła szybko się posuwały naprzód, a potem, że niewątpliwie byli to Szwedzi. Sprowadzili oni zapewne do baszty drabinę, spuścili się po niej do lochu i nie widząc na dnie piwnicy opończy Maćkowej, którą wzięli za człowieka, przekonani byli, że ktoś w tych lochach znaj duje się, i puścili się na poszukiwania. Jedyny ratunek był teraz w szybkiej ucieczce przed tą szwedzką pogonią, gdyż o ukryciu się nie mogło być mowy. Korytarz był ciągle wąski i nigdzie nie krzyżował się z nim inny, nie było żadnych piwnic i nic nie zapowiadało, by gdzieś w pobliżu znajdować się mogły.

Co jednak najważniejsze i co najbardziej bolało pana Rafałowicza, to, że tajemnica tych podziemi zdradzona została przed Szwedami i że zatem król Jan Kazimierz i jego rycerze żadnego z nich użytku mieć nie będą i cała, tak niebezpieczna wyprawa czterech kompanów, z takim trudem podjęta, na nic się nie zdała.

— Ot, widzisz, mociumpanie — rzekł w gniewie do Maćka — do czego twoje głupie krzyki doprowadziły. Bodaj cię kat spalił, gamoniu jakiś. Cóż teraz czynić? Uciekać musimy i uciekniemy, bo po cóż kłaść zdrową głowę pod Ewangelię, kiedy cała nasza peregrynacja nie naszym, ale Szwedom wyjdzie na pożytek. Ot, taki to. skutek brać ze sobą głupców i nicponiów. Ruszajmy naprzód i nie żałujmy nóg, bo Szwedy coraz są bliżej.

— O rety, rety — jęknął Maciek — jaki też to jegomość spreczny! Skoro jegomość tak na mnie wydziwia i skoro Maciek wszystkiemu winien, Maciek jest gamoń, nicpoń i niecnota, to...

— To i cóż?

— Zara, niech sobie odpoczne, bom się zmachał. Wszyćko muszę powiedzieć, co mi też na szyrcu leży. Skoro tedy król Jan Kazimierz nie będzie mógł wygnąć zamorszczyków bez moje krzyki, to ja...

Znów przerwał, westchnął żałośliwie, pociągnął nosem głośno i zawołał tonem płaczącym:

— To ja, Maciek Dratewka, czeladnik szewcki jak się patrzy, pójdę do tych tam Szwedów z tym mieczem, co mi go Kacper zabrał, i bitwę z nimi stoczy i albo wykluję nikiej wieprzków, albo oni mnie zasieką. Takem sobie: postanowił, co będzie, to będzie... raz kozie śmierć? i tyle!

— Hm! — rzekł na to pan Rafałowicz. — Może by to i było dobre, tylko nie potrzeba zgoła brać tego tam rozenka, ale raczej iść bez wszelakiej broni i oddać się Szwedom mówiąc, żeś zabłądził. Szwedzi by dalej nie szukali i tajemnica podziemi zachowaną by została. Aleja w tej chwili jeszcze potrzeby tak rozpaczliwego kroku nie widzę. Nie sądzę, mociumpanie, by Szwedzi nas długo ścigali, a gdyby tak było, wtedy spełnisz swoje postanowienie, Maćku. Bardzo to pięknie, że się ofiarujesz za nas wszystkich, i słusznie, boś ty głównie zawinił. Ale zobaczymy później, czy twoja ofiara jest potrzebną. A teraz w drogę i nogi dobrze wyciągać.

Ruszono w posępnym milczeniu, co świadczyło, że wszyscy byli mocno zaniepokojeni tajemniczym światłem poza nimi. Co chwila oglądali się, zwłaszcza Kazik i Kacper, bo Maciek szedł, szlochał cicho, tak go widać zabolowały wyrzuty pana Rafałowicza, i od czasu do czasu mruczał:

— O laboga, laboga, jaki ja nieszczęśliwy!

A tymczasem światło ciągle za nimi postępowało i nieustannie widać było jego mdłe odbicie, niby plamę bladokrwawą na sklepieniu. Pan Rafałowicz nie oglądał się wcale, lecz co jakiś czas pytał:

— A co? Widać ich jeszcze? — Widać.

— Więc idą za nami?

— Idą.

— A czy się zbliżają?

Na to nie umiano odpowiedzieć, bo w korytarzu powietrze było gęste, przesycone wilgocią, i ze ścian unosiły się i rozwłóczyły leniwie białe, niezdrowe opary, które zaciemniały dalsze widoki i w których owo tajemnicze światło, ścigające czterech wędrowców, wyglądało jak szereg punkcików świetlnych otoczonych mglistą, niekiedy w tęczowe barwy wpadającą obwódką. Na odpowiedź, że nie wiadomo, czy się Szwedzi zbliżają, bo trudno to rozpoznać, pan Rafałowicz zatrzymywał się i sam patrzył, ale zwykle mruknąwszy pod nosem: „kat ich tam wie” szedł dalej.

Dotąd podróż była, dość łatwa, bo szli po płytach kamiennych, którymi grunt był wyłożony, które choć mocno oślizgłe, ułatwiały szybkie posuwanie się naprzód, ale teraz nagle wkroczone na ziemię grząską i błotnistą, pełną kałuż wody, przez które trzeba było bardzo ostrożnie postępować w obawie wpadnięcia w jaką przepaścistą dziurę. A było to tym możliwsze, że korytarz w tym miejscu był bardzo zrujnowany i tak niski, że Maciek, który był chłopak wysoki, musiał iść dobrze schylony, a pan Rafałowicz i inni głowami nieomal dotykali się sklepienia. W sklepieniu tym pełno było dziur, wypadłych cegieł, które zmurszałe leżały na ziemi i uderzone nogą, w pył błotnisty się rozsypywały. W ścianach bocznych także było mnóstwo dziur czarnych, cegieł rozsypujących się za najlżejszym dotknięciem, słowem, zupełna ruina. Pan Rafałowicz, zobaczywszy to, niespokojnie poglądał na te mury, kiwał głową, mruczał coś pod nosem, ale milczał i szedł dalej, nie pytając się wcale, czy tajemnicze światło za nimi się posuwa, gdyż był pewny, że tak jest, w czym się zresztą wcale nie mylił.

Szli tą drogą dość powoli i Kacper, który stąpał na samym końcu, zauważył, że blask światła ich ścigających wzrósł znacznie co dowodziło, że Szwedzi zbliżyli się znacznie. Łatwo to wreszcie było wytłumaczyć. Ścigający wkroczyli na drogę płytami kamiennymi wyłożoną i oczywiście mogli się prędzej posuwać niż czterej wędrowcy grzęznący w błotnistym gruncie i w dodatku z obawą, że w każdej chwili może im spaść na głowę albo cegła, albo zgoła samo sklepienie. Z drugiej strony kalkulował sobie Kacper, że uparty ten pościg tym się tylko da wytłumaczyć, że Szwedzi musieli ich postrzec i dlatego nie porzucają nadziei doścignięcia tajemniczych dla nich wędrowców.

— Jeżeli tak jest — mówił sobie Kacper — i jeżeli dłużej będziemy taką mieli drogę, jak tutaj, to z pewnością nas dopadną i wtedy bądź zdrów, holenderski śledziu!

Zapomniał strapiiony sekretarz magistracki, że jeżeli droga dla niego i jego towarzyszy była zła, to także będzie i dla Szwedów. Ale w gorączce rozpaczliwych myśli, jakie w nim wywołały tajemnicze światła oraz niski, błotnisty korytarz, którego sklepienie zdawało się mózgi mu przygniatać, zapomniał o tym prostym wniosku i trapił się mocno, i co chwila się oglądał, czy ścigający się zbliżają. W rzeczy samej, zbliżali się widocznie, od czasu do czasu nawet dochodziły głośniejsze ich rozmowy, które hucząc w tych ciasnych przejściach, nabierały dziwnej mocy i dziwniejszego jeszcze brzmienia. Wszystko to sprawiało, że Kacper, który był chłopcem odważnym, drżał teraz jak liść osiczyny.

Ale na szczęście nagle sklepienie się znów podniosło i korytarz miał wygląd zdrowszy, a co najważniejsza, grunt znowu był wybrukowany twardym kamieniem. Pan Rafałowicz teraz dopiero zapytał:

— A cóż tani Szwedzi?

— Zbliżają się — odparł Kacper — i jestem pewny, że jeżeli tak dalej pójdzie, za pół godziny nas dogonią.

— A to jakim sposobem? Cóż u kata, czyżby mieli buty-samochody siedmiomilowe?

— Już ja tam nie wiem, co jest — odparł Kacper — ale nas doganiają.

W tejże chwili, kiedy to wyrzekł, rozległ się w korytarzu straszny huk, który w tym ciasnym miejscu, porwany przez mury i sklepienia, tysięcznym echem się powtórzył i grzmiał długo, a z owych zrujnowanych ścian i sklepień, które dopiero co przeszli nasi wędrowcy, cegły się wciąż sypały. Wszyscy struchleli i stanęli w miejscu, za hukiem bowiem, prawie jednocześnie z gwizdem i jękiem przeciągłym, przeleciała kula i z głośnym trzaskiem utkwiała gdzieś w murze.

— Strzelają! — zawołał Kacper.

— A strzelają — odparł pan Rafałowicz — więc nas oczywiście dostrzegli. Byle nie zachciało im się tej próby powtórzyć.

Ale nie mogli już powtórzyć, gdyż w tejże chwili z łoskotem i trzaskiem przerażającym runęło owo zrujnowane sklepienie za nimi i zawaliło zupełnie przejście. Ścigające światła znikły i zapanowały dawne ciemności, a pęd powietrza stał się tak silny, że wszystkich czterech powalił na ziemię, przy czym latarka pana Rafałowicza stłukła się i świeca zgasła. Wszyscy stracili przytomność; każdemu się zdawało, że to na jego głowę spadło sklepienie i pogrzebało go żywcem na wieki. Jak długo trwało to omdlenie, żaden z nich nie wiedział. Pierwszy ocknął się Maciek, otworzył oczy i nic nie widząc z powodu okalających go nieprzejrzanymi ciemności, zamknął je znowu, przekonany, że się już na tamym świecie znajduje. Strach go wziął wielki i począł się żegnać i szeptać „Zdrowaś Maria” ale zauważył przy tym, że ręką może ruszać swobodnie i szept własny doskonale słyszy. Jednocześnie nad głową jego rozległo się głucho dudnienie, jakie już raz słyszał w podziemiu, a które to dudnienie, według słów pana Rafałowicza, miało świadczyć, że są pod ulicą i że na tej ulicy jakiś ciężki wóz jedzie. Skoro tędy wóz jedzie, to znaczy, że Maciek nie jest na tamym, ale jeszcze na tym świecie.

— O laboga, laboga — szepnął — co to jest? Podniósł głowę, a potem cały się rzucił i przekonał się,

że swobodnie może się poruszać. Ukląkł więc najprzód i zaczął dokoła rękami macać. Namacał z jednej strony jakąś głowę, a z drugiej nogi i rzekł:

— To pewnikiem głowa Kacpra, a to nogi Kazika, ale widać już pomarli.

Na tę myśl taki go strach ogarnął, że się zerwał na równe nogi i co tylko sił miał, wrzasnął:

— O rety, ludzie, rety!

Na ten krzyk, który rozległ się, jak wszystkie głosy w tym podziemiu, donośnie i daleko, Kacper ocknął się, usiadł i zapytał:

— Cichaj! Kto tam wrzeszczy? Czy to ty, Maćku?

— A ja.

— Co się stało?

— Czyja wiem? To ty żyjesz, Kacperku?

— A żyję.

— O laboga, laboga, a tom się przestraszył!

— A pan Rafałowicz i Kazik gdzie są? — Nie wiem.

— Ano trzeba ich poszukać. Zaraz skrzeseż ognia ! Łatwo mu to przyszło, gdyż powietrze w tym zaciśnionym miejscu było spokojne, i gdy pochodnia zajaśniała, ujrzał Kazika i pana Rafałowicza leżących na ziemi nieruchomie.

## ROZDZIAŁ XIII

*W którym Maciek dostał się niespodziewanie  
w objęcia kościołupa*

Zrazu Kacper myślał, że tak Kazik, jak pan Rafałowicz są zabici, choć nie mógł zrozumieć, od czego by mogli postradać życie. Sklepienie nad nimi było całe, a z tamtego, które się na wskutek strzału zawaliło, najmniejszy nawet szczątek tu nie doleciał. Przekonał się jednak wkrótce, że obaj żyją. Kazik Jak mu tylko Maciek prysnął trochę wody na twarz, zaraz przyszedł do siebie, ale z panem Rafałowiczem była większa bieda. Wprawdzie otrzeźwiono go dość prędko, ale siedział jeszcze na ziemi oparty plecami i ścianę i czy to ze wzruszenia, przestachu, czy też męczenia tak osłabł, że się podnieść nie mógł. Stary już był bardzo i stękał.

— Niech sobie odpocznę — mówił — juźcić wstać muszę, ale też i odpocząć muszę. Jest tam w mojej kobiałce trochę wina, jeżeli się flasza nie stukła, dajcie mi... to mię pokrzepi.

Na szczęście butelka była cała, podano ją panu Rafałowiczowi i gdy wypił nieco wina, zaraz mu się lepiej zrobiło, przy pomocy Kacpra i Maćka, którzy się bardzo żwawo krzątali koło zemdlonego, pan Rafałowicz podniósł się chwiejąc się, wsparty na czekaniku, spoglądał dokoła.

— Hm — mówił — teraz to dopiero rozumiem, co to się stało. Szwedy nas dostrzegli, a może usłyszeli, bo w tych lochach głos rozchodzi się daleko, i strzelili do nas. A że sklepienie i ściany w części korytarza, którąśmy przeszli szczęśliwie, za co niech będą Bogu Wszechmogącemu dzięki, były zrujnowane, więc od huku się zawaliły. Otóż to, jak to było... Pan Jezus nas ocalił cudem prawie i jak tylko na świat Boży wrócimy, zaraz dam na mszę św. do cudownego Pana Jezusa u Fary i krzyżem będę słuchał nabożeństwa. Ale cóż teraz mamy czynić? Warto by, mociumpanie...

— Oho! — zawołał Maciek wesoło. — Skoro jegomość już mówi „mociumpanie”, to już jest dobrze.

— Stuliłbyś gębę, niecnoto, bo to wszystko przez ciebie i zawždy, jako widzę, masz pstro we łbie 'Otóż tedy, należałoby obaczyć, żali on korytarz tak się zawalił, że przez niego nijakiego już nie będzie przejścia...

— A to ja obaczę — ozwał się Maciek.

— Jeno ostrożnie, bo może gdzie jeszcze sklepienie wisieć i znowu runąć.

— -Ha! Skoro jam wszyćkiemu winien, to ja powinienem pokutować — mówił Maciek — a zresztą, zginę, to i cóż?

O laboga, laboga, wielka mi rzecz! Raz kozie śmierć,  
i tyle!

Wziął gorejącą pochodnię i ruszył ku onemu zawalonemu sklepieniu, ale niebawem wrócił i rzekł:

— Strach tam chodzić i -patrzeć. Wszyćko jeno w gruzach i cegły tak wiszą, że lada moment spadną, a przejścia nijakiego nie ma.

— Ano — zakonkludował pan Rafałowicz — Pan Bóg nas uwolnił od Szwedów, ale już wrócić nie będziemy mogli ani też cofnąć się. Musimy iść naprzód i im prędzej stąd pójdziemy, tym będzie lepiej, bo tu niebezpiecznie czekać. Nuż się reszta zawali. Chodźmy, chłopcy!

Przeżegnał się i ruszył przodem, ale szedł wolno, stękając i utykając, przy czym bacznie oglądał sklepienie i ściany. Przekonał się jednak wkrótce, że te były mocne i niebezpieczeństwo żadne od nich nie groziło. Natychmiast zauważył, że powietrze, wskutek zapewne zatkania się korytarza, a stąd braku przewiewu, stawało się coraz gorsze i jego starym piersiom brakowało oddechu. Zauważyli to także jego młodzi kompanioni, gdyż pochodnie coraz słabiej gorzały, a dym od nich, nie mając ujścia, jeszcze bardziej psuł i tak już zepsute powietrze.

— Byleśmy się tu gdzie nie podusili — mrucał Kacper, który od czasu ostatniej katastrofy był jakiś zgnębiony i całkiem stracił animusz.

Za to Maciek był w najlepszym sosie. Szedł rażno i dobywszy z tobołka nie dojeżdżony przez szczura kawał czarnego chleba, gryzł go z wielkim smakiem i gadał:

— O laboga, laboga, wielka mi rzecz. Raz kozie śmierć, i tyle!

Śmiał się głośno i ni stąd, ni zowąd począł śpiewać urywek z kolędy:

*Hiszpan mówi, że w Madrycie Urodzone dziecię...*

Zdaje się, że więcej nie umiał, bo ciągle powtarzał tę samą zwrotkę o Hiszpanii i o Madrycie, a śpiewał głosem tak zabawnym i fałszywym, że wszyscy śmiać się zaczęli i, rozweseleni, mniej zważali na to, że powietrze było zepsute i że jeżeli tak dłużej potrwa, to się mogą podusić. Ale na szczęście nagle powiał świeższy prąd, pochodnie jaśniej palić się zaczęły i znaleźli się w niewielkiej piwnicy, z której po bliższym jej rozpatrzeniu przekonali się, że trzy prowadzą gdzieś korytarze. Prąd ów świeżego i tak zbawiennego dla zduszonych piersi czterech wędrowców powietrza pochodził z maleńkiego, zakratowanego okienka, umieszczonego tuż pod sklepieniem piwnicy i rzucającego słaby, mdły blask światła dziennego.

Pan Rafałowicz zatrzymał się i ciekawie rozglądać się zaczął dokoła. Piwnica była dość wysoka, pusta i wilgotna, jak całe to podziemie, i nie słychać tu było wcale turkotu wozów, który przez cały korytarz towarzyszył prawie nieustannie peregrynantom. Dowodziło to, że znajduje się ona już nie pod ulicą, ale pod jakimś domem. Maciek obejrzał się dokoła i spostrzegłszy trzy wyjścia zawołał:

— O laboga, laboga, którądyż my teraz pójdziemy? Pan Rafałowicz nic na to nie odpowiedział, jeno rozwinął

papier z prospektem mistrza Ascolego, popatrzał na busolę i rzekł wskazując ręką na otwór po stronie prawej:

— Tędy pójdziemy. Jesteśmy na rogu Dunaju i Rynku, pewnikiem pod kamienicą „Pod Św. Markiem”.

— A skądże jegomość o tym wie? — spytał ciekawie Maciek.

— A wiem z tego prospektu.

— O rety, rety! Jaki też to jegomość mądry!

Na tę naiwną uwagę pan Rafałowicz nic nie odrzekł, tylko zwinąwszy spokojnie papier z planem mistrza Ascolego, ruszył naprzód. Korytarz, którym teraz szli, był dość wysoki, ale nadzwyczaj wąski, także pan Rafałowicz, który był gruby i miał brzuch, z trudnością się przeciskał. Zapanowało znowu milczenie, ile że powietrze poczynało się w tak wąskiej szyi psuć, a przy tym korytarz dość gwałtownie się obniżał, co nie zdawało się zapowiadać nic dobrego. Pan Rafałowicz, widząc to obniżanie, rzekł:

— Tak być musi, bo to podziemie idzie pod murami i piwnicami, i fundamentami domów, a głównie kamienicy „Pod Św. Markiem”, która, jako wiadomo tym, co stare księgi czytają, jest najdawniejszą w Warszawie. Powiadają nawet ludzie, że owi założyciele naszego grodu, co się zwali War i Sawa, tu, gdzie tą kamienica stoi, mieli pierwotnie mieszkać, ale mnie się to wydaje bajką, bo tego w żadnej kronice nie ma napisano.

Tak gadał pan Rafałowicz spuszczać się coraz niżej, korytarzem, co było dość trudnym, bo grunt nie wybrukowany był: błotnisty i śliski.

— Muszę wam też, moi chłopcy, powiedzieć, że tu gdzieś pewnie coś ciekawego ujrzymy.

— A to dlaczego? — spytał Kacper — Skąd to jegomość suponujesz?

— Stąd, że na prospekcie mistrza Ascolego, który; jak się okazuje, wszystkie te podziemia sam zwiedził, niedaleko owego zakrętu, któryśmy przeszli, jest namalowany czerwoną farbą krzyżyk. Co by ten krzyżyk znaczył, nie wiem i domyśleć się nie mogę,

zawždy pewno to coś niezwykłego będzie. Takich krzyżyków jest jeszcze dwa, koło kościoła OO. Jezuitów i pod Farą Świętojańską, ale także nie wiem, co by one znaczyły.

Maciek, który tych słów pilnie słuchał, nagie zawołał;

— A ja wiem!

— Wiesz? No... więc powiedz.

— To pewnością tam, gdzie jest krzyż, musi być grób, bo to przecież zawždy na grobach krzyże stawiają.

— Powiedział, co wiedział — ozwał się na to Kacper — a że niewiele wiedział, więc też nic nie powiedział.

— Cichaj, cebulo! — mruknął Kazik. Skonfundowany tym Maciek mruknął coś pod nosem

i nic już nie gadał, ale pan Rafałowicz, który wysłuchał tego wszystkiego w milczeniu, po krótkim namyśle rzekł:

— Może on i nie takie głupstwo powiedział, jak się zdaje. Jużćić, jak wiadomo, pod kościołami są groby i krzyżyki owe, tam przez mistrza Ascolego umieszczone, łącno by się tym sposobem, jako Maciek gada, dały wytłumaczyć, ale co by one znaczyły pod kamienicą Św.. Marka, tego wyrozumieć nie mogę. Ale obaczymy.

Maciek, usłyszawszy te słowa pana Rafałowicza, zwrócił się do Kazika i rzekł:

— Tyś teraz cebula, a ja chłop mądry i jak się patrzy, a ty cebula.

Kazik w odpowiedzi chciał Maćkowi dać „sóję" pod bok, ale nie było na to czasu, bo nagle pan Rafałowicz stanął i zawołał głosem, w którym czuć było trwogę:

— No... teraz to już amen!

Wszyscy rzucili się naprzód i także zasmucili się bardzo. Korytarz zamykały ogromne drzwi żelazne i tamowały wszelkie przejście.

— Otóż i krzyżyk mistrza Ascolego! — zawołał pan Rafałowicz. — Ale czemuż tego wyraźniej nie napisał, nie bylibyśmy wpadli w taką pułapkę. Teraz ani naprzód, ani z powrotem iść nie możemy, ani też wydobyć się z tego podziemia.

Usiadł na mokrej ziemi, bo nogi pod nim dygotały, i siedział chwyając piersiami zepsute powietrze lochów, i szepnął na pół do siebie:

— Co prawda, skądże Ascoli mógł wiedzieć, że się sklepienie tam zawali i zamknie nas tutaj jak w pułapce?

— Cóż teraz uczynimy? — spytał Kacper.

— W Bogu jedyna nadzieja — mruknął pan Rafałowicz z głuchą rozpaczą.

— O laboga, laboga, co to będzie! — jęczał Maciek. Ale Kazik, który był ślusarzem i nawet już na czeladnika

mógł się wyzwolić, jeno w tych ciężkich czasach pieniędzy mu na to brakowało, podszedł do owych drzwi żelaznych i przyświecając sobie pochodnią, opatrywał je starannie, zwłaszcza zamek. Drzwi te na pozór wyglądały bardzo mocno, kute były z *żelaza*, nabijane bretnalami i osadzone w odrzwiach kamiennych. Ale były one też bardzo stare, a w tej wilgoci, jaka tu w podziemiu panowała, rdzą zjedzone. Kazik oglądał, oglądał w milczeniu i nagle, podniósłszy z mocą drąg żelazny, uderzył nim z całej siły w te drzwi. Zatrzęsły się i część zmurszałych bretnali i płyt żelaznych w proch się rozsypała pod tym ciosem i w owych drzwiach tak mocno wyglądających ukazała się dziura. Kazik, zobaczywszy to, krzyknął uradowany:

— Dalej, Kacper, Maciek, do roboty! Rozbijemy to próchno!

Obaj chłopcy rzucili się na pomoc Kazikowi. Kacper walił młotem, a Maciek, że był chłop silny, niewiele myśląc, oparł się plecami o owe zmurszałe drzwi i tak mocno podparł sobą, że nagle żelastwo na dwoje pękło i Maciek runął wraz z wyłamanymi drzwiami do ciemnicy, wrzeszcząc wniebogłoso:

— Reta, rudzie, reta, kto w Boga wierzy!

Padł on na wznak, głową w dół i toczyć się gdzieś począł, i zniknął, tylko z głębi stłumiony jego głos jak z grobu się wydobywał, przy czym wrzasnąwszy:

— Śmierć, śmierć, laboga... śmierć mnie dusi! — umilkł. Pochodnia, którą miał w ręku, zgasła i pozostali z tej

strony nie wiedzieli, co się z nim stało, i przerażeni odskoczyli od ziejącej wilgocią i stęchlizną ciemnicy. Przez chwilę panowała przerażająca, śmiertelna cichość, ale pan Rafałowicz zerwał się na nogi i zawołał:

— Czegóż stoicie?! Trzeba go ratować. Dalej, chodźmy tam za nim!

Wetknięto pochodnię i zobaczono, że tuż za wyłamanymi drzwiami były schody kamienne. Po tych schodach, pod przewodnictwem pana Rafałowicza, który przodem się puścił, poczeli schodzić. Stopni było siedem i na samym dole, na kamiennej i, rzecz dziwna, suchej posadzce leżał na wznak Maciek blady, z zamkniętymi oczami, a na nim — o zgrozo! — kościotrup. Suche jego ręce, cienkie, białe, rozkrzyżowane były i resztą swego szkieletu przyciskał biednego Maćka.

Widok był straszny i tak przerażający, że nawet pan Rafałowicz cofnął się szepcząc:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

## ROZDZIAŁ XIV

*Jako Maciek, ujrzawszy śmierć z kosą, - omdlał i cc potem nastąpiło*

Ale nie było czasu na to, by próżne wyrazy trwogi i zdziwienia wyrażać, należało przede wszystkim ratować biednego Maćka, który leżał głową na dół, blady śmiertelnie, z oczami otwartymi szeroko, w których malował się nieopisany wyraz przerażenia, zupełnie nieprzytomny, prawie umarły. Pan Rafałowicz, na razie, ujrzawszy tak okropny widok, stracił zupełnie świadomość; stał wpatrzony w kościotrupa i cofał się wolno, i żegnał się głośno. Kazik skamieniał i nie śmiał ruszyć ani ręką, ani nogą; jeden tylko Kacper szybko odzyskał zimną krew i wstępując śmiało na schody, wołał:

— Przecież to nie jest żadna śmierć, jeno szkielet ludzki. Kogoś tu w dawnych czasach wzięli i zapomnieli o nim zapewne, i on też umarł, a szczury pewnikiem i inne plugastwo tak obżarło ciało, że jeno szkielet został. O, to był więzień jakiś, bo łańcuch ma u nogi! No! Kazik, chodźże mi dopomóż, nie bądź babą! Trza wždy Maćka ratować!

Ocknął się na te słowa Kazik, ocknął się i pan Rafałowicz i wszyscy trzej zeszli po schodach. W rzeczy samej na jednej nodze szkieletu były kajdany, od których szedł długi: łańcuch przytwierdzony gdzieś do ściany. Niewątpliwie, jak słusznie twierdził Kacper, był to jakiś nieszczęśliwy więzień trzymany w tym ponurym podziemiu, może z czasem zapomniany i tak zostawiony śmiertelnemu swemu losowi. Widocznie doczołgał się do drzwi, może w oczekiwaniu jakiejś ludzkiej pomocy, i oparty o nie, skonał. Gdy Maciek drzwi te wyważył i padł wraz z nimi na wznak, szkielet wstrząśnięty tym obalił się, stoczył i przykrył sobą biednego czeladnika szewskiego. Ten na taki widok, a może wskutek uderzenia głową o schody, omdlał.

Pan Rafałowicz z dwoma chłopcami zabrał się więc naprzód do usuwania leżącego na Maćku szkieletu. Nie bez wstrętu i zabobonnej trwogi dotykali się oni tych szczątków żywego i nieszczęśliwego niegdyś człowieka. Ale z drugiej strony, nie było z tym wielkiego kłopotu. Kościotrup zmurszały przez długi pobyt w tym wilgotnym podziemiu, padając z wysokości kilku schodów, rozleciał się prawie zupełnie i jedna z rąk, oderwawszy się od kośćca, legła na piersiach Maćka. Czaszka oderwała się i potoczyła gdzieś daleko, krzyż połamał się, tylko nogi krzepko u biodra się trzymały. Zdjęto ostrożnie ową fatalną rękę, podniesiono Maćka oswobodzonego z mniemanych uścisków śmierci, usadzono na schodach i poczęto trzeźwić. Że żył, to nie było wątpliwości. Pan

Rafałowicz wsunął mu rękę pod kubrak i wyczuł bicie serca, wprawdzie słabe i nieregularne, ale świadczące, że nie jest to. śmierć, ale chwilowe omdlenie z przestrawu.

Ale omdlenie było silne i uparte, zwłaszcza że nie bardzo było czym trzeźwić Maćka. Napryskano mu się w twarz dosyć wody, nim na koniec ciężko westchnął, oczy słupem stojące przymknął, potem je znowu otworzył i' począł patrzeć obłąkanym, mętным wzrokiem na obecnych.

— Kto to? — wreszcie zapytał.

— To my... to ja, Kazik, twój kamrat, a to pan Rafałowicz, a to Kacper... ocknijże się do licha!

Maciek nic na to nie odrzekł, jeno znów westchnął żałośliwie, oczy jeszcze raz przymknął, by je zaraz otworzyć.

— Maciek — rzekł pan Rafałowicz — napijesz się wina?

— O laboga! laboga! — jęknął Maciek.

— To dobrze, skoro gada — szepnął pan Rafałowicz. — Zaraz mu dam mocnego wina węgierskiego,, to się ocknie do reszty.

To powiedziawszy wydobyl flaszke z winem, odkorkował i począł lać do gardła Maćka. Ten łykał, łykał, a gdy pan Rafałowicz odjął butlę, mruknął:

— Jeszcze!

— Oho! — rzekł pan Rafałowicz — ty byś, widzę wszystko połknął — ale dał mu jeszcze pić.

Maciek łykał znowu chciwie i byłby zapewne całą, co prawda niewielką, flaszke połknął, gdyby pan Rafałowicz nie odjął mu jej od ust. Maciek westchnął, spojrział żałośliwym wzrokiem na niknącą w kieszeni żupana pana Rafałowicza flaszę, obtarł usta, poglądził się ręką po piersiach, mlasnął językiem i rzekł:

— Przednie!

Roześmieli się na to wszyscy, a Kacper rzekł:

— Skoro jesteś zdrów, to wstawaj. Bodaj cię, a toś nam strachu napędził!

Maciek podniósł się leniwie, pomacał po głowie i rzekł:

— Stłukłem sobie łeb szpetnie. Ale co to było? I nagle przypominając sobie, zawołał:

— Rety! Ja śmierć widziałem... śmierć mnie dusiła!

— Głupstwa gadasz — ozwał się na to pan Rafałowicz — nie śmierć żadna, jeno zwyczajny szkielet jakiegoś nieszczęśnika, którego tu za dawnych czasów uśmiercili.

— O laboga! laboga! Co mi też jegomość gada, przecie ja na własne oczy śmierć z kosą widziałem. Dziabnęła mię nawet w łeb i dusić zaczęła i jeśliś żyw, to jakieś zmiłowanie Boskie...

Wytlomaczono mu przecież, wyjaśniono cały przebieg tego osobliwego wypadku, pokazano rozrzucone po piwnicy kości szkieletu i jako tako uspokojono, choć trzymał się z dala od tych szczątków, poglądał na nie z ukosa i chował się za innych, a Kazika ciągle się trzymał za połę od kubraka.

Pan Rafałowicz, gdy już się cała historia z Maćkiem skończyła, rzekł:

— Skoro tu więzień był zamknięty, to pewnikiem, mociumpanie, wyjścia stąd nie ma, ale to mi wielce jest, dziwne, bo na prospekcie Ascolego wyraźnie tędy czerwona idzie linia. Ale obaczmy najprzód tę piwnicę.

Była ona niewielka, cztery kroki, wzdłuż, pięć wszere, półokrągła i silnie sklepiona, w górze miała mały kwadratowy otwór, silnie okratowany, przez który zapewne powietrze się dostawało, które tu było dość świeże. Łańcuch, do którego był przykuty szkielet, osadzony był w murze i miał dość znaczną długość, tak że biedny męczennik mógł się swobodnie po ciemnicy poruszać. Posadzka była wyłożona wielkimi płytami kamienia, ale przez czas i wilgoć płyty te od dawna rozstały się i pod nogami uginały się jak klawisze.



Co wszakże najważniejsza, to, że wprost drzwi, tak niefortunnie wyłamanych przez Maćka, znajdowały się w przeciwnej ścianie inne drzwi, również żelazne i z pozoru dość mocno wyglądające, niskie, wąskie, oprawione w odrzwia kamienne.

— Otóż jest wyjście z tej piwnicy — rzekł pan Rafałowicz — ale czy dadzą się one tak łatwo jak tamte otworzyć?...

— O, ja już nie chcę, nie chcę ich otwierać — zawołał Maciek — bo tam może jest druga śmierć!

— Kazik, obacz no te drzwi! — rzeki pan Rafałowicz nie odpowiadając na niemądłą uwagę Maćka;

Kazik zbliżył się z pochodnią, począł owe drzwi opatrywać, aż nagle zawołał:

— Tu jest klucz i jakiś papier!

— Papier! — zdziwił się pan Rafałowicz — a to co ma znaczyć?

— I jest coś na nim napisane.

— A to osobliwsze! — zawołał pan Rafałowicz i żwawo do owych drzwi pobiegł.

W rzeczy samej w ogromnym staroświeckim, pełnym najdziwniejszych zakrętów zamku tkwił wielki klucz na pół rdzą zjedzony, a u jego ucha na drucie wisiała kartka nie papieru, ale pergaminu. Znać było na nim jakieś pismo, ale to wilgoć w połowie wyżarła, tylko tu i ówdzie pojedyncze wyrazy łacińskie można było odróżnić. Na szczęście pergamin na samym dole był zagięty i w tym zagięciu pismo zachowało się dobrze. Była tu data *25 Sierpnia 1651 r.* i podpis *Silvia Ascolego*.

— Tak, to on, mistrz Ascoli, a mój szwagier, to pismo tu ostawił — rzekł poważnie pan Rafałowicz — szkoda, że go odczytać niepodobna, ale wszakże mamy tę pewność, że dobrze idziemy. Panie, racz mu dać wieczne odpocznienie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci. Przeżegnał się, westchnął i rzekł:

— Spróbuj, Kaziku, otworzyć te drzwi.

— Ta już próbuję, ale klucz zardzewiał i strasznie skruszał... nie! nie mogę! Trzeba drąg włożyć w ucho, może się da otworzyć.

Użyto więc drąga żelaznego i przy pomocy Kacpra, bo Maciek tchórzliwie trzymał się z daleka, a pan Rafałowicz dumiał nad pismem Ascolego, zamek na koniec z. piskiem i zgrzytem przeraźliwym ustąpił. Gdy potem same drzwi z takim zgrzytem, przez tysięczne echo powtarzanym, otworzono, ukazały się najpierw schody kamienne wiodące w górę, a potem czarny loch.

Pan Rafałowicz, obaczywszy to, rzekł:

— Tak, to było więzienie, umyślnie niżej korytarza podziemnego umieszczone. Straszne więzienie, bo wyobraźcie sobie, że tego męczennika, którego tu oto kości widzimy, trzymano tu zapewne przez całe życie, aż umarł. Chłopcy, uklękniemy i pomódlmy się za jego duszę.

Wszyscy za przykładem pana Rafałowicza uklękli, zdjęli czapki (oprócz Maćka, bo ten, utraciwszy swe nakrycie głowy podczas przeprawy przez mur miejski, ciągle szedł z gołą czupryną) i zmówiwszy kilka „Zdrowaś Maria” zakończyli tę cichą, serdeczną, w głębi podziemia przed tron Boży wysłaną modlitwę słowami: „wieczne odpocznienie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista” itd.

— Teraz, chłopcy — rzekł pan Rafałowicz prostując się po tej modlitwie — nie trzeba, by te szczątki ludzkie walały się tutaj po podziemiu i były rozwłócone przez szczury i inne plugastwo. Obowiązkiem chrześcijańskim jest grzebać umarłe, pogrzebmy i tego nieszczęśnika.

— A jak? — spytał Maciek. — Przecie tu kamienie.

— Trzeba tam, pod murem, oderwać kilka płyt, to łatwo pójdzie, bo one i tak się ruszają, potem wykopiemy w ziemi dół i pochowamy uczciwie te kości. Nie w poświęconej ziemi będą one spoczywały, ale to już nie nasza wina i nic na to nie

poradzimy. Bierzmy się więc do roboty, a Pan Jezus wynagrodzi nas kiedyś za ten dobry uczynek.

Chłopcy, nawet Maciek, którego słowa pana Rafałowicza z powagą wygłoszone rozrzewniły głęboko, tak że wzdychał i nosem głośno pociągał, rzucili się z wawo do odrywania we wskazanym miejscu płyt kamiennych. Łatwo to przyszło, bo płyty ledwie się trzymały, i pod nimi ukazała się ziemia miękka i wilgotna, w której bardzo prędko wykopano odpowiedni dół i w nim kości nieszczęśliwego więźnia złożono, nawet nogę, którą z łatwością z obręczy łańcucha wyjęto. Szczątki te przysypano na powrót ziemią, ubito ją, jak można było najlepiej, i płytami kamiennymi przykryto. Gdy to ukończono, pan Rafałowicz, a za nim czterej jego kompani, uklękli na tym grobowcu i pacierz za duszę nieboszczyka odmówili.

Powstawszy pan Rafałowicz rzekł:

— A teraz, Kazik, wyryj ty nad tym biednym grobem na murze krzyż duży. Długim żelaznym na tych zemszałych ceglach będziesz mógł tego dokonać. Niech kiedyś, jeżeli znów ktoś ze żyjących zjawi się w tym podziemiu, wie, że tu pochowano kości człowieka.

Kazik wyrył duży krzyż, a że cegły w murze od wilgoci skruszały, znak ten święty był bardzo głęboki i widoczny swą jaskrawą, czerwoną barwą na tle szarzyzny ścian. Pod spodem Kazik już z własnej intencji wypisał:

A.D. 1656

Pan Rafałowicz mu to pochwalił, obejrzał się jeszcze raz po tym ponurym więzieniu i rzekł: — A teraz w drogę, mamy jeszcze przed sobą długą i może niebezpieczniejszą niż dotąd peregrynację.

## ROZDZIAŁ XV

*W którym jest nieco o nietoperzach i o zamkniętej ze wszech stron piwnicy*

Przebywszy wąskie i oślizgłe schody, czterej wędrowcy puścili się dalej wąskim korytarzem. Wilgoć panowała tu jak wszędzie w tym podziemiu, ale powietrze było dość czyste dzięki okienkom, zawsze silnie okratowanym i co pewną przestrzeń regularnie pomieszczonym w sklepieniu. Okienka te co prawda nie wychodziły na świat Boży, gdyż przez nie nie przedzierał się nawet najśłabszy blask, ale zapewne komunikowały się z piwnicami będącymi pod domami. Głucha cisza otaczała idących i oni też po tylu wzruszeniach, jakie przeszli, milczeli.

Ale niebawem korytarz począł się dość nagle i stromo pięć w górę, a że grunt był ciągle błotnisty i oślizgły, więc pochód stawał się bardzo uciążliwy, zwłaszcza dla pana Rafałowicza, tak że w końcu musiał go podtrzymywać Kacper, inaczej staruszek byłby nieraz upadł. Przytrafiło się to zresztą Kazikowi, z czego Maciek serdecznie się śmiał i dworować sobie począł ze ślusarskich, jak mówił, nóg swego kompaniona.

To podnoszenie się korytarza świadczyło, że wydobyto się na koniec spod kamienic i znajdowano się teraz pod Rynkiem Staromiejskim, jak to wskazywała czerwona linia na prospekcie mistrza Asolego. Przypuszczenie to znalazło potwierdzenie w głuchym turkocie nad głowami peregrynantów, zapewne od wozów jadących po Rynku. Tak szli, zawsze w milczeniu, z dobre cztery pacierze i zauważyli, że znowu korytarz w dół się spuszcza i odgłos turkotu ustał, i dawna posępna cisza zaległa korytarz.

— Przeszliśmy już ulicę Grodzką rzekł pan Rafałowicz — i lada chwila dostaniemy się do podziemi pod kościołem OO Jezuitów. Na prospekcie mego nieboszczyka szwagra narysowany jest w tym miejscu znak krzyża świętego, co zapewne znaczy, że spotkamy się

znów z kościotrupami ludzkimi, ile że wiem, że pod kościołem Ojców są liczne groby, gdzie nie tylko zakonników, ale też i świeckie a zasłużone Towarzystwu osoby chowają. Mówię to dlatego, mociumpanie, żeby Maciek, obaczywszy zwłoki, znowu się nie przestraszył i nie omdlał jak nie przymierzając baba.

— O laboga, laboga — zawołał kwaśno Maciek — jaki też to jegomość dokuczny! Ja się nieboszczyków ani krzynekę nie boję, ale tam to mi się widziało, że to śmierć sama... ano i pewno była to śmierć, jeno uciekła. Ale teraz to ja się wcale nie boję.

— Spodziewam się — odrzekł pan Rafałowicz — boby też to wstyd było, żeby taki chłop bał się nieboszczyków. Ale uważam, że powietrze tu jest okrutnie ciężkie.

Jakoż w rzeczy samej w korytarzu tym, coraz bardziej się obniżającym, powietrze było nadzwyczaj duszne, i zepsute, do czego także przyczyniał się wiele kopeć i dym z pochodni, które z braku przewiewu i tlenu raczej ćmiły się tylko i dymiły gorejąc słabym płomieniem. Pan Rafałowicz, uważając to, zatrzymał się i rzekł:

— Nie ma co, trzeba zgasić pochodnie, bo inaczej podusimy się z kretesem. Latarka moja potłukła się, to prawda, ale zawždy w niej świeczkę osadzić można, a że tu nie ma nijakiego przeciągu, tedy goreć i świecić nam będzie.

Uczyniono tak i ze ściśniętym sercem, dysząc coraz ciężej, ruszono dalej wśród zupełnych prawie ciemności, gdyż świeczka pana Rafałowicza rzucała słaby tylko, i migotliwy blask przed nim samym, a idący w tyle nic prawie nie widzieli. Na szczęście korytarz począł się podnosić i niebawem natrafili na schody, których było ośm, i te wprowadziły ich do niewielkiej piwniczki, gdzie powietrze było o wiele lepsze, jakkolwiek stęchlizną przesiąknięte.

W piwnicy tej było zupełnie ciemno, tylko wędrowcy z tego sądzili, że znajdują się w jakimś obszerniejszym miejscu, bo już nie ocierali się bokami o ściany i wyciągnawszy obie ręce, znajdowali próżnię. Chcąc więc rozpatrzeć się w położeniu, zwłaszcza że teraz nie wiedzieli, gdzie iść, pan Rafałowicz kazał zapalić pochodnię.

— Pewnikiem — mówił — jesteśmy w lochach pod kościołem OO. Jezuitów, ale należy to obaczyć i spenetrować wszystko jak się patrzy.

Zapalono więc pochodnie i gdy te zajaśniały żywym blaskiem, nagle rozległ się gdzieś, wysoko pod sklepieniem, głuchy szelest, jakieś ruchliwe cienie poczęły się ukazywać, przelatywać z cichym szmerem i coś nadzwyczaj wstrętne muskało twarze wędrowców, czyniąc lekki wiatr. Zrazu nikt z nich nie mógł zrozumieć, co to takiego, i ogarnęła ich zabobonna trwoga, a Maciek, kuląc się i chwytając pana Rafałowicza za połę od żupana, krzychał przerażonym głosem:

— Rety! co to takiego? O laboga, coś mię lize po gębie!

Dopiero Kacper, podniósłszy do góry pochodnię i oświeciwszy nieco dość wysokie sklepienie, zawołał:

-- To nietoperze!

Całe gromady tych wstrętnych stworzeń poprzyczepiane były do sklepienia i ścian bocznych piwnicy, a teraz zbudzone nagłym blaskiem, zrywały się, krążąc w cichym, jakby sennym locie, czyniły wiatr swymi skrzydłami i chwiały płomieniami pochodni. Oczywiście nie było tu żadnego niebezpieczeństwa, ale towarzystwo nietoperzy sprawiało wstręt niewypowiedziany, a Maciek wychowany w przesądach, krzychał zakrywając gołą głowę rękami i płachtą, w której dźwigał żywność:

— O laboga, reta, we włosy rai się wkręca, czapki nie mam, ó laboga, uciekajmy stąd!

— Cichaj, cebulo! — zawołał na to Kacper — to jest nieprawda, żeby nietoperze we włosy się wkręcały. Czytałem o tym w pewnej uczonej księdze niemieckiej...

— Ale, nieprawda — odrzekł na to Maciek nie przestając okrywać starannie swej szczecinowatej czupryny — w księdze niemieckiej czytałem, jakby Niemcy wszystkie

rozumy pojady! Oj reta, reta, jegomościuniu, uciekajmy, bo te szelmy nietoperze, ażeby ich skrzyło, ciągle koło mej głowy latają!

— Mają też koło czego — mruknął Kazik — co one tam mogą znaleźć w tej głowie, chyba sieczkę albo trociny, bo mózgu pewnikiem że nie.

— Więc gadasz, co one nie wkręcą się?

— A nie!

— Za wždy lepiej, jak stąd uciekniemy. Uciekajmy, mój jegomość!

— Hm! łatwo to powiedzieć: uciekajmy — odrzekł pan Rafałowicz — ale gdzie, skoro ja nie widzę stąd żadnego wyjścia.

Już od niejakiemu czasu pan Rafałowicz rozglądał się bacznie po piwnicy i nigdzie nie mógł dostrzec żadnego z niej wyjścia. Ściany były wszędzie czarne, wilgotne, pokryte rojącymi się niespokojnie nietoperzami.

— Ot — rzekł pan Rafałowicz tonem posepnym — przepłynął całe morze, a przy brzegu utonął. Widocznie nie ma tu wyjścia i co my w takim razie uczynimy?

— A cóż mówi prospekt mistrza Ascolego? — zapytał Kacper.

— Ba! kiedy tędy chodził Ascoli, mogło być wyjście, ale widno później je zamurowano. O! nawet widać tam świeże cegły czerwone i wapno. Tu było połączenie z grobami pod kościołem, ale je zamurowano. Wpadliśmy w straszną pułapkę...

Wszyscy milczeli ponuro, bo istotnie położenie było rozpaczliwe. O powrocie nie można było myśleć z powodu, że tam za nimi zapadło się sklepienie i zapewne zawało przejście. Każdy stał niemy, z wewnętrzną głuchą trwogą w duszy, stał i Maciek i na chwilę zapominając o nietoperzach, także rozmyślał, wreszcie nagle zawołał:

— O laboga, laboga, co też jegomość gada! Skoro tu są nietoperze, żeby ich skrzyło!, to musi być jakaś dziura, którą się tu dostają i wydostają.

— Zapewne — rzekł na to pan Rafałowicz melancholijnie — musi być taka dziura, dobra dla nietoperzy, ale nie dla nas. Tam, którędy one się wydostają, my się przecież nie wydostaniemy.

— Wszelako należy dobrze opatrzeć ściany — odezwał się Kacper.

— A opatrz, bo ja już nóg nie czuję! — odpowiedział pan Rafałowicz i usiadłszy na ziemi, ukrył twarz w dłoniach i szeptał coś cicho, zapewne modlitwę.

-A nietoperze nie przestawały latać z lekkim, ledwie dosłyszalnym - szmerem, muskać twarze wędrowców i dreszczem ich przejmować. Prócz tego szmeru sennego, prócz, szeptu pana Rafałowicza nic więcej nie było słyhać w tej piwnicy. Z zewnątrz nie dochodził żaden odgłos i panowało tu ponure, przygnębiające milczenie.

A Kacper tymczasem, z pochodnią w jednej ręce, a młotkiem w drugiej, obchodził dokoła mury piwnicy, bacznie je oglądał, stukał młotkiem, wreszcie przyszedłszy do miejsca, gdzie świeże, czerwone i zdrowe cegły oraz wapno białe świadczyło o niedawnym zamurowaniu jakiegoś poprzedniego wyjścia, nagle zawołał:

— Jest!

— Co jest?

— Dziura!

— Duża?

— Nie, nieduża, ale zawždy dziura.

Wszyscy, nawet pan Rafałowicz, zerwawszy się na równe nogi, rzucili się ku miejscu, przy którym stał Kacper, i poczęli oglądać ową dziurę. Właściwie nie była to dziura, ale regularny, podłużny, wąski otwór, zostawiony widać umyślnie w świeżo zamurowanej ścianie. Dawniej wyjście stąd było dość znaczne, bo poznać to można było po dawnym czarnym murze, odbijającym wyraźnie od świeżej roboty, tworzącym silną arkadę, o szerokim i wygodnym polu. Dlaczego tę komunikację zamurowano, trudno było odgadnąć,

dość że to zrobiono i zostawiono tylko, wąskie, długie może na łokieć, a na kilka cali szerokie okienko, z którego wiało chłodne, stęchłe, piwniczne powietrze,

— Tak! — rzekł Maciek — dziura jest, ale nikt przez nią nie przejdzie.

— Hm! — zauważył Kacper — ty jesteś cienki jak tyczka, może byś się przecisnął. Spróbuj!

— I na co by się to zdało? — rzekł pan Rafałowicz. — Choćby nawet Maciek się przecisnął, to ani ja, ani wy tędy nie przejdziemy. Rozumiem jednak, że ten mur jako świeży i na liche wapno brany, bo się kruszy w palcach jak piasek, nie musi być mocny. Spróbujmy go wyłamać. Nic lepszego nie mamy do czynienia, jest to jedyny nasz ratunek. Dalej, bierzmy się do drągów i młotów, a zaczynamy od tego okienka.

Zachęceni tym trzej młodzieńcy żwawo rzucili się do rozbijania, czym kto mógł, świeżego muru. Huk stąd powstały zbudził i wystraszył resztę drzemiących nietoperzy, które w szalonym, wirowatym ruchu, poczęły latać po całej piwnicy, uderzać się o czterech wędrowców, napełniając sennym szmerem ciszę podziemia i dreszczem przejmując Kazika i Maćka. Jak mogli jednak, tak się krzepili i gorliwie pracowali koło wyłamywania muru. Zrazu szło to dość opornie, i mur okazał się mocniejszym, niż pan Rafałowicz sądził, ale powoli pod silnymi ciosami wypadała jedna cegła za drugą i otwór się zwiększał z każdą chwilą. Cegły po większej części staczały się w sąsiedni loch, do którego ów otwór prowadził, i uderzały o coś twardego i pustego, bo głucho dudnienie się rozlegało, które wtedy dopiero ustało, gdy coś z trzaskiem się zapadło. Go by to było, domyśleć się trudno i zresztą nie myślano o tym bardzo. Wszystkim szło bowiem o to jedynie, aby jak najprędzej mur wyłamać i wydostać się z tej piwnicy z nietoperzami, która mogła stać się grobem czterech peregrynantów.

Na koniec, po godzinnej dość ciężkiej pracy, wyłamano otwór tak szeroki, że można było przez niego wygodnie przejść. Kacper wychylił się przezeń z pochodnią, ale zaraz się cofnął, wstrząsnął się i mruknął: — Brrr!

## ROZDZIAŁ XVI

### *W którym Maciek wśród szkieletów i trumien ujrzał czarnego diabła*

Na wykrzyknik obrzydzenia i wstrętu, wydany przez Kacpra, wszyscy z ciekawością wyjrzeni przez wybity otwór do sąsiedniej piwnicy. I w rzeczy samej, to, co tam ujrzeli, grozą ich przejęło. Cały, dość obszerny, loch, do którego przez okienko zakratowane z góry wpadało nieco światła dziennego, przepelniony był trumnami i zwłokami ludzkimi. Wiała stąd woń grobowa, stęchlizna i zaduch rozkładających się ciał i w ogóle widowisko było ponure i wstrętne.

Trumien było mnóstwo. Zajmowały one nie tylko całą posadzkę piwnicy, ale stały warstwami jedna na drugiej pod ścianami. Były one rozmaite: proste, drewniane, czarno malowane z krzyżami z gwoździ na wiekach, bez żadnych napisów, były obite kosztownymi materiałami, aksamitem pąsowym lub granatowym, pełne złocistych frędzli, z blachami, na których czerniały napisy, ale na wszystkim tym leżała biała pleśń, grube warstwy pyłu jakiegoś szarego, plamy brudne nieokreślonej barwy. Wiele z nich, zwłaszcza te, co na samym spodzie stały, pod naciskiem warstw zwierzchnich, pozapadało się i popękało i spomiędzy szmat

aksamitu i frędzli tu wyglądała noga jakiegoś nieboszczyka, w żółty but niegdyś, dziś na pół zbutwiały, przybrana, tam znowu noga nieboszczki w strojny atlasowy trzewiczek obuta, który jakimś cudem wśród tej zgnilizny powszechnej zachował się cały i świeży, jakby wczoraj dopiero wyszedł z rąk szewca. Ówdzie sterczały ręce, piszczele, kości białe; tu na posadzkę potoczyła się naga czaszka i czarnymi dołami, w których niegdyś oczy

były, zdawała się patrzeć na tych, co przyszedli jej spokój zakłócać. Tam znowu inna zachowała długie, jasne, niewieście włosy i leżąc na nich, jak na złocistej brokateli, śmiała się szyderczo szeregiem białych zębów. Wszędzie pełno było kości, nóg, rąk, czaszek, straszna ruina, straszne szczątki ludzkie.

Ale najokropniejszy był widok tuż pod otworem wybitym przez czterech podziemnych wędrowców. Cegła i wapno, spadające do tego grobowca, potrzaskało trumnę jakąś i widać było całe zwłoki jakiejś dostojnej damy ubranej bogato w złocistą rogówkę, czepiec wspaniały, spod którego koronek wychylała swą ohydą czaszkę trupa. Cegły spadając ugrzęzły w miękkim cieple, połamały bogatą brokatele i ukazywały szare piszczele nóg, w zbutwiałe, niegdyś atlasowe białe obute trzewiczki. A do tego ponurego i wstrząsającego widoku, który już sam przez się dreszczem przejmował, zwiększały grozę nietoperze, które także pod wpływem światła pochodni pozrywały się w tej piwnicy i swym cichym lotem, muskającym twarze czterech peregrynantów, zdawały się przypominać widma śmierci, której to miejsce było niezaprzeczoną dziedziną.

Pan Rafałowicz, Kazik i Kacper, obrzuciwszy Wzrokiem ów ponury grobowiec, cofnęli głowy, ale Maciek ciągle patrzył i gadał:

— Pi! pi! pi! jakie haniebnie piękne trzewiczki i ciż-my sztukwarkowej roboty. O laboga, laboga! I to się tak tutaj marnuje, dyć ja za takie ciżmy dziesięć złotych bym dostał. Oj, ludzie, ludzie, jak wy za nic macie pracę szewcką!

— Cichaj tam, cebulo! — zawołał Kazik.

Maciek ucichł, powstał i obracając się, zobaczył, że wszyscy trzej jego kompanioni stoją w kupie i patrzą na prospekt mistrza Ascolego, i radzą

— Tu — mówił pan Rafałowicz — Ascoli narysował krzyż, jakoż natrafiliśmy na trumny, co oczy wiście dowodzi, że dobrze idziemy. Ale zważcie, że teraz czerwona linia na prospekcie w różne zygzaki się kręci i takich krzyżów jest jeszcze kilka. Lękam się pobłądzić i godziź się to po trumnach i grobach stąpać?...

— A cóż zrobimy? — spytał Kacper.

— I to prawda. Trzeba dokonać tego, cośmy zamierzeli. Sprawa jest ważna i Bóg nam wybaczy, że naruszymy pokój zmarłych. A więc ruszajmy. Kto pierwszy wejdzie do tego grobu?

— Ja! — zawołał Maciek. — Bo mi się te ciżmy haniebnie podobają.

— Ani mi się waź ich dotykać! — zawołał surowo pan Rafałowicz. — Jeszcze czego!

— Oj! sprawiłbym ci ja basy! — mruknął Kazik.

— Nie gadaj! — uśmiechnął się Maciek. — A skoro tak, to nic nie ruszę. No... idę!

I niewiele myśląc przesunął się przez otwór, przeskoczył, a raczej przekroczył swymi długimi nogami trumny i stanął na środku lochu, rozglądając się ciekawie dokoła. Za nim poszli i inni i znalazłszy w głębi schody, prowadzące do innego podziemia, szybko to ponure miejsce opuścili. Następna piwnica była pusta, ale na nieszczęście miała trzy wyjścia, tak że nie wiedziano, w którą stronę się obrócić, co wprawilo pana Rafałowicza w wielki kłopot, bo łąco było teraz pobłądzić, Prospekt mistrza Ascolego niewiele tu mógł pomóc, radził go się jednak pan Rafałowicz, patrzył na busolę i mimo to wahał się, którądy się puścić. Ale Kacper, który znowu począł dokoła obchodzić piwnicę, zacznie opatrując jej ściany, stanąwszy przy jednym otworze, zawołał:

— Jegomość, tędy trzeba iść!

— A dlaczego?

— Dlatego, że tu jest na ścianie wyrzezana strzała napis: *Ascoli A.D. 1651*,

— Bogu niech będą dzięki — zawołał pan Rafałowicz odetchnąwszy głęboko — niech temu mistrzowi Ascolemu światłość wiekuista świeci za jego przezorność! Prawda, jest lapis, a więc nie tracąc czasu chodźmy

Weszli w dość długi korytarz, który po bokach miał liczne piwnice, ale że sam szedł prosto i linia na prospekcie w tym miejscu była prosta więc szli nim nie zbaczając wcale i nie zaglądając do owych piwnic, zwłaszcza iż większość ich miała drzwi pozamykane na kłódki. Gdy tak szli, nagle jedne z tych drzwi z trzaskiem się rozwarły

ukazał się w nich jakiś człowiek, ubrany w długą szatę czarną, z pękiem kluczy u pasa i latarką w ręku. Zobaczywszy czterech podróżnych z gorejącymi pochodniami w rękach, na pół oblanych ich czerwonym migotliwym światłem, na pół ukrytych w cieniu i zapewne w tych półblaskach i półcieniach wyglądających bardzo dziwacznie, strasznie krzyknął głosem przerażonym:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Nieboszczyki z grobów wstali.

To rzekłszy zakreślił się na miejscu, wpadł z powrotem do piwnicy, zatrzasnął za sobą drzwi i słychać było, jak biegł szybko po schodach jakichś, krzyząc wniebogłosy:

— Reta! reta! Ratujcie, ludzie!

Wszystko to stało się tak prędko, że nim czterej wędrowcy mogli się opamiętać, przyjść do siebie i zdać sobie sprawę z tego nagłego i niespodziewanego zjawiska, głos i kroki uciekającego ucichły, słychać było tylko gwałtowne trzaskanie drzwiami, wreszcie zapanowało głębokie milczenie.

— Przeląkł się nas — rzekł śmiejąc się pan Rafałowicz — pewnikiem to był jaki stróż tych grobów.

— O laboga, laboga — odezwał się Maciek — co też jegomość mówi, stróż!... gdzie tam stróż, to był diabeł.

— A to czemu?

— Oto był calusieńki czarny i krzyczał po diabelsku.

— Pleciesz niedorzeczności i lepiej byś, mociumpanie, milczał.

— Ale, milczał! On nie ze strachu uciekł, jeno z trwogi...

— Masło maślane! — zaśmiał się Kacper.

— A nie... bo z trwogi przed nami, bo my wierne chrześcijany i też katoliki.

— Cichaj, cebulo! — zawołał Kazik.

— W każdym razie — mówił dalej pan Rafałowicz — dobrze się stało, że się przestraszył i wziął nas za nieboszczyków. Bo gdyby było inaczej, cała nasza wyprawa ia nic by się nie zdała. Ale nie mamy tu czego czekać. Jciekajmy stąd, bo kto wie, czy ów stróż, narobiwszy krzyku tam na górze, nie sprowadzi do tych podziemi ikich wcale nie pożądanych gości.

— Niby diabłów? — spytał Maciek.

— Cichaj, cebulo, mówię ci po dobroci! — zawołał Kazik dając Maćkowi szturchańca w bok.

— Nie bij! — mruknął Maciek. Umilkł, ale zaraz potem mówił:

— O laboga, laboga, jacy też to sprzeczni są ludzie! Człęk, chce się dowiedzieć przecie o to i o owo, a tu zaraz: „cichaj, cebulo” i kuks mię w żołądek. Com ci winien, że mię ciągiem pierzesz?

— Nie piorę cię, jeno ci soję daję.

— A bez co?

— Bez to, coś głupi. I ty nie odzywaj się, jeno milcz słuchaj, kiedy starsi, mądrzejsi od ciebie rozmawiają.

— Nie gadaj!

— A tak... a teraz bądź cicho!

Maciek umilkł i szedł już teraz, nic się nie odzywając, ociągając tylko od czasu do czasu nosem i wzdychając melancholijnie.

Przechodzili jeszcze kilka piwnic także pełnych trumien kościotrupów, a gdy była jaka wątpliwość, w którą stronę tę obrócić, zawsze znajdowali na murze strzały, widocznie

przezorną ręką Ascolego w tym labiryncie piwnic i lohów wyrzeżane. Wreszcie dostali się do niedługiego, ale wąskiego korytarzyka, który doprowadził ich do szerokiego podziemia, także pełnego trumien i szczątków ludzkich.

Pan Rafałowicz, zatrzymawszy się tutaj, znów począł się radzić prospektu mistrza Ascolego i busoli i namyśliwszy się a rozglądając się dokoła rzekł:

— Pewnikiem teraz znajdujemy się w podziemiach kościoła Św. Jana. Mam nadzieję, mociumpanie, że niedługo będziemy pod Zamkiem i że najgorsze już przebyliśmy.

— O laboga, laboga zajęczał Maciek — czas byłby też wielki, bo mi się tak jeść chce, zem wysechł jako te nieboszczyki. I taki jestem lekucieńki, że gdyby mnie kto palcem tknął, zaraz bym się przewrócił, a taki pusty, że gdyby mi Kazik kuksa dał, toby mi w żywocie dziurę zrobił jako w bębnie...

Kazik nie omieszkał zaraz w bok szturgnąć Maćka, na co ten zwykle swoje:

— Nie bij! — odmruczał.

— A cóż, zrobiłem ci dziurę?

— Ano nie... boś w ziobra tknął... ale czego ty mię bijesz, com ci winien?

— Cichaj, cebulo!

Ale przepowiednia pana Rafałowicza, że już najgorsze przebyli, nie sprawdziła się. Ciężka była jeszcze przeprawa przez piwnice z trumnami, wśród nadzwyczaj zepsutego powietrza, wdrapywanie się na liczne oślizgłe schody, znowu spuszczenie się z nich. Przebyli to wszystko w ponurym milczeniu, bo te ciągle trumny, kości ludzkie, szczątki walające się po podziemiach bardzo przygnębiająco na nich oddziaływały. Przy tym zimno panujące w tych lochach, wilgoć szkaradna przejęła ich do kości i przy podrażnieniu nerwowym sprawiła, że wszyscy trzęśli się z febry, a Maciek głośno zębami klapał i prosił pana Rafałowicza, by mu „dla rozgrzewki dał kapeńkę tego przedniego wina”, które już raz pił, gdy omdlał ze strachu wśród ścisków, jak utrzymywał, śmierci, ale pan Rafałowicz odmówił:

— Jest już 'wina niewiele, a nie wiemy, co którego z nas łoże spotkać.

Maciek jęczał i gadał coś o nieużytych ludziach, co jednak pana Rafałowicza nie wzruszało wcale: Tak przeszli we grobowe podziemia i w końcu znaleźli się w wąskim, ale suchym i dobrze przewietrzanym korytarzu.

## ROZDZIAŁ XVII

*W którym nowa osoba, pan Żórawski, jest przekonany, że diabeł przybrał na się postawę pana Rafałowicza*

— No, mociumpanie — rzekł pan Rafałowicz, gdy ze swymi trzema kompanionami znalazł się na koniec po ciężkiej przeprawie przez groby i trumny w suchym, czystym, dobrze przewietrzanym korytarzu — no, widzi mi się, że nasza peregrynacja ma się ku końcowi. Korytarz ten pewnikiem jest już pod Zamkiem i strach jeno, byśmy tu jakiego Szweda nie zdybali.

— O laboga, laboga, wielga mi rzecz Szwed — ozwał się na to Maciek — zaraz hycła naszpikuję na ten oto zamorski rożen, co mi go Kacper zabrał.

— Nie plótlbyś głupstw — rzecze poważnie pan Rafałowicz — wiemy już dobrze, jaki z ciebie rycerz. A przy tym nie należy tu głośno gadać, bo oto w loszku widzę okna, które ani chybi prowadzą na dziedziniec zamkowy. Na dziedzińcu tym, wiem ja dobrze, bo nie dawniej jak dwie niedziele temu byłem w Zamku, kręci się mnóstwo żołdaków i mógłby który usłyszeć gruby twój głos, Maćku, więc nic nie gadaj.

— O rety, rety, jaki też to jegomość spreczny. Nie gadać, to nie będę gadał. Ja to do gadania nie jestem skory, jeno...



Przerwało mu uderzenie w bok, wymierzone przez Kazika.

— Cichaj, gamoni! Jegomość zakazał gadania, więc stul gębę!

— Nie bij! Com ci winien?

— A przy tym — ciągnął dalej pan Rafałowicz — należy raz gwoli wszelakiego bezpieczeństwa zachować wielkie strożności. Z tego lochu wszędzie prowadzą okna na dziedzińce zamkowe i jest tu widno. Trzeba tedy pogasić pochodnie, bo najprzód zgoła one nie są nam już potrzebne,

potem mógłby kto światło obaczyć lub dym smolny poczuć. Gaście tedy, chłopcy!

Zasyczały pochodnie wsadzone w piaszczysty i wilgotny grunt i wędrowców otoczyła zrazu ciemność, ale gdy wzrok przyzwyczaili do tych półmroków, doskonale widzieli wszystko, zwłaszcza że dość gęsto umieszczone tuż pod zlepieniem, silnie okratowane okienka przepuszczały nieco blade, ale dostateczne światło. Szli więc teraz w zupełnym milczeniu, gdy nagle pan Rafałowicz, zawsze przodem postępujący, potknął się o jakiś przedmiot na ziemi leżący. Z początku nie można było zeznać, co by to takiego było; niby to człowiek leżał otulony w coś białego, niby nie człowiek.

— Ki lichy! — mruzczał pan Rafałowicz nachyliwszy się pilnie przyglądając się owemu czemuś.

Maciek tymczasem już się przestraszył, skoczył za Kacpra i schwycił go się z tyłu, zasłaniając się nim jak tarczą.

— O laboga, laboga — szeptał — może to znowu śmierć!

Ale nikt nie zważał na jego tchórzostwo i jęki, bo wszyscy jęci byli znalezionym przedmiotem. Gdy go podniesiono i rozwinięto, okazało się, że to jest szeroka i długa biała opończa, jaką nosili rajтары gwardii króla Jana Kazimierza. Skąd ona się tu wzięła, trudno było odgadnąć; widocznie jakiś rajtar, może wsadzony za jakie przewinienie do lochu, zgubił ją i zapomniał o niej. Opończa była cała, dobra jeszcze i dość czysta; tedy Maciek, przekonawszy się naocznie, że pod nią nie ukrywa się żadna śmierć czyhająca na jego drogocenne życie, chwycił ją, starannie obejrzał i rzekł:

— Jaja będę niósł,

Nikt się o to nie sprzeczał, bo nikomu nie chciało się dźwigać dość ciężkiej opończy, ile że wszyscy byli obładowani, zmęczeni, głodni i wyczerpani tą, tak długo trwającą i pełną tyłu przygód, peregrynacją podziemną. Maciek więc okrył się opończą, ciągle ją oglądał i mruzczał:

— Galanta opończa, ani słowa!

Przechodzono rozmaite piwnice, mijano boczne korytarze, przy czym pan Rafałowicz radził się ciągle prospektu mistrza Ascolego i patrzył nieustannie na busołę. Wreszcie kręcąc się tak, nagle znaleźli przed sobą drogę zamkniętą. Korytarz kończył się ścianą drewnianą, ułożoną z grubych desek, w mur wpuszczonych. Pan Rafałowicz, idący jak zwykle na przedzie, gdy obaczył tę ścianę, nagle odwrócił się do swoich kompanionów, zrobił znak ręką, by stanęli, i przyłożywszy palec do ust, nakazał im milczenie.

Wszyscy na ten znak stanęli i wstrzymując dech w sobie, wyciągnęli szyje jak żurawie, żeby zobaczyć, co to się takiego stało, i na wielkie swoje zdziwienie spostrzegli, że przez szpary źle spojonych desek przegląda światło. Pan Rafałowicz tymczasem na palcach, zachowując jak największą cichość i ostrożność, posunął się do desek i przez owe szpary zaglądać zaczął do wnętrza, gdzie owe światło błyszczało. Patrzył dość długo, na koniec głosem podniesionym zawołał:

— Mości panie Żórawski, a co waćpan tu robisz?

Za ścianą coś zaszeleściło, światło nagle zgasło i po chwilowym milczeniu ozwał się jakiś głos ponury, jakby z grobu się odzywający:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja go chwale! — ozwał się pan Rafałowicz.

— A kto mnie woła? — spytał znów głos.  
— Żali nie poznajesz mię waćpan? Rafałowicz... Mikołaj Rafałowicz.  
— Bycze to może, a cóż waćpan tu robisz? Jakeś się dostał? Czego chcesz?  
— Długo by o tym gadać i przez ścianę źle. Nie możeszli waćpan nas tam wpuścić do siebie?  
— A jakże cię wpuszczę, skoro ja jestem więzień skuty łańcuchami?  
— Więzień? A któż waćpana uwięził?  
— A któż by? Wiadomo kto!  
Zapanowało chwilowe milczenie, podczas którego Maciek mruczał:  
— O laboga, laboga, skuli go niecnoty łańcuchami! A pan Rafałowicz pytał dalej:  
— Czemużeś waćpan zgasił światło, może byśmy co waćpanu pomogli?  
— Żali nie jesteś sam?  
— Nie, mam tu ze sobą trzech tęgich zuchów.  
— Hm! nie wolno mi z waćpanem gadać... mam to srodze zabronione... wszelako skądęś się tu wziął i żali jesteś naprawdę Rafałowicz... Mikołaj Rafałowicz, ten, co to u cyrulika Sebastiana na komornym mieszka?  
— Ten sam.  
— Skądęś się tu wziął i czemu to z zuchami chadzasz?  
— Wszystko to waćpanu powiem, jeno się do ciebie dostanę.  
— A niech cię Bóg broni! Jeszcze czego? Gardło bym stracił; a ja jestem wierny sługa najjaśniejszego króla Karola Gustawa, a od ciebie pachnie jakoś zdradą. Kat wie, czyś ty Rafałowicz, może tylko jakie spektrum, które przybrało na się posturę pana Rafałowicza, bo i to bywa na świecie, a po tych lochach to mary ciągiem chadzają.  
Pan Rafałowicz odwrócił się do stojących wciąż w milczeniu chłopców i rzekł:  
— Zgłupiał człowiek z kretešem. To jest jespian Żórawski, burgrabia zamkowy, i widno Szwedy go za coś do karceresu osadzili i w łańcuszki zakuli. W tym nieszczęściu stary zgłupiał i stchórzył. Zapalcie no pochodnie; niech nam się przypatrzy, to się przekona, że my nie żadne, mociumpanie, spektra, ale katolicy o krwi i kościach.  
Zapalono więc pochodnie i pan Rafałowicz znowu chciał się zbliżyć do szpary w deskach, gdy Żórawski głosem grobowym zapytał:  
— Maro, czy znikłaś? Jeżeli nie, to w imię Boże klnę cię, giń, przepadnij!  
— Panie Żórawski — ozwie się na to pan Rafałowicz — spójrz no, jegomość, czy my jesteśmy mary, czy ludzie?  
Zabrzęczały łańcuchy, zazgrzytały ponuro, dał się słyszeć szept:  
— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.  
Więzień widocznie zbliżył się do szpary w deskach, bo po chwili rzekł:  
— Juźcić prawda, że mi aćpan wyglądasz na mego kuma, jespiana Mikołaja Rafałowicza, co na komornym w kamienicy cyrulika Sebastiana siedzi. Żali jednak mogę znowu  
zmysłom wierzyć? Żali nie jest to diabelskie, tfu! — tu splunął głośno — omamienie? Po tych lochach diabli harce co dzień wyprawiają. Bo skądęś się ty tu wziął, jeżeli jesteś nie marą, ale człowiekiem?  
— Przyszedłem lochami.  
— Lochami? Hm! hm! może to być, bo mnie budowniczy nieboszczyka króla Władysława, Włoch... A prawda! Jeżeliś ty jest naprawdę Rafałowicz, to powiedz, jak się ten Włoch zwał?  
— Silvio Ascoli i był moim szwagrem. I on to mi dał wiadomość, jakimi lochami można się dostać tutaj pod Zamek.

— Tak, to prawda, on mi to gadał, ale ja tam Włochom i innym też Angielczykom zgoła nie wierzę. To wszystko paliwody i olejkarze. Ale widno, że to prawda, skoro ty tu przyszedł. Tak, tak! Postura jespana Rafałowicza, ale kat tam wie, czy to nie omamienie.

— Bój się Boga, panie Żórawski, cóż to może być za omamienie? Siedzisz w karceresie i my cię uwolnimy, jeno powiedz, jak się do ciebie dostać.

— Do mnie się dostać? A po co? Najjaśniejszy król Karol Gustaw i jego wódz niezwycięzony graf Wittenberg wiedzieli, za co mnie w łańcuszki zakuli. Musi być, że ja coś zbroilem, ale co, dalipan nie wiem...

Zabrzęczały znów i zazgrzytały przeraźliwie łańcuchy, powłózione po kamiennej posadzce lochu, co dowodziło, iż więzień od szpary odszedł, i gdy ucichł ów brzęk żelastwa, dał się słyszeć głos:

— Pyta mi się, jak się tu dostać do mnie? Żali mary potrzebują się dostawać gdzie? One wszędzie przenikają, jako nie z ciała, jeno z samych subtelnosci i mgieł złożone. A coś ty, jespanie, co masz posturę pana Rafałowicza, za mąż i za człowiek? Żali dzielny mąż nie łamie sam przeszkód? Hm! hm!...

Pan Rafałowicz ruszył ramionami, odszedł od szpary i szepnął:

— Nie ma z nim co robić! Widocznie jest *mente captus* Słyszałem ja coś, że go Wittenberg zakuł w łańcuszki, ot i co zrobili z mądrego człowieka.

— Hm, proszę jegomości — ozwał się na to Kacper — on mi się nie wydaje taki głupi. Wszak sam powiedział, że dzielny mąż sam łamie przeszkody. To znaczy, że nie ma nic przeciw temu, żebyśmy się do niego dostali, jeno bez jego pomocy. On się boi i tchórzem jest podszyty.

— To pewna. Męczyły go widno te Szwedy i zamęczyły. Nie ma innej rady, tylko trzeba wyłamać te deski, bo i wyjścia stąd innego nie ma. Ale zastanówmy się, jak to uczynić, boć wielkiego hałasu nie można robić.

— O laboga! laboga! — jęknął nagle Maciek. — Moja matuś, matuś moja, także siedzi w tym karceresie? O rety, rety!

— A kto tam tak płacze za matką? — spytał nagle Żórawski.

— Uwięzili tu w Zamku starą kramarkę Madejową, co miała budę podle ratusza.

— A wiem, wiem... mówił mi o tym Frytjof... takie psie imiona mają te Szwedy... ale ja jestem wiemy sługa najjaśniej...

— Jegomość, jegomość — przerwał nagle Maciek rzucając się ku deskom — to jegomość wie o mojej matusi?

— O Madejowej, kramarce? — Tak.

— Wiem. Ona siedzi w łańcuszkach niedaleko i mają podobno brać ją jutro na męki. Ale ja jestem wierny sługa...

— Na męki? — wrzasnął strasznym głosem Maciek podnosząc pięście i potrząsając swą rozczochną czupryną. — Na męki! Nie dam! nie dam!

To rzekłszy oparł się plecami o deski, nogi zarył w ziemię, na czoło i kark wystąpiły mu pręgi od natężenia tak silnego, że deski zatrzęszczały i cała owa drewniana ściana zachwiała się. Kacper i Kazik widząc to, co żywo skoczyli mu na pomoc i niebawem ściana ze strasznym hukiem runęła, a z nią wszyscy, trzech chłopcy.

## ROZDZIAŁ XVIII

*W którym Maciek jeszcze jednego Szweda wyprawia na tamten świat*

Trzask łamiących się desek, przeraźliwe krzyki Maćka i innych, zgaszona w upadku latarka, głośno wypowiedane przerażenie pana Żórawskiego i potrząsanie przezeń łańcuchami wytworzyły w tym ciasnym podziemiu taki zamęt, że pan Rafałowicz, który

stał z boku i patrzył na to wszystko, nie mógł się zrazu opamiętać i nie wiedział, gdzie się obrócić, co robić i komu nieść pomoc.

Ale najprzód z tego stosu desek, nóg i głów ludzkich wydobył się Kacper, powstał, otrząsł się i mruknął:

— A niech cię wciórności!

Potem zerwał się Kazik, obmacał się, poprawił czuprynę i rozglądając się za czapką, która gdzieś się zawieruszyła, rzekł:

— No! niech no mi się moja czapka nie znajdzie, nadrę ja łba Maćkowi!

Na koniec gramoląc się ciężko, stękając i jęcząc, wychyliła się rozczochrana głowa Maćka z okrutnym siniakiem na czole, potem ręce, wreszcie cały korpus. Wstał, obmacał się po ciele, jak gdyby się chciał przekonać, czy mu się jaki kawałek gdzie nie zapodział, i jęknął:

— O laboga, laboga, a tom się zmachał! Reta, myślałem, co już żyw nie jestem

— Gdzie moja czapka? — spytał nagle Kazik.

— A nie wiem!

— Nie wiesz, gamoniu zatracony? Masz!

I potężnego kułaka wymierzył w bok Maćka.

— Nie bij! Com ci winien?

Ale w tejże samej chwili rozległ się głos pana Żórawskiego:

— Bodajże was zabito! A toście narobili galimatiasu. Co teraz będzie, jak przyjdzie Frytjof?... Psie imioniska mają te Szwedy, ale ja jestem wierny sługa króla imci Karola Gustawa...

— Panie Żórawski — zawołał pan Rafałowicz przebierając się z ciężkością przez stos desek — poznajeszże mię teraz? Żali duch jestem, czy też twój kum, Mikołaj Rafałowicz?

Pan Żórawski, chudy, szczupły, zawiedły, z wielką szpakowatą brodą, w wyszarzanym kubraku, rzemieniem przepasany, z włosami długimi i rozwichrzonymi, spojrzał podejrzliwie na pana Rafałowicza i rzekł:

— Juźcić postawę masz Rafałowicza, ale kat cię tam wie! Tu w tych lochach różne przebywają licha. Może i ty jesteś takie Ucho, które przybrało na się figurę rajcy warszawskiego,

— No, co to o tym gadać! My tu zaraz uwolnimy cię z tych łańcuchów. Hej, Kazik, weź no się do tego!

— Uwolnicie mię? — zawołał pan Żórawski, a w oczach jego zajaśniał błysk radości, ale zaraz zgasł i głosem smutnym rzekł:

— Omamienie, to nic jeno omamienie!

— Ale żadne omamienie, powiadam waćpanu — zapewniał pan Rafałowicz — zaraz się przekonasz, że to prawda.

I w rzeczy samej Kazik zabrał się do oglądania łańcuchów i wydobywszy z kieszeni cienką piłkę, począł nią piłować kajdany. A pan Żórawski nie opierał się temu wcale, tylko gadał:

— Co powie na to Frytjof!

— Pal go kat, co nas tam jakiś Frytjof obchodzi! Boimy się jeno, żeby nas ten waćpana Frytjof nie zaszedł na tej robocie.

— O, to nie. On dopiero wieczorem zajdzie. Kajdany tymczasem pod zręczną i wprawną dłońią

Kazika piszczały przeraźliwie i piłka coraz głębiej się w nie zanurzała, a Żórawski, patrząc na to, prawił:

— Biorę waszmościów na świadków, że ja się tych łańcuszków nie tknąłem, bo ja jestem wierny sługa najjaśniejszego Karola Gustawa.

Po czym przypatrując się robocie Kazika, dodał:

— Ale toś ty, smyku jakiś, widzę, bardzo zręczny jesteś. Ty byś może i te drzwi żelazne, co tam oto są, także otworzył?

— Pewnikiem, że otworzę! — odpowiedział Kazik.

— Toś ty chwat!

— A gdzie to te drzwi prowadzą? — spytał pan Rafałowicz.

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła — odrzekł na to pan Żórawski — i ja nic nie powiem, bom jest wierny sługa króla imci Karola...

— Tośmy już nieraz słyszeli i mógłbyś waćpan, jnociumpanie, dać pokój tej wierności.

— A nie mogę! Nie mogę. Kiedy jaśnie wielmożny pan gubernator, generał Wittenberg, bywało, zejdzie do mnie ze swej sypialni, z której drzwiami ukrytymi można dostać się na te schody, które są za tymi drzwiami żelaznymi, i pyta po szwabsku: „No, Hery Zuraki — bo te Szwedy tak przekręcają nasze poczciwe, szlacheckie nazwiska — powiesz, gdzie ten loch prowadzi, co tam jest za tymi drzwiami żelaznymi?” To ja, choć wiem, że loszkiem tym można wyjść nad Wisłę, gadałem, że nic nie wiem, jaśnie wielmożny jenerale, skądże bym ja to mógł wiedzieć, prawda?

— Oczywiście, skądże byś waćpan mógł to wiedzieć! — zawołał pan Rafałowicz kontent, że już nie potrzebuje się o nic wypytywać Żórawskiego, bo ten mu wszystko opowiedział.

— Toteż ja nic nie wiem, nic nie wiem, a skoro Szwedy psubra... to jest, chciałem rzec, najwaleczniejszy naród na kuli ziemskiej, chcą się o tym dowiedzieć, to niech sami tam łążą... Ale bo to oni pójdą! Tchorze są, to jest chciałem powiedzieć, najmężniejsi są, hycle, ale ja jestem wierny sługa najjaśniejszego króla imci Karola Gustawa, pana mojego miłościwego...

W teże chwili łańcuszki przepiłowane przez Kazika spadły z łoskotem z rąk więźnia, on też obie te ręce złożył jak do modlitwy i podnosząc oczy w górę, zawołał: ....

— Niech mu ta Pan Bóg da to, na co zasłużył! Kazik zabrał się teraz do piłowania kajdan u nóg,

a tymczasem Maciek z Kacprem usiedli sobie na deskach i przysłuchując się tej rozmowie rozwinęli swoje tobołki i zabrali się do jedzenia, bo tą długą peregrynacją po podziemiach i licznymi w nich przygodami byli mocno wygłodzeni. Maciek jeno ciężko wdychał i nosem głośno pociągał, ujrzawszy, że szczury zjadły mu niemal całą

kielbasę, zostawiwszy Jeno kawałek.

— O laboga, laboga! — mówił. — Cóż to za żerne kanalie. A żeby ich morowe! Zjeść głodnemu człowiekowi wszystką taką galantą kielbasę z czosnkiem! O rety! rety! Już teraz jak obaczę szczura, to żeby nie wiem jak prosił i wąsami ruszał, zara hycle ubiję za moją kielbasę.

I oglądając pozostały kawałek, mruzczał:

— Jak to szelmy ogryzły. Obrzydzenie człeka bierze! Obrzydzenie to jednak nie przeszkadzało mu, że cały ów

kawałek zjadł z wielkim smakiem.

Przez ten czas Kazik pracował ciężko i niebawem łańcuszki z nóg pana Żórawskiego spadły. Wysłwobodzony od więzów wyprostował się, przeciągnął, kopnął nogą z gniewem łańcuchy i począł przechadzać się z widoczną ulgą po piwnicy. Ale nagle stanął przed panem Rafałowiczem i spytał:

— I cóż wy tu myślicie robić?

— Chcemy teraz te drzwi otworzyć.

— To dobrze. A potem?

— Potem wskażesz nam waćpan ów loszek, który prowadzi do Wisły.

— A to na co? Ja jestem, masz jespas wiedzieć, wierny sługa króla imci Karola...

-- Słyszałem to już, ale cóż to ma do wierności waszmościnej?

— Prawdaj dobrze gadasz... ale co ty nie masz dobrze gadać? Od tego jesteś rajca na ratuszu, żebyś gadał. Kat zresztą wie, czy to wszystko nie omamienie. Tu różne mary chodzą po lochach i sam jasnie wielmożny gubernator Wittenberg powiadał mi, że go mary nawiedzają...

A wtem Maciek, który pilnie słuchał całej tej rozmowy, zajadając głośno i łakomie suchy chleb (bo resztki po szczurach pozostałej kiełbasy dawno już połknął), rzekł:

— Ja mam białą, długą opończę. Jak noc zapadnie, to się w nią ubiorę i pójdę po tych za drzwiami schodach do sypialni tego zamorskiego Szweda i takiego mu fernepiksu zadam, że Angielczyk ze strachu zamrze. I to będzie za moją matuś.

I przypomniawszy sobie swoją matuś, nuż zaczął krzyczeć:

— O laboga, laboga, moja matuś!

Pan Rafałowicz, który wysłuchawszy projektu Maćka, nagle położył palec na ustach, dając mu tym znak, żeby milczał, gdy Maciek począł zawodzić o swej matusi, starał się go uspokoić, ale widocznie miał głowę czym innym zaprzątniętą i coś pilnie rozważał.

Wreszcie powziął jakieś postanowienie, bo zwrócił się do pana Żórawskiego i rzekł:

— Waćpan wiesz, że król jegomość nasz, Pomazaniec Boży Jan Kazimierz, z wielką potencją zbliża się do Warszawy?

— A wiem, bo mi o tym gadał Frytjof... psie imioniska mają te Szwedy.

— I że król przypuści szturm do miasta?

— Niech mu Pan Jezus pomaga, to jest, chciałem powiedzieć... niech Pan Bóg temu dopomaga, kto chce dobrze, bo ja jestem wierny poddany najjaśniejszego króla Karola Gustawa, mego miłościwego pana.

— Wstydzilibyś się waćpan takie rzeczy gadać! — zawołał pan Rafałowicz. — Żali to godzi się szlachcicowi polskiemu czcić w najezdника króla, kiedy własny, wolnymi głósy obrany, żyje i panuje?

— Hm!... na wolności tobyni inaczej gadał, ale tu, widzisz jespas, ja jestem wiemy i pokorny sługa króla imci Karola Gustawa.

— No, to staraj się waćpan być na wolności. Już przecie kajdanów nie masz, teraz trzeba pomyśleć o tym, żeby się stąd wydobyć. Chłopcy — dodał pan Rafałowicz zwracając się do swych trzech kompanów — trzeba się zabrać do tych drzwi jak najprędzej, bo mi się widzi, że już pod wieczór się ma i lada chwila może ten jakiś Frytjof nadejść, a wtedy...

Jeszcze nie skończył, gdy nagle Żórawski wyciągnął swą długą, prawdziwie żurawią szyję i kładąc palec na usta, syknął z widocznym przerażeniem w oczach:

— Tss! Frytjof idzie!

To rzekłszy, z nadzwyczajną zwinnością, jak na tak wymęczonego starca przystało, skoczył w kąt najciemniejszy piwnicy i tam owinawszy się łańcuchami, przykucnął.

Wszyscy tymczasem skamienieli i stali niemi, przerażeni, nadśluchując ciężkich stapań po kamiennych schodach, stapań, które z każdą chwilą stawały się głośniejszymi. Wreszcie ktoś zatrzymał się za żelaznymi drzwiami, wsunął klucz w zamek i począł ze zgrzytem nim obracać i odsuwać ciężkie zasuw. I było słychać tylko zgrzyt i pisk tych zasuw zardzewiałych, i bicie serca oniemiałych z przerażenia peregrynantów. Wszyscy oni pozrywali się na nogi i stali z oczami wlepionymi w drzwi żelazne, jeden tylko Maciek zachował dawną swą postawę i najspokojniej, jakby go to nic nie obchodziło, gryzł chleb suchy i mlaskał przy tym zawzięcie językiem.

Aż na koniec wrzeczadze zostały odsunięte, drzwi skrzypiąc rozwarły się i żywy promień światła padł do piwnicy.

We drzwiach stał Szwed ogromny w łośiowym kaftanie, kapeluszu szerokim ze skrzydłami, butach palonych, z rapirem przy boku. W jednym ręku trzymał latarkę, a w drugim niósł konew wody i bochenek chleba czarnego pod pachą. Wszedł, podniósł latarkę do góry i ujrawszy trzech nieruchomych i niespodziewanych gości, stał przez chwilę oniemiały i zdziwiony.

Ale niedługo tak patrzył, bo nagle Maciek zerwał się z desek, na których siedział, i chwytając leżącą obok szpadę, którą już rano zakłuł Szweda, a którą Kacper zostawił na deskach, jednym skokiem swych bocianich nóg znalazł się przy rajtarze szwedzkim.

— A tuś mi, hyclu! — krzyknął strasznym głosem i pchnął Szweda szpadą w samo serce.

Ten jęknął, upuścił latarkę i dzban z Wodą, strzepnął rękami i runął jak długi na ziemię.

## ROZDZIAŁ XIX

*W którym jest nieco o panu Żórawskim, o płaszczu białym Maćka i o generale Wittenbergu*

Straszna scena zabicia Szweda zrobiła na wszystkich prócz oczywiście jej sprawcy, Maćka, i pana Żórawskiego, bardzo silne i bardzo przykre wrażenie. Stali nieruchomi i przerażeni, a Maciek, wyciągnąwszy ze zwłok Szweda szpadę, którą go przebił, obcierał z niej spokojnie krew i mruczał:

— To za moją matusię!

Nikt się na to nie odezwał i w tej piwnicy głuchej i na pół ciemnej panowało ponure milczenie, gdy nagle z kąta, gdzie dotąd siedział ukryty i skulony, wypadł imćpan Żórawski i skacząc, i potrząsając łańcuchami, które trzymał w ręku, z brodą i z włosiem rozwianym, z okiem iskrzącym się, przypadł do drgającego jeszcze Szweda i począł mu odpinać od pasa długi rapir. Uczyniwszy to, broń starannie obejrzał, najprzód z wierzchu, potem dobył brzeszczot z pochwy i potrząsając nim, wołał:

— Mam miecz! Teraz się tych hultajów Szwedów nie boję!

Nagle umilkł, wtulił głowę w ramiona, obejrzał się trwożliwie dokoła i syknął:

— Tss! ja zawsze jestem wierny sługa króla jegomości Karola Gustawa.

— Nie plótlbyś waćpan głupstw ze swym królem Karolem Gustawem — oburzył się pan Rafałowicz — pięknie by ci twoją wierność wynagrodził obaczywszy tego oto trupa.

Pan Żórawski oparł się oburącz na rapirze i nachyliwszy się nad zwłokami Szweda, prawil:

— Widzisz, Frytjof, na co ci to przyszło! A byłeś dumny hardy, jakbyś wszystkie królestwa pojadał. Hm! gadałeś, zatracona duszo szwedzka, że Polacy to lichy naród, a oto iśmiercił cię nie mąż polski i nie szlachcic, jeno wyrostek

łyceczek. Na taki ci koniec przyszło, mój Frytjofie, coś psie miał nazwisko i po psiemu żyłeś. Ja bym ci...

Ale w tym miejscu przerwał mu tę przemowę Maciek, który zbliżył się i trącając Żórawskiego w ramię, rzekł:

— Nie bańdurzyłbyś jegomość po próznicy, jeno lepiej powiedz, gdzie jest moja matuś.

Pan Żórawski wyprostował się i spojrzał na Maćka takim wzrokiem, jakby go pierwszy raz widział, i przypatrzywszy mu się dobrze, rzekł:

— A! toś ty, coś Frytjofa uśmiercił?

—A ja. O laboga, żeby tak o co, jak o tych hyclów

Szwedów! I czegóż jegomość na mnie patrzysz, jakbyś mię zjeść chciał? Gadaj no, jegomość, gdzie jest moja matuś?

— Twoja matuś? Ano... prawda. Kat tam wie, czy to wszystko nie jest omamienie. Bo czy to może być, żeby Frytjof nie żył i żeby te drzwi były otwarte?

— Mój mości Żórawski — wtrącił zniecierpliwiony tym wszystkim pan Rafałowicz — drzwi otwarte w rzeczy samej

czas już wielki, żebyś nas stąd wyprowadził. Bo jak tam la górze obaczą, że ten twój Frytjof nie wraca, to gotowi tu przyjść kupą i nas wszystkich pobrać jak baranów i w łańcuszki okuć.

— Ty, rajco miejski, dobrze fajcujesz, ani słowa, choć ty mnie nie przekonasz, że to nie jest omamienie. Może to diabeł przybrał na się posturę rajcy miejskiego, pana Rafałowicza?

— Tfu! — splunął Rafałowicz — ten człowiek jest szalony.

— Jegomość — zawołał Maciek trącając Żórawskiego — zaprowadź no mię do matusi!

— Do twojej matusi? Ki lichu! Do kramarki Maciejowej?

— Tak!

— A jakże ja cię do niej zaprowadzę, kiedy ona siedzi w loszku za żelaznymi drzwiami.

— O laboga! laboga! Za żelaznymi drzwiami, powiadasz jegomość?

— A tak powiadam.

— O rety! rety, ludzie, rety!

— Cichaj, cebulo! — syknął Kazik i zwracając się do Żórawskiego, rzekł:

— Wszelako prowadź nas jegomość. My te drzwi wywalimy.

— Ale — wtrącił Maciek.

— Hm! mocni wy jesteście — ani słowa, i dlatego ja to gadam, bo może zły przybrał waszą posturę. Ale powiadam ci, smyku, żebyś ty był tak mocny jak całe piekło, to onych drzwi nie wywalisz.

— A dlaczego? — spytał Maciek.

— Dlategoże one są niedawno ukute z rozkazu samego jaśnie wielmożnego gubernatora generała Wittenberga i osadzone w odrzwiach kamiennych. Strasznie mocno. Ale czekajcie... ja wam coś powiem, bo chociaż widzi mi się, że to jest omamienie, wszelako nie mam łańcuszków na nogach i rękach i też ten hycel Frytjof leży tu krwawy, więc może wy nie jesteście żadne mary, jeno ludzie katoliccy co?

— O laboga, laboga, jak też jegomość plecie trzy po trzy! — zawołał Maciek. — Czy jegomość nie widzi, że my jesteśmy katolicy? Niech no jegomość nie bańdurzy, jeno gada, jak te drzwi żelazne, za którymi matuś!...

Tu przerwał i nuż jęczeć strasznym głosem:

— O laboga, laboga, matuś moja, matuś! O reta, rudzie reta!

Płakał rzewnymi łzami, ręce łamał i nosem głośno pociągał.

— Cichaj, cebulo! — krzyczał Kazik.

— Ucisze się, do paralusza! — zawołał pan Rafałowicz. — Jeszcze nam tu swymi krzykami Szwedów na kark sprowadzisz! Stulże raz tę gębę, do stu par katów!

Maciek przerażony groźną miną pana Rafałowicza, a więcej jeszcze kułakami Kazika, ucichł, jeno obcierał oczy z łez i głośno szlochając mrucał do Kazika:

— Nie bij! Com ci winien?

— Teraz — rzekł pan Rafałowicz zwracając się do Żórawskiego — powiedz waćpan, coś miał powiedzieć o tych tam drzwiach żelaznych.

— Hm! mądryś ty rajca na ratuszu, ale ja mądrzejszy tu w lochach pod Zamkiem. Otóż ja tobie, powiem, że tych drzwi inaczej otworzyć nie można, jeno kluczem.



— Owa, jaka mi mądra rada! — zawołał pan Rafałowicz, który był gniewny i zniecierpliwiony tym wszystkim. — To i dziecko wie, że najłatwiej otwierać drzwi kluczem. Ale skądże waćpan weźmiesz tego klucza?

— A wezmę! — zawołał pan Żórawski i po chwili dodał:

— Niech tam co chce będzie, bo chodem ja wierny sługa króla imci Karola Gustawa...

— Tfu! oszalał z tym swoim heretyckim królem! — mruknął pan Rafałowicz.

— Wszelako — ciągnął dalej Żórawski — wyście mi swojaki i tę też Maciej ową kramarkę znałem, pyskata baba bo pyskata, ale poczciwości rzetelnej...

— A niech jegomość nie wydziwia na moją matysię — porwał się Maciek — bo jak Pana Jezusa kocham, nie zdzierzę, jeno prac będę, aż wióry polecą...

— Cichaj, cebulo! — syknął Kazik i potężny kułak padł na plecy Maćka.

— Nie bij! Com ci winien?

— Otóż tedy — mówił dalej pan Żórawski zamyślony mocno i stąd zapewne nie zważający na pogróżki Maćka — powiem wam, że ten klucz i inne klucze od bram, komnat i więzień zamkowych za wzdry na noc pod poduszkę chowa imćpan Manderstorna, który jest przy jaśnie oświeconym gubernatorze Wittenbergu, niby jego *ddlatus*. Otóż tam są te klucze.

— I cóż nam z tego przyjdzie — zawołał pan Rafałowicz — żeś nam waćpan o tym powiedział? Przeto tych kluczy mieć nie będziemy i starej Maciejowej nie uwolnimy.

— O laboga! laboga! — jęczał Maciek.

— Hm! waćpanu się widzi — ozwał się na, to Żórawski — że skóro cię łyczkowie warszawscy wybrali na rajcę do ratusza, toś już wszystkich mądrości się obłykał.

Widzisz, ja tobie powiem szlacheckim rozumem, który zawždy jest lepszy od mieszczańskiego, że te klucze mieć można.

— A jak?

— Wykraść je!

— Ej — pan Rafałowicz machnął ręką i odwrócił się dając tym poznać wyraźnie, że z panem Żórawskim nie ma o czym gadać.

— A nie żadne ej, jeno tak! — zawołał pan Żórawski i chwytając Maćka za rękę, spytał:

— Tyś syn kramarki Madejowej?. — A ja.

— To słuchajże mię pilnie.

To rzekłszy pociągnął Maćka naprzód, przeskoczył rozciągniętego we drzwiach trupa Frytjofa i wyciągając rękę, szepnął:

— Widzisz te schody?

Wszyscy zaciekawieni, znudzeni wreszcie tak długim pobytem w tym lochu i strasznym widokiem trupa szwedzkiego, poszli za nim, patrzyli i słuchali pilnie tego, co pan Żórawski mówił. Gdy więc Maciek powiedział, że widzi schody, które istotnie z kamienia wykute wiodły gdzieś na górę, Żórawski rzekł:

— Tymi schodami, co je jeszcze za książąt mazowieckich tu zbudowano i tędy chadzały różne czarownice do ostatnich Piastów: Janusza i Stanisława — można się dostać do komnat jaśnie wielmożnego gubernatora Wittenberga. Tam są drzwi ukryte w ścianie i jak naciśniesz guzik, zaraz się otworzą. Otóż w antykamerze, na obozowym łóżku składanym, sypia imćpan Manderstorna i pod poduszkę skórzaną kładzie sobie klucze. Zrozumiałeś? A wy zrozumieliście?

— Juźcić — odpowiedział za wszystkich pan Rafałowicz — to, co waćpan mówisz, łącno zrozumieć. Ale cóż nam z tego, że wiemy, gdzie są te klucze, kiedy ich przecie spod poduszki pana Manderstorny nikt nie wyciągnie?

— Hm! to już wasza rzecz. Aleja wam coś powiem. Po tych lochach różne mary chodzą, dusze pokutujące, a może i sam antychryst. Toteż ja myślę, że i wy jesteście takimi marami, które posturę ludzką przybrały. Bywa to, bywa.

— Ale co też jegomość plecie! Co my za mary! — zawołał Maciek.

— Ano...ja nie wiem, ale to bywa i Szwedy... to jest, rzecz chciałem, jaśnie wielmożny gubernator Wittenberg wie

o tych marach i sam słyszałem, jak gadał, że go czasem nawiedzają i dręczą. A przy tym oni tam śpią mocno, bo rano wstają teraz, bo się boją wojska Rzeczypospolitej, powiadam wam.

— To prawda. Ale cóż owe klucze? — pytał pan Rafałowicz.

— A cóż? Słyszałem, jak ten wyrostek — tu wskazał na Maćka — co ma gębę tak z przeproszeniem głupią jak dynia, powiadał, że się przebierze w ten oto biały płaszcz i pójdzie straszyc jaśnie wielmoż...

— Już wiemy, Wittenberga — przerwał zniecierpliwiony pan Rafałowicz.

— To właśnie, jaśnie oświeconego generała Wittenberga — ciągnął nie zбитy z tropu Żórawski — niech więc idzie i klucze zabiera.

— A pójdę! — zawołał Maciek. — Co nie mam iść! Wielka rzecz! O laboga, laboga, raz kozie śmierć.

I poczał pośpiesznie nadziewać na siebie płaszcz, ale Żórawski go powstrzymał.

— Powoli, powoli, nie teraz. Jak północ wybije na półzegarzu zamkowym, to wtedy pójdziesz. I to niebawem nastąpi, bo noc już jest od dawna, skoro Frytjof przyszedł... Uśmierciłeś go, uśmierciłeś, szkoda tylko jego duszy heretyckiej, że pójdzie na wieczne męki.

Umilkł i rzekł:

— Teraz zaś chodźcie za mną, tu Szwedy niedługo zejdą szukając Frytjofa. Zaprowadzę was w takie miejsce, gdzie nas nikt, choćby nie wiem jak szukał, nie wykryje! I powiem wam, że mi wszystko jedno, czy wy mary jesteście, czy też prawowierni katolicy. Ja was się nie boję, i koniec.

## ROZDZIAŁ XX

*Jako Maciek został białą marą i co z tego wynikło*

Pan Żórawski jednak przed wyruszeniem wziął zwłoki biednego Frytjofa i wciągnął do piwnicy, po czym drzwi żelazne zamknął starannie na klucz, który tkwił w zamku, i klucz ten zabrał ze sobą.

— Będą myśleli te inne Szwedy jak tu przyjdą, że Frytjof zostawiwszy mi żywność poszedł sobie gdzieś, i tym sposobem kilka godzin będziemy mieli czasu. A co, panie rajco mieszczkański, czy głowa szlachecka nie lepsza od waścinej?

Pan Rafałowicz nic na to nie odrzekł, jeno ramionami ruszył, choć w głębi duszy musiał przyznać, że imć pan Żórawski mądrze to wykalkulował.

Na koniec ruszono naprzód z panem Żórawskim na czele, który drogę pokazywał. Szli lochemwąskim, po dniu którego woda nieczysta i cuchnąca płynęła, tak że Maciek co chwila nos zatykał i wołał:

— O rety! rety... nos mi odpadnie!

Ale że to wszystko na świecie ma swój koniec, więc i ta peregrynacja po niepachnącym lochu skończyła się. Pan Żórawski skręcił po paru schodkach do jakiejś niewielkiej piwniczki, tu odnalazł małe drzwi żelazne, na zasuwę jeno zamknięte, otworzył je ze straszonym zgrzytem, bo były zardzewiałe, i zatrzymując się rzekł:

— Ten loch i te drzwi budował jeszcze król Zygmunt August i tędy, kiedy chorzał na podagrę i chiragrę wprowadzano doń skrycie babę, czarownicę, wielkiego ożoga, która uroki zeń odczyniała. Tędy też chadzał do króla mistrz Twardowski, co wywołał ducha królowej Barbary. Potem zapomniano o tym lochu i kanał weń wpuszczono, a o tych drzwiach, to jeno ja jeden wiem, bo mi je pokazał mój ojciec nieboszczyk, który też, jako wiadomo wszystkim, był burgrabią tego Zamku, tak jako ja. No, chodźcież dalej.

Chyłkiem musiano się przeciskać przez niskie i wąskie drzwiczki, co zwłaszcza dla korpulencji pana Rafałowicza było dość trudnym i spocił się jak mysz przy tej operacji. Zaraz za drzwiami były schody, którymi idąc dostali się wreszcie do izby niewielkiej, naokoło mającej okienka, przez które zaglądało światło księżyca i noc było widać, i gwiazdy na niebie, a na ziemi w oddali, poza drzewami wirydarza królewskiego, srebrną wstęgę Wisły. Z drugiej strony okna wychodziły na jeden z dziedzińców zamkowych, na którym włóczyło się mnóstwo żołnierstwa szwedzkiego i armaty stały.

Widok świata Bożego, którego od tak dawna nie oglądali czterej peregrynanci i pan Żórawski, ucieszył wszystkich niezmiernie. Każdy cisnął się do okien, żeby się napatrzeć na szerokie pozawisłańskie rozłogi, na Pragę, poza którą błyszczało mnóstwo ogni, jasną lunę dokoła rzucając.

— Co to może być? — spytał Kacper.

— Hm! — odrzekł pan Rafałowicz przypatrując się pilnie — ani chybi, to jakiś obóz wojskowy.

— Pewno, że to obóz! — zauważył Kacper.

— A może to król Jan Kazimierz przyciągnął już pod Warszawę? — mówił pan Rafałowicz. — I pewnikiem to tak jest, bo przecie nie słyszeliśmy, żeby jakie wojska przyszły pod Pragę. No, chłopcy, trzeba nam się śpieszyć, bo może już jutro król szturm przypuści do murów miasta. Pan Żórawski powinien nas zaraz stąd wyprowadzić.

— A wyprowadzę, jeno się te hycle Szwedy pośpią, choć jeżeli to tam jest obóz króla Jana Kazimierza, to im nie do snu teraz. A ja, lubo w karceresie byłem wierny sługa króla Karola Gustawa, to teraz, kiedy jestem wolny i kiedy mi się jeno żywnie spodoba, stąd wyjść mogę, pluję na zamorskich królów!

— Przecie waszmość rzekłeś mądre słowo — odezwał się na to pan Rafałowicz — i ja rozumiem, że trzeba nam stąd jak najprędzej uciekać. — Stał i rozglądał się po izdebce, która była wąską, niską i pustą, jeno w kącie sterczała prosta ława, na której zaraz, zmęczony mocno, usiadł.

Zapanowało milczenie, bo wszyscy powtykali głowy w okna, przypatrując się owym ogniom za Pragę gorejącym, gdy nagle rozległo się szlochanie i głośne pociąganie nosem Maćka.

— A ty czego becysz? — spytał pan Rafałowicz.

— A bo... a bo — szlochał Maciek — jegomość chce uciekać i zapomina o mojej matusi. A ja, niech co chce będzie, niech mnie Szwedy uśmiercą, a bez matusi stąd nie wyjdę, nie wyjdę, i koniec! O laboga, laboga!

— Dobry z ciebie syn, Maćku — odrzekł pan. Rafałowicz — i Bóg ci to wynagrodzi. Jużcić, dobrze by było,

żebyśmy twoją matkę oswobodzili, ale nie wiem, azali czasu nam na to starczy. My jeszcze tej nocy musimy popłynąć na Pragę, żeby królowi jegomości donieść o owych lochach, któreśmy z takich trudem przebyli, a przecież to są ważniejsze sprawy jak oswobodzenie twej matki, która i tak wolną będzie, jak nasi Szweda wypędzą. Teraz noce są krótkie...

— O laboga, laboga — jęczał Maciek — co też to jegomość gada! Wolną będzie, kiedy ją jutro na męki brać mają. Co będzie, to będzie, ja się stąd bez matusi nie ruszę!

— Proszę jegomości — wtrącił się Kazik — czy to my wszyscy potrzebni na Pradze? Wszak ci dość będzie, jak jeden tam popłynie i królowi o wszystkim powie.

— Hm... juźcić twoja prawda i nawet łącniej będzie jednemu przemknąć się przez Wisłę, ile że Szwedzi pewnikiem strzegą przewozów...

— To fracha! Pływam jak ryba i przepłynę bez łodzi! — zawołał Kazik. — Więc ja się puszcę, a jegomość z Kacprem, Maćkiem i panem Żórawskim przez ten czas. uwolnią starą Maciejową.

— O rety, rety! — wołał Maciek. — Jegomość gada, że naszych tymi lochami przeprowadzi. Figę malowaną! Anie zawały się to lochy, kiedy Szwedy do nas strzelali? Jakże jegomość tamtędy naszych przeprowadzi?

— To prawda i ja już o tym myślałem, ale zawsze naszych będzie można lochami doprowadzić do Furty Bocznej i wylazłszy tamtędy, będą już w mieście. Ale co to o tym gadać! Co ja myślę, to myślę. Teraz jeno rzeknę, że Kazik musi popłynąć na Pragę, a my...

W teje chwili na wieży zamkowej zegar począł bić godzinę, chrapał, jęczał biedaczysko, ale wśród ciszy, która od niejakiego czasu zapanowała na dziedzińcu zamkowym, każde jego uderzenie brzmiało rozgłośnie. Wszyscy poczęli liczyć i naliczyli dwanaście.

— Północ! — szepnął Kacper.

Pan Żórawski, który przez cały czas powyższej rozmowy stał przy oknie od strony dziedzińca i zgoła się do niej nie mieszał, nagle teraz się odwrócił i rzekł:

— No... Szwedy się pospały, jeno strażę chadzają. Możemy iść do pana Manderstorny.

— Więc idź, Maćku — rzekł pan Rafałowicz — a my tu poczekamy na was.

— Chwała Panii Jezusowi niech będzie! — zawołał Maciek i pośpiesznie począł na siebie nadziewać białą opończę. Chociaż Maciek był chłopak wysoki, jednakże opończa, skrajana widocznie na ogromnego rajtara, bo gwardia króla Jana Kazimierza z samych olbrzymów się składała, zakryła go całkiem i z tyłu niby ogon się wlokła. Skoro jeszcze Maciek nadział kaptur na głowę, to wyglądał przy blasku miesiąca jak prawdziwe widmo.

Pan Żórawski chodził koło niego i opatrywał go na wszystkie strony, wreszcie rzekł: — Dobrze jest, ani słowa. Dopiero to strachu narobisz tym hyclom Szwedom. Oni tu ciągle jeno gadają o białej marze, co chodzi po Zamku. Chodzić, ona chodzi, bo to ją i mój ojciec nieboszczyk, i król Zygmunt widział raz, ale to ma być niewiasta, a ty jesteś chłop i nie żadna mara. Ale czekaj no, ja cię jeszcze lepiej ubiorę. Dobrze, zem sobie przypomniał.

To rzekłszy, zwawo schylił się pod ławę, na której ciągle odpoczywając siedział pan Rafałowicz, i wy dobył stamtąd garść węgla. Te potłukł na ławie na miał i tym miałem tak uczernił fizys Maćka, że wyglądał jak diabeł, a łyskając białkami oczów i czerwone usta wykrzywiając, miał minę tak straszną i zabawną zarazem, że się Kacper i Kazik pokładali ze śmiechu.

— Wezmę ja ten rozenek, com nim dzisiaj dwóch Szwedów naszpikował — gadał Maciek — jak się on generał zamorski jeno ruszy, zaraz i jego zadżgam.

— Maćku — odrzekł na to poważnie pan Rafałowicz — dobrze czynisz, mociumpanie, że bierzesz ze sobą broń, bo nie wiadomo, co tam za termin przypaść na ciebie może, ale ja ci powiadam, nie używaj tej broni, chyba w ostateczności. Nie po to idziesz, żebyś Szwedów rzezał, jeno żebyś matkę oswobodził, a lepiej będzie dla niej, dla ciebie i dla nas, jeżeli tego dokonasz cicho i spokojnie. Czy mię rozumiesz, Maćku?

— O laboga, co nie mam rozumieć? Kiej jegomość nie chce, bym dźgał Szwedów, to ich dźgać nie będę.

Mówił tak, ale widocznie o tym nie myślał, jeno zwracał się ciągle do Kacpra i Kazika i oczami strasznie przewracał, -język pokazywał i ponure ryki ze siebie wydawał. Ale to

zgniewało pana Rafałowicza, bo wstał z ławy, podszedł do Maćka, trącił go przez łapę i rzekł: surowo:

— Nie wykrzywiałbyś gęby, gamoniu jakiś, a jeno słuchał, co ja ci mówię. Zabraniam ci zabijać śpiących, rozumiesz?

Maciek, przestraszony trochę surowym głosem pana Rafałowicza, przestał błazeńskich min czynić i rzekł:

— Słucham jegomości. O laboga, laboga, skoro jegomość zakazują, to dobrze. Albo ja to rzeźnik czy Tatarzyn, żebym śpiących rzezał? Nie zadżgam tego generała, co ma klucze, jeno mu je zabiorę, i tyle...

— Pamiętaj, żebyś tak uczynił, bo inaczej ty i twoja matka zginie.

— O rety, rety, moja matuś! ryknie Maciek tak głośno, że aż stojący przy oknie pan Żórawski, ciągle zapatrzony na dziedziniec, drgnął cały i skoczył, i zawołał:

— Czego to bydłę tak się drze?!

— Cichaj, cebulo — sykną Kazik potężnym kułakiem uderzył Maćka w bok.

— Nie bij! Com ci winien?

— Zaprawdę, zaprawdę — zawołał pan Rafałowicz — trzeba być ostatnim baranem, żeby tak wrzeszczyć! Czyż nie widzisz, że możesz pobudzić Szwedów i nas wszystkich zgubić?

— A prawda! — zawołał ogłupiały Maciek. — Już nie będę, mój jegomościuniu, już nie będę.

— Z tego osła to nigdy nic nie będzie — rzekł Kacper—jeszcze nas wszystkich na zatracenie zawiedzie.

— Słuchaj no — odezwał się groźnie pan Żórawski — jak mi jeno piśniesz; to cię wsadzę do takiego lochu, z którego już nigdy świata Bożego nie ujrzysz. A teraz zbliż się i chodź za mną. Wasanowie tu czekajcie, rychło wrócimy, jeno zachowujcie się cicho, światła nie palcie i z okien nie wyglądajcie, boby was mogła straż dojrzeć, a wtedy wszystko przepadło. No, chodźmy!

Ruszył przodem na schody, a za nim Maciek płacząc się w długiej opończy, nieco skonfundowany, ale jednak nie na tyle, żeby aż zapomniał ó swych figlach. Już stojąc na schodach, odwrócił się nagle i tak strasznie łysnął białkami i wykrzywił się na Kazika i Kacpra, że ci nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Jeden tylko pan Rafałowicz kwaśno to przyjął i rzekł:

— Błazen to oczywisty i lękam się, czy jakiego głupstwa nie zrobi.

To rzekłszy, gdy kroki pana Żórawskiego i Maćka zupełnie ucichły, owinął się w opończę i legł na ławie dla spoczynku po tyłu przejściach i tarapatach. Za jego przykładem poszli obaj chłopcy, pokładli się z tobołkami pod głową na podłodze i wkrótce słychać było tylko ich oddech równy i głęboki. Obaj zasnęli.

## ROZDZIAŁ XXI

*Jako Maciek, zdobywszy klucze, obudził pana Manderstornę*

Maciek, gdy z panem Żórawskim, idącym przodem, zapuścił się znowu w lochy, od razu stracił humor, milczał i szedł zamyślony mocno. Pan Żórawski także nie był gadatywus, posuwał się naprzód, mruczając coś pod nosem, co robiło w tych ponurych ciemnościach dość przykre wrażenie. Ale Maciek krzepił się tym, że czyni to wszystko i naraża się na tyle niebezpieczeństw dla swej matki, którą kochał gorąco, i dlatego szedł śmiało i za nic nie byłby się cofnął. Ciężko mu było nieco w owej długiej, białej opończy przemykać się po ciasnych przejściach podziemnych, zwłaszcza że pan Żórawski nie szedł, ale biegł przodem, więc jak mógł, podkasywał poły i wyciągał swoje długie nogi.

Tak przebyli po raz wtóry piwnice i dostali się na miejsce, gdzie za zamkniętymi drzwiami leżał trup Frytjofa z jednej strony, a z drugiej prowadziły schody kamienne do komnat gubernatora generała Wittenberga. Tu pan Żórawski zatrzymał się, żeby nabrać tchu, i zwracając się do Maćka, szepnął:

— Odpocznij sobie nieco i idź tymi schodami. Na górze napotkasz drzwi, w których na samym środku jest guzik złocisty. Uważasz, co ja gadam?

— Olaboga, laboga, co nie mam uważać! We środku jest guzik złocisty, czy nie tak?

— Tak. Otóż zważ, co ci powiem. Gdy ów guzik błyszczący jak złoto naciśniesz, drzwi się cichuteńko otworzą i znajdziesz się w antykamerze jaśnie wielmożnego generała Wittenberga, w której na żelaznym obozowym łóżku śpi jego *adlatus*, pan Manderstorna. Szwedzisko to głupie, że tak powiem, i lubi na noc gorzałką się upijać, a potem śpi jako zabity. Tedy z łatwością mu wyciągniesz klucze spod poduszki. Gdyby się jednak obudził, co może się przytrafić, tedy udaj marę, jęcz i stękaj straszliwie i ziejąc z gęby ogień, nastaw ten oto rożen, który dzierzysz w rękę, jakbyś chciał pana Manderstornę przebić. Tedy on się przestraszy i ucieknie, a ty klucze zabrawszy, nie zwłócz, jeno co prędzej dawaj drapak.

— A jak ten Szwed, nie ucieknie? — spytał Maciek. Tedy pan Żórawski zrobił straszną minę, zgrzytnął

zębami, kułak podniósł tak ruch nim wykonał, jakby kogo przebijał i syknął:

— Tak mu zrobisz Po czym rzekł:

— Zrozumiałeś mię?

— Zrozumiałem, co nie miałem zrozumieć?

— No, więc idź z Bogiem, a spraw się dobrze.. Ja tu na ciebie czekać będę.

To rzekłszy usiadł sobie na schodach i wsparłszy głowę na dłoniach, a łokcie na kolanach, pograżył się w tak głęboką zadumę, jak gdyby znajdował się we własnej izbie, a nie w ponurych podziemiach warszawskiego Zamku.

Tymczasem Maciek ruszył na owe schody, a serce mu bić poczęło jak młotem, bo choć on tam nie bardzo był mądry, wszelako rozumiał to doskonale, że impreza, jaką przedsięwziął dokonać, jest bardzo niebezpieczną i łącno ją można życiem przypłacić. Szedł więc wolno, drapiąc się na owe oślizgłe od wilgoci schody, i rzecz dziwna czuł się tak zmęczonym, że co chwila musiał przystawać, by tchu nieco złapać. Z tym wszystkim za nic w świecie nie byłby się teraz cofnął; raz, że miał już taki charakter, że jak sobie raz co postanowił, to musiał wykonać, a potem, że tu szło o jego matkę, którą bardzo kochał. Szedł więc ciągle, zatrzymywał się, nadśluchiwał, ale szedł i tak przyszedł do owych drzwi żelaznych, o których pan Żórawski opowiadał. Pod tymi drzwiami usiadł sobie, bo nogi pod nim dygotały, i począł bacznie się przyglądać wszystkiemu. Drzwi były żelazne, mocne, kute i staroświeckie, nieco tu i ówdzie przez rdzę zjedzone, a w ich środku błyszczał ów guzik, który nacisnąwszy można było drzwi owe otworzyć.

Jednakże Maciek, nim się do tego zabrał, wprzód począł słuchać, ażali tam za drzwiami jakiego głosu nie usłyszy, z którego mógłby poznać, czy pan Manderstorna śpi, czy też czuwa. Ale czy drzwi były zbyt grube i nie przepuszczały żadnego głosu, czy też w rzeczy samej w antykamerze nikogo nie było i pan Manderstorna spał, dość że wolno leżała niczym nie zakłócona, senna cisza.

Maciek postął jeszcze chwilę, jakby się namyślał, wreszcie zawołał z determinacją:

— Raz kozie śmierć!

I guzik nacisnął mocno.

Drzwi natychmiast cicho, z lekkim, zaledwie dosłyszalnym zgrzytem otworzyły się i blask lampki, gorejącej na stole, na chwilę oślepił oczy Maćka, przywykłe do ciemności. Ale gdy na koniec mógł się rozejrzeć, zobaczył, że się znajduje w antykamerze generała Wittenberga, o której mu opowiadał pan Żórawski. Wprost tajemniczych drzwi, w których

stał teraz Maciek nieruchomie, widać było duży stół nakryty białymi ręcznikami, a na nim gorzała lampka, sterczały flaszki, dzbany i kubki na pół wypróżnione, poprzewracane i po całej izbie unosił się mocny zapach gorzałki i wina. Widocznie pan Manderstórna oddawał się zwykłemu swojemu libacjom przed pójściem na spoczynek. Widok ten dodał Maćkowi otuchy. Naciągnął kaptur na głowę i wydobywszy szwedzką szpadę spod opończy, tak ją dzierzył, jakby kogo chciał przebić, i wszedł śmiało do izby.

Była ona duża i od gorejącego kaganka na stole słabo oświetlona. Kaganek od chwili otworzenia przez Maćka tajemniczych drzwi chwiał się wskutek przeciągu powietrza i wszystko w tej izbie, na pół ukrytej w cieniach, zdawało się drgać i chwiać na wszystkie strony. W kącie, niedaleko drzwi prowadzących do komnat dalszych, na pustym łóżku składanym, zasłanym skórą łosiową, leżał na poduszce skórzanej imię pan Manderstórna, adiutant generała Wittenberga, i spał jak zabity. Był to mężczyzna ogromnego wzrostu, otyły, mocno łysy, z niewielkimi wąsikami i takąż kozią bródką. Leżał na łóżku na wznak, ubrany zupełnie, zrzucił tylko ze siebie kaftan łosiowy, który obok wisiał na stołku, i buty z ostrogami, które walały się po kamiennej posadzce. Na stoliku tuż przy łóżku leżał cienki jego miecz i dwa pistolety.

Spał mocno, chrapał i sapał donośnie, co w ciszy, jaka panowała w izbie, robiło wrażenie, że ktoś miechem dmuchał. Mimo to nikt nie mógł zapewnić, czy pan Manderstórna nie obudzi się nagle, toteż Maciek, rozejrzawszy się po całej izbie, przybrał straszną minę i ze szpadą

przygotowaną do pchnięcia, ruszył, jak mógł najciszej, naprzód. Nie lada to była sprawa sięgnąć pod poduszkę, na której głowa tego olbrzyma spoczywała, ale Maciek, raz już zdecydowawszy się na ten krok, nie myślał wcale się cofać.

Już był tuż przy łóżku i wyciągnął rękę, by ją wsunąć pod poduszkę, gdy nagle w ciszy nocnej rozległ się spiżowy dźwięk zegara, umieszczonego na wieży, co ją król Zygmunt III wybudował i która też zwała się „Zygmuntowska”. Zegar był stary, bo pamiętał panowanie pierwszego Wazy, skrzypiał i jęczał posepnie, napełniając milczenie nocy poważnym i smutnym dźwiękiem spiżu. Maciek na ten dźwięk przystanął i począł się wsłuchiwać i liczyć uderzenia zegara. Naliczył pięć — to jest cztery kwadransy i pierwszą godzinę.

Było więc po północy... chwila, w której, według bajek ludowych, pojawiają się duchy i włóczą się mary i upiory po świecie. Na kogoś wierzącego w takie podania pojawienie się Maćka o północnej godzinie w długiej, białej opończy, z twarzą czarną i wywróconymi białkami oczów, mogło bardzo silnie wywrzeć wrażenie. Gdyby się więc pan Manderstórna obudził i zobaczył takie widmo przed sobą, zwłaszcza wobec opowiadań krążących po Zamku o zjawianiu się białej mary, z pewnością byłby stchórzył. Ale nie obudził się wcale. Zegar wyjęczał nocną godzinę i dźwięk jego drżał jeszcze w sennym powietrzu izby, gdy Maciek sięgnął ręką pod poduszkę. Starał się ją wsunąć jak najostrożniej i niebawem namacał pęk cały kluczy nawiązanych na kółko żelazne. Wyciągając je, nie mógł się ustrzec od lekkich szarpnięć, tym więcej, że duża i ciężka głowa pana Manderstórny spoczywała na nich, śpiący Szwed przestał nagle chrapać, poruszył się powoli i głowę obrócił na bok. Maciek zatrzymał się, ciągle z ręką pod poduszką, i stał tak przez chwilę, gotów ostrze cienkiej szpady wpakować w serce Szweda, gdyby się obudził. Życie tego ostatniego wisiało na włosku, ale na szczęście dla niego i dla Maćka nie obudził się. Odwróciwszy głowę, począł na nowo chrapać i sapać głośno i Maciek pociągnawszy jeszcze raz klucze wydobył je zupełnie.

Serce biło mu jak młotem i przez chwilę stał z kluczami w ręku, jakby skamieniały i zdziwiony, że tak trudne i niebezpieczne zadanie udało mu się szczęśliwie spełnić. Ale dźwięk kluczy, dzwoniących w jego drżącej od wzruszenia ręce, przywrócił mu przytomność. Cicho i zręcznie począł się cofać od łóżka ku drzwiom otwartym,

prowadzącym do lochów, przez które prąd zatęchłego powietrza dostawał się do izby i chwiał nieustannie skwierczącym niemiłosiernie kagankiem. W tym blasku wszystko w izbie zdawało się drgać, żyć, ruszać się; po twarzy śpiącego Manderstorny przemykały się cienie i blaski, oczy zdawały się otwierać i zamykać znowu, wąsy i broda podnosić się i opadać. Z kątów wielkie, ruchome ciemności niby mary jakieś mętne unosiły się, ogarniały sobą pół izby, dygotały na sklepieniu, na ścianach nagich i czarnych — i znikaly znowu.

Wszystko to na Maćku robiło wielkie, zabobonne wrażenie. Gdy tu wszedł, zajęty jednym tylko, by zbliżyć się do śpiącego Manderstorny i zabrać mu spod poduszki klucze, nie patrzył na nic i nic nie widział; ale teraz, dokonawszy swego, stał, oglądał się dokoła trwożliwie i czuł, jak mu strach podnosi włosy na głowie. Zdawało mu się, że z ciemnych kątów izby wychylają się ku niemu jakieś olbrzymie, niebywałe potwory, wyciągają długie ręce, chwytają go za włosy. Przeżegnał się raz i drugi.

— W imię Ojca i Syna — szeptał — tfu! czy mię co urzekło?

Powoli jednak odzyskiwał przytomność i cofał się wolno i jak najciszej ku drzwiom. Po drodze schwycił szpadę i pistolety Manderstorny leżące na stole i tak uzbrojony stanął na koniec przy drzwiach. Ale tutaj, na nieszczęście nie uważał, że stoi krzesło ciężkie, z wysokimi poręczami. Cofając się tyłem, z oczami wlepionymi w śpiącego Szweda, w owe wielkie cienie włóczące się po izbie, zawadził nogą

to krzesło i przewrócił je ze straszliwym trzaskiem łoskotem.

Na ten huk upadającego ciężkiego sprzętu, huk rozlegający się wśród ciszy nocnej z grzmiącym rozgłosem i powtórzony przez echa staroświeckich sklepień, Manderstorna zerwał się na równe nogi, usiadł na łóżku i krzyknął chrapliwym głosem:

— *Wer da?*

Jego wielkie, rozszerzone przez trwogę oczy, błędząc po izbie, spoczęły na koniec na białej postaci Maćka, który w samych drzwiach się zatrzymał i stał nieruchomy, gotów każdej chwili do ucieczki, lub do dzielnej obrony. Ale wszystko to było. niepotrzebne. Szwed, zobaczywszy przy migotliwym świetle kaganka białą postać, ze strasznym, nieludzkim krzykiem rzucił się ku drzwiom prowadzącym w głąb Zamku, otworzył je i ciągle wrzeszcząc, wymawiając jakieś słowa, uciekł.

Maciek roześmiał się i szepnął:

— A tom mu pietra napędził! hi! hi! hi!

Ale nie było tu czego czekać. Wysunął się cicho, drzwi za sobą zamknął na klucz i pędem zbiegł po schodach do pana Żórawskiego, którego zastał siedzącego W tej samej pozycji, w jakiej go zostawił.

## ROZDZIAŁ XXII

*W którym Maciek twierdzi, że Kazik Ginterjest głupim chłopakiem*

Pan Żórawski tak był zamyślony, a może też drzemał, że nie słyszał biegnącego szybko po schodach Maćka, i ocknął się dopiero, gdy go uradowany chłopiec uderzył mocno po ramieniu. Zerwał się, wyprostował, cofnął parę kroków, patrząc wystraszonymi oczami na Maćka i przeżegnawszy się, rzekł:

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Wszelki duch Pana Boga chwali.

— I ja go także chwale! — zawołał Maciek.

Ale pan Żórawski cofał się ciągle i wyciągnawszy chudą i obrośniętą mocno rękę, mówił:

— Giń, przepadnij, maro!



— O laboga! laboga! Co też to jegomość gadają! Ja przecie nie żadna mara, jeno Maciek Dratewka jestem.

— Różne, postacie na siebie mary przybierają — mówił grobowym głosem pan Żórawski — kto wie, ażali postury Maćka, Dratewką zwanego, także jaki duch nie przybrał na się.

— O rety! rety, jaki też to jegomość śmieszny! Gdzie by zaś duchy moją posturę przybierać mogły. Jam jest Maciek, com chodził tam na górę po klucze od lochów i oto te klucze mam. O laboga!

To mówiąc począł dzwonić kluczami i pokazywać je panu Żórawskiemu. Widok ten opamiętał starego burgrabiego, bo zbliżył się i oglądając bacznie Maćka od stóp do głów, spytał:

— Żali w rzeczy samej jesteś Maćkiem, nie marą wiodącą ludzi na pokuszenie?

— O rety! rety! A też to jegomość wydziwiał! Juścić, że jestem Maciek i nikogo na pokuszenie nie wiodę.

— I masz klucze?

— A mam!

— Pokaż!

Tedy Maciek wręczył mu klucze, które on bacznie oglądał i gadał raczej do siebie niż do Maćka: — Ten jest od lochu pod wieżą, gdzie są tortury; ten od loszku małego, gdzie siedzi dwóch łyczków warszawskich; ten, gdzie wsadzono Madejową, kramarkę!...

— Matuś moja, matuś! — ryknął Maciek. — O laboga! laboga! Jegomość, czego stoimy? Chodźmy uwolnić moją matuś! Chodźmyż, a żywo, bo umrę z żalości. O laboga! laboga!

I począł zawodzić, i nosem głośno pociągać, jęczeć tak krzykliwie, że pan Żórawski rzekł surowo:

— Gichaj, chłopcze, cichaj! Tam na górze rejwach jest niemały i nie trzeba, żeby nas usłyszeli. Cóżes ty, do stu katów, baba czy co? Słyszał to kto, żeby taki chłop, któremu się już wasy pod nosem puszczają, beczał jak dziecko. Milczże mi, do stu par paraluszów, bo wszystko twymi wrzaskami popsowasz i nie uwolnimy nikogo.

— Już będę cicho, mój jegomość, już cicho będę, jeno chodźmy do matusi. Mój jegomość, mój jegomościuniu złoty!...

I chwytając pana Żórawskiego za nogi, począł go całować i ścisnąć, i błagać gorąco. Te prośby rozczuliły starego szlachcica, począł sam szlochać, nosem pociągać i prawić:

— Ano, dobre z ciebie chłopię, rzetelnie mówię, że dobre i chcesz łyk i szewckie dziecko, masz jednak szlachecką duszę w mieszczańskim ciele. Szkoda wielka, żeś ty łyk, bobyś mógł daleko zajechać, a może i królem ostać, bo to nie nowina w naszej Rzeczypospolitej. Ale cóż...

Chciał coś jeszcze mówić, ale mu Maciek przerwał wnosząc nowe prośby, by szli uwalniać z lochu jego matkę. Machnął tedy ręką i rzekł:

— Ano chodźmy!

Ruszył przodem, zgoła w innym kierunku niż dotąd szli, a przez drogę gadał mrużąc pod nosem:

— Żebym go się nie dotykał, sam mu gęby węglem nie mazał i tych oto kluczy nie miał w rękę, tobym rozumiał, że to nie człowiek, jeno mara jakaś, która jeno posturę szewckiego chłopaka na się przybrała. Słychaneż to rzeczy, żeby na tym zepsutym świecie byli ludzie z takim dobrym sercem? Żyję osiemdziesiąt lat, a może i więcej, i zawżdy jenom widział, że człek człekowi wilkiem... A tymczasem teraz w tych lochach, gdzie jeno cierpienia i jęki się rozlegają, spotykam takie złote chłopię! Ha! Pan Bóg czyni niekiedy takie cuda!

Tak sobie mruczał pod nosem pan Żórawski i szedł przodem, ciasnym, wąskim korytarzem, pełnym cuchnącej wody. Maciek za nim śpieszył. Nie szli jednak długo, bo nagle pan Żórawski skręcił w bok. i postąpiwszy parę kroków, zatrzymał się przed żelaznymi drzwiami i wskazując na nie, rzekł:

— To tu!

Maciek zatrzymał dech w sobie i patrzył niecierpliwie, jak pan Żórawski dygoczącymi ze starości rękami począł szukać w pęku właściwego klucza. Znalazłszy go na koniec, z trudnością wsunął w otwór, zakręcił i drzwi ze zgrzytem i łoskotem odsunął.

Z ciemnego, niczym nie rozkwieconego lochu wionęło zatęchłe piwniczne powietrze i z głębi rozległo się stłumione, jakby z grobu lub trumien wybiegające pytanie:

— A kto tam? Żali i po nocy spać mi nie dacie? Maciek odgadł sercem, że to głos matki, i z rozpaczliwym

krzykiem zawołał:

— Matuś moja, matuś! To ja... twój syn, o laboga, laboga, to ja!

— Kto? co?... — rozległ się ów ponury głos z głębi i przy słabym blasku latarki, którą pan Żórawski trzymał, podniosła się gdzieś w ciemności jakaś postać.

Maciek, widząc to, wpadł do piwnicy i rzucił się jak długi do nóg matki, szlochając głośno, i zanosząc się od płaczu: wołał:

— To ja, Maciek, wasz syn! Przyszedłem was, matuś moja złota, uwolnić.

Przez chwilę, panowało milczenie, aż wreszcie Madejowa surowym głosem zapytała:  
— A ty skądś się tu wziął?

— A przyszedłem, żeby was uwolnić!

— Jak? Jakim sposobem? Szwedy cię puściły?

— Ej, gdzie tam Szwedy! Sam przyszedłem przez lochy z panem Rafałowiczem.

— Z panem Rafałowiczem? Go to mi tu pleciesz? A gdzie pan Rafałowicz?

I spostrzegając pana Żórawskiego, spytała:

— A co to za jegomość?

— Moja jejmość — uznał za stosowane wtrącić się pan Żórawski — teraz nie czas pytać się, kto zacz i jakim sposobem ten chłopak się tu dostał. Dość, gdy się asani dowiesz, żeśmy przyszli cię uwolnić. Zabieraj tedy swe manatki i ruszaj za nami, bo czas jest drogi.

— Jakie manatki? Ja żadnych manatków nie mam!

— Moja matuś — nalegał Maciek — uciekajmy, bo nas Szwedy mogą zdypać.

Rada ta wydała się Maciejowej dobrą, bo rzekła:

— Ano chodźmy, kiedy tak.

Ruszono więc z piwnicy, a pan Żórawski zaraz drzwi na klucz zamknął. Maciejowa ciężko szła, głową kiwała niedowierzająco i mówiła:

— Cud czy sen? Może mi się to śni wszystko?

— Bywa i to czasem - ozwał się na to pan Żórawski — ile że po tych lochach różne mary chadzają, ale teraz możesz jejmość być pewna, że to nie sen, ale najrzeczywistsza jawa.

Tak mówiąc szedł przodem, krokiem posuwistym, wysuwając swe długie, cienkie nogi, tak że otyła Maciejowa ledwie mogła za nim nadążyć.

I gdyby nie Maciek, który jej dopomagał i w śliskich miejscach podtrzymywał, byłaby wkrótce ustała. Maciek był teraz w wybornym humorze, opowiadał, jako się przebrał za widmo, jako mu pan Żórawski twarz węglem uczernił, jako wykradł klucze panu Manderstormie, i śmiał się głośno:

— Hi! hi! hi! pedam matusi, Szwedzisko tak się przestraszyło, że choć jest gruby i tłusty, skakał jak fryga.

O laboga, laboga, to ci dopiero była uciecha patrzeć na tego Angielczyką Miemca, jak zmykał! Hi! hi! hi!

Tak sobie gwarząc doszli na koniec do wieży, w której pan Rafałowicz z Kacprem i Kazikiem słodkim snem zasypiali. Czas już był wielki, bo Maciejowa, zadyszana

i spocona, ledwie szła i wniesiona prawie przez syna na schody, padła raczej na ławę, niż siadła, i rozglądając się dokoła, oddychała głośno. Dopiero odpocząwszy sobie nieco, gdy rozbudzono pana Rafałowicza i dwóch jego młodych towarzyszy, gdy ich zobaczyła rzekła:

— Teraz to wierzę, że to nie sen, jeno jawa. Ano, niech będą dzięki cudownemu Panu Jezusowi od Fary. Te heretyki mieli mię brać jutro na męki, bo gadali, że ja rokosz uczyniła. A psu braty, to że bronila swej krwawicy, to za to mię mieli na męki brać jak jaką czarownicę? A bodajże ich pokarało!

Byłaby jeszcze długo gadała, ale pan Rafałowicz, poszeptawszy w kącie z Żórawskim, rzekł głośno:

— Moja jejmość, teraz nie czas na gadanie. Musimy stąd się, mociumdzieju, wynosić. Chłopcy, zbierajcie się. Imć pan Żórawski wyprowadzi nas kanałem nad Wisłę i pójdziemy jej brzegiem ku ulicy Mostowej. Kazik, jeżeli znajdziemy jaką łódź, popłynie na Pragę do króla jegomości...

— A jak nie będzie łodzi, to wplaw przepłynę Wisłę — ozwał się Kazik — jak trzeba, to trzeba! Nie nowina mi to.

— Zobaczmy, jak to będzie. Słuchajże teraz, chłopcze, pilnie, żebyś wiedział, co masz powiedzieć królowi jegomości, jeżeli do niego się dostaniesz.

— Co nie mam się dostać!

— O laboga, laboga, jaki to głupi chłop z tego Kazika — ozwał się Maciek — on myśli, że król to taki sam jak ja albo pan Rafałowicz. O reta, reta, jaki on głupi ten Kazik!

— Cichaj, cebulo!

— Owóż tedy — ciągnął dalej pan Rafałowicz — jeżeli dostaniesz się do króla jegomości, a staraj się koniecznie dostać, to powiesz mu, że z mego domku, za Bramą Nowomiejską, kole Gdańskiej piwnicy, jest podziemne przejście...

— A kiedy zawalone! — zawołał Maciek.

Kazik nie wytrzymał, ale syknawszy swe „cichaj, cebulo” dał potężnego kulaka Maćkowi.

— Nie bij! — ten zawołał. — Com ci winien?

— Niestety — mówił dalej pan Rafałowicz — podziemiem tym nie można się już dostać do Zamku, ale powiesz królowi jegomości, że zawsze dotrzeć będzie można pod basztę przy ulicy Dunaju, a i to coś znaczy! My wszyscy czekać będziemy na naszych w moim domku.

— A jakże się jegomość tam dostanie?

— Pójdziemy nad Wisłę i przez Mostową ulicę, jeszcze przed świtaniem będziemy u siebie. A zatem, mociumdzieju, w drogę, bo teraz noc krótka i na wschodzie jeno patrzeć świtu. Prowadźże nas, mości Żórawski!

Pan Żórawski w milczeniu otworzył drzwi i ruszył na schody, nie oglądając się na nikogo. Maciejowa wzdychając ciężko i narzekając, że ją nogi i krzyż boją, przy pomocy syna, który troskliwie jej pilnował, poszła za innymi.

Niebawem znaleźli się w wąskim, śliskim, cuchnącym mocno kanale i w niektórych miejscach tak niskim, że zgięci do połowy posuwać się mogli. Wszyscy szli jednak rażno, nie zważając na to, że z Maciejową był wielki kłopot i gdyby nie Maciek ze swą wielką siłą, byłaby z pewnością ustała. Szczęściem droga była niedługa i wkrótce znaleźli się u wylotu kanału nad samą Wisłę, która z głuchym pluskiem toczyła swe mętne fale.

## ROZDZIAŁ XXIII

*W którym Kazik Ginter puszcza się na wątlym czólnie do obozu polskiego*

Trudno opisać uczucie radości i ulgi, jakiego doznali nasi peregrynanci, gdy po całodziennym nieomal błędzeniu po podziemiach znaleźli się na koniec na wolnym powietrzu pod gwiaździstym sklepieniem niebios. Każdy z nich lżej odetchnął i cieszył się swobodą. Jak słusznie zauważył pan Rafałowicz, na wschodzie niebo już białło i świt się robił. Wiatr, jak zwykle nad ranem, zerwał się i mile chłodził rozpalone niewywczasem, zmęczeniem i febrą twarze, a Wisła pluskała wesoło. Cisza była zupełna.

— No — mówił pan Rafałowicz — śpieszmy się, nie mamy ani chwili czasu do stracenia.

A pan Żórawski na to:

— Tu się kończy moje przewodnictwo. Dalej sobie aćpanowie radźcie sami...

— Jak to, waćpan nas opuszczasz? — spytał pan Rafałowicz.

— Nie... jeno przewodniczyć asanom nie będę. Jako człek rycerski, który się niegdyś żołnierskim rzemiosłem parał, wiem, że Szwedzi w obliczu nieprzyjaciela musieli gęste ponad Wisłą popostawiać strażę.

— Więc cóż?

— A to, że nie wiem, jak wy się tam dostaniecie do Mostowej ulicy. Tedy ja sobie będę szedł w straży tylnej, jako ciura obozowy, i patrzył, jako to asan hetmanisz. Bo to też rzec należy, że niesłychanym to jest, by łyczek i rajca miejski hetmaństwa się podejmował.

A pan Rafałowicz nie słyszał już tej końcowej uwagi starego burgrabiego, gdyż doskonale pojmując, że jeżeli uda im się przemknąć ponad Wisłą, to tylko pod zasłoną nocy, ruszył żwawo naprzód, nie tracąc ani chwili czasu. Na szczęście strażę tu były nieliczne i nad świtaniem przed chłodem i znużeniem gdzieś pokryły się po kątach, Ta przy tym po uliczkach nadbrzeżnych już się ruch zaczynał i tym sposobem nie postrzeżeni i nie zaczepiani wydostali się na ulicę Mostową. Strachu i kłopotu przy tym było niemało, zwłaszcza z Maciejową, która, otyła i niemłoda, po prostu iść nie mogła i, zadyszana mocno, na połowie drogi ustała

— O laboga, laboga! — jęczał Maciek. — Jakie też to matuś mają kiepskie nożyska.

A matuś na to podparła się pod boki i nuż gadać:

— Stulisz mi ty gębę zaraz, smarkaczu! Czy chcesz, żebym ci łba porządnie nadarła za nieuszanowanie dla nóg twojej rodzicielki! Widzisz go, jak mi się zwydrzył. Jeno przyjdziemy do domu, to ci takie lanie za to sprawię, że popamiętasz ruski miesiąc.

— Za co? — pytał naprawdę przestraszony Maciek. Szczęściem wdał się w tę sprawę pan Rafałowicz

mówiąc:

— Cicho byś jejmość była, jeszcze straży uwagę zwrócisz! Iza cóż to masz bić twego syna? Czy za to, że cię z karceresu szwedzkiego uwolnił? Dalej, Maciek, weź pod rękę twoją matkę i ruszajmy.

Maciek, który był mimo swej cienkości chłopcem niezwykle silnym, widząc, że matka naprawdę ustaje, nie namyślając się wiele, wziął ją na plecy i tak niósł stękając od czasu do czasu:

— O laboga, laboga, jaka też to matuś ciężka! Ledwo uradzić mogę.

Narzekał, ale szedł za innymi. Najbardziej to się martwił Kazik, bo nigdzie najmniejszej nawet łodzi dostrzec nie mógł, a dzień się robił coraz większy. Dopiero przy końcu Rybaków spostrzegł niewielkie czólno i na nim starego rybaka Andrzeja, który zwijając sieć zabierał się widocznie do połowu ryb. Poszedł do niego z panem Rafałowiczem i już razem poczęli go namawiać i prosić, by, Kazika przewiózł na Pragę. Stary Andrzej spojrział surowymi i spłowiętymi oczami na pana Rafałowicza, a potem na Kazika i spytał:

— A po co on na Pragę ma jechać?

— Potrzeba mu.

— Furda! Niby to ja taki głupi! Naszych tam już nie znajdziecie, bo po nocy Jako wiem dokumentnie, przeprawili się przez Wisłę pod Ujazdowem, a pan Czarniecki stoi kole Pułkowa ze swą dywizją. Niby to ja nie wiem. Ale cóż to jegomość masz taką powalaną opończę?

Pytał dotykając się istotnie strasznie zavalanego żupana pana Rafałowicza, ale ten odpowiedział:

— Co tam moja opończa! Wieszże na pewno, że pan Czarniecki stoi pod Pułkowem?

— A wiem, bom go sam wczoraj widział.

— A gdzie jest król jegomość?

Andrzej zmrużył jedno oko i patrząc z ukosa, spytał:

— Niby jaki król?

— A jużcić nasz, Jan Kazimierz.

— Aa!... czy ja wiem? Powiadają, że w Ujazdowie, ale ja nie wiem i niech mi jegomość czasu po próżnicy nie zabiera.

Obrócił się z niechęcią, mrużąc coś pod nosem, obejrzał się dokoła niespokojnie i zabrał się do swoich sieci. Ale pan Rafałowicz nie ustąpił i począł nalegać, by Andrzej powiózł Kazika do Pułkowa.

— Skoro niepodobna dostać się do króla — mówił pan Rafałowicz do Kazika — to trzeba, żebyś dostał się do pana Czarnieckiego. Z tego, co opowiada Andrzej, widać, że król będzie następował od Ujazdowa na Zamek, a pan Czarniecki na Bramę Nowomiejską. Jego tedy trzeba ostrzec.

Racja była słuszna i dlatego to pan Rafałowicz chciał, żeby Andrzej powiózł Kazika do Pułkowa, czyli, jak już wtedy nazywać poczynano, do Bielan. Ale Andrzej nie bardzo był rad tej propozycji. Drapał się po głowie, ruszał wąsami, oglądając się dokoła, i mrużał:

— Tak, to tak, ale jak nas Szwedy obaczą, to pewnikiem uśmiercą, a jak złapią — to powieszą. A zresztą ja nie czasowy i ryby muszę łowić. Za czas stracony kto mi zapłaci?

Słowa te rozgniewały pana Rafałowicza najprzód, a potem pana Żórawskiego. Pierwszemu szło o to, by Kazik jak najprędzej popłynął, dopóki jeszcze szary mrok panuje i mgły białe unoszą się nad Wisłą, więc zbliżywszy się do rybaka spytał:

— Czy wiesz, kto ja jestem?.

— A cóż nie mam wiedzieć? Pan rajca Rafałowicz.

— No więc... możesz być pewny, że będziesz zapłacony.

— Ej!... — machnął ręką Andrzej — gruszki na wierzbie.

Żali w takich czasach, jak dzisiejsze, mogę ja u jegomości i za taki czyn domagać się zapłaty? Wszak Szwedy...

Ale przerwał mu pan Żórawski. Zbliżył się do Andrzeja, stanął przed nim z wąsami nastroszonymi i mruknął:

— Masz tu, łyczku jakiś, dukata i płyn mi zaraz, bo inaczej idukata nie dam, i tym oto mieczem łeb ci zetnę. Rozumiesz?

Słowa te poskutkowały od razu i Andrzej, zląklszy się groźnej figury pana Żórawskiego, rzekł:

— Dobrze, dobrze, mój jegomość, zaraz płynę. Co nie mam płynąć? Ja tak tylko gadałem, ale skoro panowie dają dukata, zaraz jedziemy. Któryż to z waszmoścpanów ma ze mną płynąć?

Kazik wysunął się naprzód i rzekł;

— Ja.

— A! Pan Ginter? Znam waćpana — mówił Andrzej — trzeba mi było od razu powiedzieć, że to waćpan jedziesz, i już byśmy płynęli. . .

A pan Żórawski mówił do Kazika: — Weź od Maćka szwedzką szpadę i jeżeli ten łyczek — tu wskazał palcem na Andrzeja — będzie chciał zdradzić, to pchaj mu ten rożen w samo serce!

Andrzej, wysłuchawszy tego i widząc szpadę w rękach Kazika, zawołał:

— Ale tu nikt o zdradzie nie myśli i co tu może być za zdrada! Co też wielmożny pan gadają!

— No! no! — groził pan Żórawski. — Już kiedyś ty, łyku jakiś zatracony, w tak ważnej sprawie myślał jeno o pieniądzach, to ja ciebie mam za ostatniego łyka i za hetkę pętelkę. I czegoż stoisz i ślepie wybałuszasz na mnie? Mgły się oto rozchodzą...

Spojrzał na białe mgły, które się kłębiły, rozplywały, skupiały w fantastycznych kształtach ponad Wisłą i całkiem zakrywały brzeg przeciwny i Pragę na nim, umilkł i mówił do siebie:

— Hm! otóż wszystkie mary zamkowe wypełzły teraz na świat Boży, by harce przed wejściem słońca wśród mroków świtu wyprawiać. Osobliwości! osobliwości! I któż mi teraz zaręczy, że i ten człowiek — tu wskazał palcem na Andrzeja nie jest marą? Oczywiście jest to mara, cień tylko osoby, który przybrał na się posturę rybaka Andrzeja, boć przecie żaden człowiek, który ma choćby krzynekę rozumu, nie byłby tak gadał, jako on gadał. Tak, tak, to musi być mara i my wszyscy tu jesteśmy wśród tych białych mgieł świtu marami.

Ale już nikt nie słuchał pana Żórawskiego, który z gołą głową, z rzadkim siwym włosom rozwianym przez wiatr świtu, z brodą białą i rozczochraną, z twarzą suchą, jastrzębią, powleczoną bladością od chłodu porannego, i wzrokiem wlepionym w kłębiące się nad Wisłą mgły wyglądał sam na jakieś widmo, na jakiegoś starego umarłego, który wstał z grobów i tu prawi niestworzone rzeczy

o tym, co widział i słyszał.

Pan Rafałowicz zajął się zaraz wyprawieniem Kazika

i wzięwszy go na bok, szeptem gadał mu, co ma powiedzieć panu hetmanowi Czarnieckiemu.

— Mój chłopcze — mówił — niech cię Bóg prowadzi i czuwa nad tobą i sam to dobrze wiesz, że ta wyprawa może cię na śmierć narazić, ale pamiętaj, że to, co czynisz, czynisz dla dobra Rzeczypospolitej. Bądź ostrożny i miej oko na Andrzeja, który nie jest pewny. A przybywszy do obozu pana Czarnieckiego, staraj się z nim obaczyć i powiedz mu wszystko. My teraz udamy się do mojej kamieniczki, tam się zamkniemy i czekać będziemy wieści

od ciebie, nie wyściubiając głowy. Ruszajże, bo jeno patrzeć, jak słońce wejdzie i mgły rozproszy. Niech cię Bóg i Najświętsza Paniienka Częstochowska ma w swej opiece!

To rzekłszy rozrzewnił się mocno i począł ścisnąć i całować Kazika, a łzy mu jak groch padały na pomarszczoną przez lata twarz. Kazik za to z wesołą miną prawił:

— Niech się jegomość, nie boi, wszystko będzie dobrze. Już ja sobie dam radę. Gdyby nawet czólno Szwedzi dostrzegli, to wpływ pójdę. Pływam przecie jak ryba.

Roześmiał się i wskoczywszy do czółna, zdjął czapkę i kłaniał się wszystkim, i wołał:

— Do widzenia! Kacper, bądź zdrow! Maciek, pamiętaj o mnie! No, panie Andrzeju, jazda!

A Maciek, widząc odpływającego Kazika, rozrzewnił się także i nuż lamentować:

— O laboga, laboga, mój Kaziku, już ja ciebie nie obaczę! O rety, rety, Szwedzi cię uśmiercą pewnikiem! O mój Kaziku, Kaziku, moje oczko...

Ale te narzekania, wygłaszane grubym i donośnym głosem, przerwał szorstko Kacperek:

— Gichaj, cebulo! Drzesz się, jakbyś tu sam był i jakby szwedzkich straży nie było. Pani Maciejowa, przykażcież mu milczeć, bo nam jeszcze biedy napyta.

Tedy pani Maciejowa szturgnęła Maćka i groźnie zawołała:

— Stulisz mi ty gębę, zatracęncze jakiś? Chcesz, żebym ci łba nadarła? Zaraz mi bądź cicho, bo choć stara i zmęczona, takie ci sprawię rznięcie, że mię popamiętasz!

Umilkł tedy Maciek przed obawą matczynego rznięcia, a tymczasem Kazik, kłaniając się, odbił z Andrzejem od brzegu. Czólno, pchnięte dwoma silnymi wiosłami, odpłynęło od brzegu, wsunęło się na prąd wody i powoli poczęło niknąć w szarej mgle. Zrazu widać go było jak cień jakiś, potem zupełnie zakryte zostało przez mgłę.

Zebrani nad brzegiem patrzyli na to, aż wreszcie pan Rafałowicz zrobił w powietrzu znak krzyża świętego, westchnął, obtarł łzy z twarzy i rzekł:

— Zacności chłopiec! Szczęśliwa matka, która takiego syna się dochowała. No, a teraz ruszajmy dalej!

Szczęśliwie dostano się na Mostową ulicę, gdzie już ludzie chodzili i dlatego licznie rozstawione straże szwedzkie na murach na przemykającą się gromadkę nie zwróciły uwagi. Nie upłynęło i dwa pacierze, gdy wszyscy cali i zdrowi znaleźli się w kamienicze pana Rafałowicza i znużeni nie przespaną nocą i tylu wrażeniami, jak mogli, się pomieścili i zasnęli snem kamiennym.

## ROZDZIAŁ XXIV

*Jako Maciek został nazwany przez oberstlejtnanta Gizę gburem*

Jak długo spali, sami nie wiedzieli. Pomieścili się w dwóch izbach. W pierwszej, w której znajdował się otwór prowadzący do podziemi i zakryty wizerunkiem Matki Boskiej, na ławie i na stole położył się pan Rafałowicz i Żórawski, a pod ścianą, na podłodze, Kacperek. W drugiej, mniejszej, na starej ławie legła Madejowa, a obok niej na ziemi, owinąwszy się w swą białą opończę, Maciek.

Wszyscy zmęczeni tylu przygodami spali jak zabici i tylko w ciszy tych izb rozlegały się ich miarowe i głębokie oddechy oraz chrapanie Maćka, gdy nagle zbudziła ich straszliwa wrzawa i huk powtarzający się raz po raz i tak silny, że cały dom się trząsł, a ze ścian i sufitu tynk odpadać zaczął. Maleńkie szybki w oknach dźwięczeć poczęły, a kilka z nich wyleciało i z brzękiem się rozbiło. Obraz Matki Boskiej, zawieszony na ścianie, spadł z łoskotem.

Na ten trzask i huk wszyscy się zerwali na równe nogi, przerażeni mocno, prócz jednego Maćka, który nakrywszy się na głowę opończą spał po dawnemu.

Pan Rafałowicz zerwawszy się ze stołu, na którym leżał, posłuchał przez chwilę straszliwego huku i zawołał:

— To pan Czarniecki szturmuje do bram nowomiejskich! Co tu czynić?. Kazika jakoś nie widać.

Kacperek, który obudziwszy się siedział pod ścianą i przecierał oczy, otrzepując się z tynku, który go całkiem zasypał, podniósł się i chciał coś rzec, gdy nagle ze straszliwym łoskotem ogromna kula *żelazna* wpadła na dziedziniec kamieniczki i odbijając się o bruk, uwięzła w ścianie naprzeciwko. Cały dom się zatrzęsł, wszystkie szyby z okien wyleciały, a zaraz też rozległ się krzyk Maćka:

— O laboga, laboga, zabijają! Matuś, wstawajcie! Rety, rety, o ludzie, rety!

A pan Żórawski już stał na środku izby i przypasując miecz, co go był zabrał zabitemu Frytjofowi, mrucał:

— Niby to tak, że strzelają, ale żali człowiek może być pewnym, że to wszystko nie jest omamienie? Wiadomo, że diabły, gdy chcą, to takie harce wyprawiają, że aż człek może ogłuchnąć. Ale na szatana najlepszym lekarstwem jest znak krzyża świętego.

To rzekłszy podniósł wolno rękę i żegnając się, mówił:

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, zgiń, przepadnij, maro!

Kacperek tymczasem otrząsł się z tynku, przeżegnał się także i zbliżywszy się do pana Rafałowicza, rzekł:

— Pójdę ja obaczyć, co się tam dzieje.

— Jak to: pójdiesz? Dokąd pójdiesz?

— Wyrzę na ulicę, a może naszych zobaczę, to im powiem...

— Gdzie ty tam naszych zobaczysz? Z armat biją, to są jeszcze daleko.

— Nie widzi mi się, bo przecież słyhać głosy ludzkie...

Pan Rafałowicz nadstawił uszów i w rzeczy samej, wrzawa tysiąca głosów ludzkich wyraźnie słyszeć się dawała. Pomyślał tedy chwilę i rzekł:

— Ano, idź obacz. Tylko strzeż się, by cię nie zabili.

— Ha, cóż! — odrzekł Kacperek nadziewając czapkę. — Jak zabijają, trudno. Raz kozie śmierć!

To powiedziawszy przeżegnał się i wybiegł z izby. Po jego wyjściu pan Rafałowicz zajął się przede wszystkim uciszeniem Maćka, który nie przestawał krzyczeć, w czym wtórowała mu jego matka, głośno odmawiająca „Kto się w opiekę”. Tymczasem huk się wzmagał z każdą chwilą i przemienił się w jeden nieustanny grom, od którego cała kamieniczka trzęsła się jak galareta, a po dachu kule tak dudniły, jakby kto groch siał. Pan Żórawski z mieczem u pasa, z rękoma na tył założonymi, przechadzał się po izbie i mruczał ciągle:

— Ani chybi to omamienie. Któż to słyszał, żeby taki huk był? Jać przecie stary jestem żołnierz i z panem Chodkiewiczem byłem pod Chocimem i wiem, co to jest bitwa. A przecie jakem Żórawski, herbu Ostoja, takiej wrzawy nigdy nie słyszałem. Oczywiście rzecz, że to jest omamienie.

Ale zaraz miał się przekonać, że nie jest to żadne omamienie, bo w tejże chwili jakaś zabłąkana kula wpadła przez okno, ze świstem przeleciała koło uszów Żórawskiego i z głuchym trzaskiem utkwiała w ścianie. Burgrabia spokojnie odwrócił się i patrząc na ową kulę, mówił:

— Nie byłaś przeznaczona, by mię zabić. Widno Panu Bogu potrzeba, bym jeszcze żył na świecie. Ale teraz zdaje mi się, że to wszystko jest rzeczywistość. Mości panie rajco warszawski, to się naprawdę biją?

— Dopiero się waćpan o tym dowiadujesz?

— A dopiero.

— Wielka nowina! Królowa Bona umarła.. Cóżeś to waćpan spał dotąd?

Pan Żórawski chciał coś odrzec, gdy nagle w sieni zadudniały czyjeś szybkie kroki, drzwi się z trzaskiem rozwarły i do izby wpadł najprzód Kazik, potem Kacperek, a za nimi tłoczyć się poczęła gromada zbrojnych ludzi, z panem oberstlejtantem Gizą na czele, którego pan Rafałowicz znał dobrze, a nawet podobno był tam jakimś jego krewniakiem.

Kazik był zziązany, mokry cały, czarny od dymu prochowego, a w rękę dzierzył ogromny samopał. Kacperek też :rzywał jakąś kopię i topór miał za pas zasadzony. Obaj byli rozpromienieni, gorejący zapalem, a oczy im się świeciły jakimś ogniem niezwykłym. Pan Rafałowicz skoczył do Kazika

— Kazik — wołał — jak się masz? Niechże Panu Bogu będą dzięki, że cię zdrowym i całym widzę.

Kazik nic nie odrzekł, bo pan oberstlejtant Giza wysunął się naprzód i obejrzawszy się dokoła, z wielką powagą rzekł: — Widzi mi się, że pan Rafałowicz?



— Tak, panie Konstanty, Rafałowicz.

— Bardzo się cieszę, że waćpana oglądam. Ale proszę ja kogo... ten oto chłopiec powiedział, że tu z tego domu... to jest waćpana kamieniczka?

— Moja.

— Proszę ja kogo, to tu ma być wejście do jakiegoś podziemia, którym się można dostać do środka miasta?

— A oto jest! — odrzekł pan Rafałowicz wskazując na rtwór w murze. — Niestety do środka miasta dostać się nie nożna, bo w czasie gdyśmy zwiedzali, mociumpanie, te podziemia, one się w jednym miejscu zawaliły.

— A tak, proszę-ja kogo... opowiadał nam o tym ten chłopiec, wszelako podobno wyjść tymi lochami można pod basztą, zwaną Furtą Bocznią, na ulicy Dunaju?

— Można!

— Tedy, proszę ja kogo, prowadź nas waćpan! Z rozkazu tu jestem królewskiego...

— Owszem, poprowadzę waćpana. Chłopcy, idziecie ze mną?

— Rozumie się, że idziemy! — odrzekł jednocześnie Kazik i Kacperek, a Maciek, który stojąc we drzwiach drugiej izby przysłuchiwał się w milczeniu tej rozmowie, zawołał:

— O laboga, laboga, jakżebyśmy mogli jegomością samego ostawić z tymi srogimi żołnierzami! Ja bym też poszedł, ale jakże matuś samą ostawię?

— Ja tu zostanę, mój chłopcze — rzekł poważnie pan Żórawski — i nie bój się niczego. Idźcie! W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

Przeżegnał uroczyście chłopców, pana oberstlejtanta Gizę i żołnierzy i mruknął:

— A strzeżcie się w podziemiach omamień — strzeżcie się omamień! Tam różne mary chadzają i tumania poczciwych szlachciców i katolików. Ale i to prawda, żeście wy nie szlachta, to może mary was się nie chwycą.

Tak prawil, a tymczasem pan Giza wydawał rozkazy żołnierzom:

— Pójdziecie za mną, a pilnować się dobrze, broń mieć w pogotowiu!

Po czym obróciwszy się do pana Rafałowicza, rzekł:

— Proszę ja kogo... podobno tam do otworu w baszcie Furty Bocznej jest wysoko!

— A wysoko! prawda! — zawołał zakłopotany pan Rafałowicz. — Bez drabiny się nie dostaniemy. Skąd tu wziąć karabiny?

Pan Giza uśmiechnął się pobłaźliwie i rzekł:

— Nie lękaj się waćpan, drabina jest. Co bym ja, proszę ja kogo, był za żołnierz, gdybym wszystkiego nie przewidział? No, a teraz ruszaj waćpan przodem i pokazuj nam drogę. Dopiero to zadamy Szwedom dajfeldreku!

Zacierał ręce i uśmiechał się, i ruszał wyszwarcowanymi wąsami, i potrząsał cienką szpadą, którą trzymał w ręku.

Mąż to był już niemłody, wysoki, chudy, zawiędły, wygolony starannie, jeno miał wąsy, które wysmarowane jakąś maścią sterczały niby dwa rogi do góry. Na sobie miał kaftan łośiowy, na nim pancerz lśniący, wielkie karwasze a rękach i buty wysokie jałowiczne na nogach. Wyglądał trochę z niemiecka, ale po rycersku.

Ruszono tedy do loszku, zapaliwszy wprzód liczne

latarki i kagańce, które żołnierze ze sobą nieśli. Żołnierzy

tych było pięćdziesięciu, ale w razie potrzeby, jeżeliby loch okazał się dobrym, miano sprowadzić więcej.

Z trudnością spuszczone się po oślizgłych i wąskich Miodkach do podziemia, zwłaszcza pan oberstlejtant Giza, który w swych wysokich butach z ostrogami w ciężkim pancerzu posuwał się powoli, kilka razy się oślizgnął i gdyby go Maciek nie podtrzymał, byłby pewnością spadł.

— Proszę ja kogo — gadał — a to psie, z przeproszeniem, miejsce; ki diabeł, żeby takie wąskie schody robić!

— O laboga, laboga, panie jenerale — odpowiadał Maciek — żeby oni wiedzieli, że pan jenerał będzie tędy chodził, toby pewnikiem szersze zrobili schody. O rety, rety, jakież to pan jenerał niezgrabny!

Pan "jenerał" spojrział się groźnie na Maćka i widocznie dbając o jego pomoc, która w rzeczy samej była mu bardzo skuteczna, nic nie odrzekł, tylko coś mruknął pod nosem i groźnie ruszył ostrymi jak szpilki wąsami. Ale gdy na koniec zeszli na dół i pan oberstlejtnant uczył pod nogami mocny grunt, zwrócił się do pana Rafałowicza i wskazując na Maćka, zapytał:

— Proszę ja kogo, co to za gbur?

— To Maciek, syn kramarki Maciejowej z Rynku.

— Hm! proszę ja kogo... znać, że to syn przekupki... gdyby nie to, że czasu nie ma i tam na górze krew chrześcijańska się leje, tobym tego gbura obłożyć kazał bizunami. No, ruszajmy dalej!

Maciek wysłuchał tej groźby i strasznie markotno mu się zrobiło, ale umilkł i odtąd trzymał się z daleka od „pana jenerała”, jak nazywał oberstlejtnanta Konstantego Gizę. Tymczasem żołnierze powoli schodzili i niebawem cała piwnica sklepią nimi się zapełniła. Tutaj obok chłodnego, przesiąkniętego wilgocią powietrza, panowała wielka cisza, bardzo miła i słodka po tej okropnej wrzawie i huku, który grzmiał na górze. Wprawdzie i tutaj dawało się słyszeć głuche jakieś dudnienie, jakby gdzieś daleko szły ciężkie wozy. Ziemia wprawdzie drżała pod nogami, od czasu do czasu od sklepienia oderwał się jaki kawałek wapna i rozbił się z trzaskiem na kamiennej posadzce, ale zresztą było cicho.

Pan Giza tymczasem rozkazywał, by ruszono dalej, bo powtarzał ciągle — tam na górze krew chrześcijańska się leje. Sam wzięwszy pana Rafałowicza pod rękę, szedł z nim przodem i wypytywał się o te podziemia dziwił im się bardzo. Potem opowiadał o Kaziku, jako zjawił się w ich obozie pod Bielanami, jako szczęśliwie trafił na niego, pana Oberstlejtnanta Gizę, jako wysłuchawszy chłopca poszedł i nim do pana wojewody Czarnieckiego i jako ten obiecał Kazikowi, że jeżeli to wszystko prawda, to postara się u króla i sejmu, by młodemu Ginterowi nadano szlachectwo..

Tak gwarząc przyszli do owej piwnicy, gdzie szczury opadły były Maćka czasu ich pierwszej peregrynacji. Ale teraz na widok światła i trzasku, drzwi szczury poczęły uciekać, a żołnierze przez żarty poczęły wstrętne te stworzenia kłuć pałaszami i dzidami.

Wreszcie znaleźli się w lochu pod basztą, zwaną Boczna Furtą.

## **ROZDZIAŁ XXV**

### *Jako trzech kompanowie legli w bitwie ze Szwedami i co potem się stało*

W piwnicy pod basztą Furty Bocznej wrzawa i huk był większy jak w przebytych dotąd lochach. Drzwi drewniane umieszczone w sklepieniu przepuszczały lepiej i wyraźniej odgłosy boju jak w innych podziemiach. Dochodziły tu nawet rozkazy oficerów w krótkich przerwach między jednym a drugim wystrzałem z dział. A działa te grzmiały ciągle, stara baszta aż do fundamentów się trzęsła i tynk i kawałki cegieł sypały się na ziemię.

— Chciałem pana oberstlejtnanta prosić — mówił pan Rafałowicz — ażeby tutaj nakazał żołnierzom, by nie rozmawiali i zachowywali się cicho, ale widzę, że taki tutaj hałas panuje, iż można nawet strzelać, a oni tam na górze nie usłyszą

W rzeczy samej wrzawa była ogromna, a po drewnianych drzwiach w sklepieniu słychać było nieustanne tupanie nóg przebiegających po nich ludzi.

Pan oberstlejtnant Giza obejrzał się po całej piwnicy i rzekł:

— Proszę ja kogo, więc to tymi drzwiami mamy się dostać do środka baszty?

— Tymi.

— Hm! Proszę ja kogo... ciężka to będzie sprawa, gdyż drzwi są niewielkie i zaledwie dwóch ludzi się w nich zmieści. Ale spróbować nie zawadzi.

To rzekłszy obrócił się do swych żołnierzy skupionych piwnicy i w milczeniu przypatrujących się lochowi zawołał:

— Rozwora, biegnij do pana wojewody, żeby mi całą moją chorągiew przysłał. Tu, proszę ja kogo, gorąca będzie przeprawa i kupą trzeba iść.

Rozwora, stary żołnierz-wyga, zawrócił i pobiegł, a pan Oberstlejtnant jeszcze raz spojrzął na drzwi i rzekł:

— Przystawić drabiny.

Gdy to uczyniono, pan Giza zawołał:

— Kto na ochotnika pójdzie, proszę ja kogo, wyrąbać te zwi?

Wśród żołnierzy zapanowało milczenie, źle świadczące udaniu się tego ryzykownego przedsięwzięcia. A pan Rafałowicz, zbliżywszy się do oberstlejtnanta, odezwał się.

— Jam nie żołnierz i nie znam się na rzemiośle wojskoym, ale widzi mi się, że wyrąbywanie tych drzwi źle mieć. Gdzie skutki.

— A to czemu, proszę ja kogo?

— Dlatego, że rąbiąc będzie wielki hałas, co zwróci uwagę Szwedów i dość będzie, by tam postawili dwóch ludzi, którzy, nam przeszkodzą dostania się do wnętrza baszty.

— Proszę ja kogo... jaćto wiem, że jest źle, ale cóż innego czynić?

— Gdyby to można jednym silnym pchnięciem wywalić drzwi od razu!

— Silnym pchnięciem, a któż tego dokaże, proszę ja kogo! Czy to możliwe, ażeby drzwi, jak widzę, dębowe i okute żelazem, można było wysadzić? Któż jest tak silny?

Nagle Maciek, który przysłuchiwał się tej rozmowie, rzekł:

— O laboga, laboga, wielka mi rzecz takie stare próchno wysadzić! O rety! rety! Jest też nad czym bańdurzyć. Niech no mi pan generał da do pomocy jednego silnego żołnierza, a jak we dwóch podważymy plecami to próchno, tak od razu wyleci.

Pan oberstlejtnant spojrzął na Maćka i spytał:

— Proszę ja kogo, zrobisz to?

— A zrobię. Sam bym to zrobił, ale we dwóch zawsze lepiej i gdyby mię Szwedy opadły, to ten żołnierz niech mię broni.

Tedy pan oberstlejtnant rozkazał jednemu dragonowi wleźć na drabinę razem z Maćkiem i mieć się w pogotowiu do obrony. Innym też żołnierzom polecono, ażeby gdy tylko drzwi wysadzone zostaną, rzucili się na drabinę i parli do środka baszty.

Gdy wydano te rozkazy, Maciek, za przykładem towarzyszącego mu dragona, wziął gołą szablę w rękę i wlaź na drabinę. Przyszedłszy pod samo sklepienie, razem z dragonem obrócili się do niego plecami i jednocześnie silnie podparli drzwi. Zatrzeszczały, ale wytrzymały.

— O laboga, laboga — syknął Maciek — silne, ani słowa! Ale damy im radę. Poczekaj no, panie dragon, niech se krzynkę odpoczną i dech złapię. O rety, rety, jakie też to krzepkie dawniej robiono drzwi! A wydają się jako próchno i zgniłe też są, ale zawsze mocne.

Siedział na wierzchu drabiny, oddychał głośno i język wywieszał na przypatrujących mu się z dołu żołnierzy. Był rad z siebie i śmiał się, a gdy sobie odpoczął, rzekł:

— No, panie dragon, zabierzmy się do roboty, jeno razem. Teraz pewnikiem wylecą.

Podparli znowu oba plecami drzwi, raz i drugi, drzwi jednak wytrzymały, jeno zawiasy i zasuwy rdzą zjedzone puściły nagle i drzwi z trzaskiem wyskoczyły do góry. To tak wstrząsnęło Maćkiem, że zachwiał się na drabinie i jak długi runął z drabiny na ziemię, a- raczej na jednego z żołnierzy, który się obalił i potłukł haniebnie, Maćkowi zaś nic nie było, bo zaraz wstał i śmiejąc się wziął się pod boki i patrzył, jak żołnierze niby koty wdrapywali się na drabinę.

Tak bowiem się stało: dragon, który z Maćkiem wysadzał drzwi, utrzymał się na drabinie i wyściubiwszy głowę przez otwór, począł drapać się do góry, ale zaraz tam Szwedzi opadli go z okrutnym krzykiem i mężnie broniącego się zasiekli. Spadł on, cały krwią zlany, niepodobny do człowieka.

Ale już pan oberstlejtant, dobywszy swego miecza, z puginałem w zębach rzucił się na drabinę, krzycząc donośnym głosem:

— Bij, zabij, kto w Boga wierzy! Za mną, dzieci!

I drapał się po drabinie w swych ciężkich butach, choć niezręcznie, ale nadzwyczaj szybko, a za nim żołnierze parli gromadą, a między nimi Kazik i Kacper, obaj czerwoni, krzycząc: — Naprzód! naprzód!

Tam u góry już walka wrzała. Pan oberstlejtant z drugim jakimś żołnierzem wręcz się ścinali ze Szwedami, aż obaj jednym rzutem wskoczyli do środka. Za nimi poszło zaraz dwóch żołnierzy, potem jeszcze dwóch, potem Kazik z Kacperkiem, potem inni.

Na szczęście dla polskich wojowników drzwi z podziemi prowadziły do wąskiego korytarza w baszcie, tak że Szwedzi nie mogli się rozwinąć i zaledwie po dwóch, po trzech mogli stawić czoła, a przy tym tym nagłym zjawieniem się nieprzyjaciół byli tak mocno przerażeni, że słabo się bronili i ustępowali przed rąbiącym strasznie panem Gizą. Mimo to trup szedł gęsto. Pana Gizę i walczącego obok niego dragona parli z tyłu inni, którzy kolejno dostawali się do korytarza, a niebawem dragon od wystrzału z pistoletu padł, a pan Giza został pchnięty zdradzieckim sztychem w bok, zachwiał się i oparł się o mur. Ale zaraz zasłonili go dwaj inni i Kacperek, który przecisnął się gwałtownie naprzód i dzierżąc w rękę topór rum sobie czynił. Kazik za nim z tyłu strzelił parokrotnie z samopału i posuwając się ciągle naprzód, deptano już po trupach szwedzkich. Na koniec wydostano się z korytarza do sieni, która prowadziła do bramy w baszcie; miejsca tu było więcej, ale też i więcej Szwedów. Gdy pierwsi czterej między którymi był Kacperek i Kazik, wyskoczyli do sieni, opadli ich zaraz Szwedzi jak osy, tak że, przyparci do ściany, bronić się musieli z trudnością i wtedy to Kacperek, cięty w głowę mieczem, padł, co Kazik pomścił zaraz, roztrzaskując Szwedowi kolbą od samopału głowę.

Byliby jednak ulegli przemocy, gdyby naszych coraz więcej nie przybywało. Rozpoczęła się straszna siekanina, ale w mig Szwedów wycięto, a za resztą uciekających rzucono się w pogoń na ulicę Dunaj. Tutaj to, obok Kazika, który chwyciwszy jakiś porzucony miecz szwedzki, rąbał zawzięcie uciekających, zjawił się nagle Maciek z mieczem zabranym w nocy panu Manderstornie. Biegł z gołą głową w swej białej opończy, w której udawał ducha, z twarzą jeszcze nie obmytą od węgla, którymi się poczerzył, ze szczecinowatym i najeżonym włosiem, krzycząc wniebogłosy:

— O laboga, laboga, zmykajcie, Angielczyki, bo was zjem!

Dzięki swym długim nogom wysforował się na samo czoło i rąbiąc na prawo i lewo, wołał:

— Kazik, suń tu do mnie, zadamy bobu Miemcom i innym też Angielczykom!

Ale niestety! Niedługo zadawał bobu, bo jakaś zabłąkana kula uderzyła go i padł jęcząc:

— O laboga, laboga, zabili mnie! Kazik, reta! Lecz Kazik nie miał czasu, bo właśnie z innymi dopadł do Rynku i tutaj uderzyła na nich wielka gromada Szwedów, tak że bronić się musieli ciężko, a choć pomoc im co chwila przybywała, nie mogli przecież wydestać

się na Rynek. Do Kazika dopadł jakiś olbrzymi Szwed, zwarli się raz i drugi, ale młode chłopię nie zdzierżyło cięcia, szabla padła mu na rękę, uwięzła w niej. Kazikowi zamroczyło się w oczach, zachwiał się i runął jak długi na ziemię.

Kiedy Kazik odzyskał przytomność, a raczej, jak mu się zdawało, obudził się z długiego i ciężkiego snu, najprzód poruszył się i uczył tak dotkliwy ból w lewym ramieniu, że aż syknął. Zaraz też usłyszał głos, w którym poznał Maćka:

— O laboga, laboga, Kazik czegoś syka! Matuś, idźcie no obaczyć, co mu tam takiego.

Kazik otworzył oczy, ale niewiele widział, gdyż łóżko jego osłonięte było ciemnymi firankami, ale co go najbardziej zdziwiło, to wielka cisza; jaka go otaczała po niedawnej, jak mu się zdawało, wrzawie boju, brzęku mieczów, krzyku ludzi i huku armat. Zaraz też uchylły się firanki, padł promień światła i ukazała się pocziwa głowa pani Madejowej, która z troskliwością zapytała:

— Co ci to, mój chłopcze?

A gdy Kazik nic nie odpowiadał, jeno patrzył, rzekła:

— Jeszcze jest nieprzytomny.

— Ale gdzie ja tam nieprzytomny — zawołał Kazik — jeno dziwno mi, że bitwa ustała.

— Jaka bitwa?

— A ze Szwedami.

— Ej, mój chłopcze — ozwie się na to Maciejowa — już dwie niedziele minęło, jak to tałatajstwo nasi wymietli z Warszawy.

— Więc wypędzili Szwedów?

— Do nogi.

— Chwała Bogu, a mnie się zdawało, że bitwa była jeszcze przed chwilą. Przecież pamiętam, jak mię ten Szwed ciął;

— O laboga, laboga! — zawołał na to Maciek. — Już Szwedów nie ma i co ty tam bańdurzysz, mójKaziku.

— Maciek, to ty tu jesteś?

— A jestem.

— Czemuż do mnie nie przychodzisz?

— Bo nie mogę. Te Angielczyki mię szpetnie postrzelili i pan Żórawski, który jest wielki fizyk, driakwią mię leczy, i nie każe mi się ruszać. O laboga, laboga, pedam ci, Kaziku, strasznie mi się ckni, alem rad, żeś ty oprzytomniał, bośmy myśleli, że ty zamrzesz.

— A gdzież ja jestem?

— A gdzież by? U pana Rafałowicza, który nas wszystkich trzech pozbierał na ulicy i zaniósł do swej kamienicy, a pan Żórawski z moją matusią i panią Hipolitową, która strasznie marudzi, leczą nas wszystkich. O rety, rety, jakże mi się ckni!

— A Kacperek, gdzie on jest?

— W innej izbie, na piętrze, bo tu było ciasno. Szwed ci mu rozplatał głowiznę, nikiem stary garnek, ale już jest dobrze i pan Żórawski, który jest wielki fizyk, jeno lubi driakwią paść, co się psu na budę nie zdało...

— Nie wydziwiałbyś! — rzekła na to Maciejowa. — Taki smyk jak ty nie może rozumieć takiego mędrca jak pan Żórawski. On ma więcej w pięcie rozumu jak ty w głowie.

— Ale cóż z Kacperkiem? — pytał Kazik.

— A cóż, będzie zdrow. O laboga, laboga, miałby zaraz pomrzeć, że go tam Miemiec liznął trochę przez głowę! Pan Żórawski, który jest wielki fizyk, jeno driakwią lubi paść, peda, że polskie czaszki są twarde nikiem żelazo, i to musi

być prawda! O rety, rety, jakże mi się cknę okrutnie! Jak wyzdrowieję, dopiero to będę prał Angielczyków. Prawda, matuś?

— Cicho byś był i nie plótł głupstw, bo oto idzie pan Rafałowicz.

Pan Rafałowicz wielce się ucieszył obaczywszy, że Kazik odzyskał przytomność, i opowiadał, jak gdy Szwedzi na koniec zostali wyparci z miasta, jeno w Zamku się jeszcze Wittenberg bronił, on, Rafałowicz, pozbierał chłopców i zanieść kazał do swej kamieniczki, i jako ich tu leczył pan Żórawski i wyleczył, za co niech mu Bóg da zdrowie. — Wyleczył, bo wyleczył — mruknął Maciek — ale driakwią pasie.

Potem pan Rafałowicz opowiadał, jako pan wojewoda kijowski, Stefan Czarniecki, przyrzekł, iż wstawi się do króla jegomości, by nagrodę udzielił wszystkim czterem.

— Mnie to tam nie trzeba żadnej nagrody — kończył pan Rafałowicz — stary już jestem i nie dla nagrody uczyniłem to, jeno przez miłość ku memu miastu i całej Rzeczypospolitej. Ale wy, młodzi, to co innego.

— I my nie dla nagrody to czyniliśmy — ozwie się Kazik — i co nam po nagrodzie. Król jegomość ma inne potrzeby i Rzeczpospolita jest jako pustynia, gdzież może o nas mizerakach myśleć.

I tak się też stało, jak mówił Kazik. Wśród klęsk

i nieszczęść, jakie spadały długo jeszcze potem na Rzeczpospolitą, poszły w zapomnienie czyny i poświęcenia czterech peregrynantów. Jeno już później miasto im się wywdzięczyło. Złożyli się co przedniejsi obywatele i porządny kram zakupili Madejowej, która żyła długo jeszcze potem i patrzyła na Maćka, który ożeniwszy się założył warsztat szewski na Dunaju Szerokim i dorobił się ładnego grosza. Młody Kazik z czasem został rajcą miejskim, a Kacperek był nawet przez kilka lat prezydentem miasta.